

**Isabel Allende**

# **Opowieści Ewy Luny**

*przełożyła Ewa Zaleska*

**Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA S.A.  
Warszawa 2003**

**Isabel Allende**  
**Opowieści Ewy Luny**

przełożyła Ewa Zaleska

Warszawskie Wydawnictwo Literackie  
MUZA SA  
Warszawa 2003

Tytuł oryginału: *Cuentos de Eva Luna*

© Isabel Allende 1989

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2000, 2003

© for the Polish translation by Ewa Zaleska

ISBN 83-7200-306-8

Ta książka to swego rodzaju kontynuacja powieści *Ewa Luna*. Spotykamy w niej wiele znajomych postaci, takich jak Rolf Carle czy Riad Halabi.

Dwadzieścia dwa zamieszczone tu opowiadania urzekają rozmachem, fantazją i magią. We wszystkich – jak zwykle u Isabel Allende – dobro triumfuje nad złem, miłość nad nienawiścią, nadzieja nad rozpaczą. Bohaterkami tych opowieści są kobiety: stare i młode, proste i wykształcone, zawsze jednak silne, czułe, wrażliwe i zwycięskie.



Król rozkazał swemu wezyrowi, żeby każdej nocy przyprowadzano mu dziewczę, a potem ją zabijano z nastaniem świtu. Działo się tak przez trzy lata i w mieście nie pozostała już żadna dziewczica, która mogłaby zaspokoić zachcianki tego jeźdźca. Ale wezyr miał córkę wielkiej urody o imieniu Szeherezada... A miała ona dar wymowy i przyjemnie było jej słuchać.

*(Baśnie z tysiąca i jednej nocy)*

Rozpinałaś pasek, zrzucałaś z nóg sandały, ciskałaś w kąt szeroką spódnicę, chyba z bawełny, i rozwiązywałaś wstążkę, która ściągała ci włosy w koński ogon. Miałaś jędrną skórę i śmiałaś się. Byliśmy tak blisko, że nie mogliśmy się widzieć, obydwójce pochłonięci tym nagłym rytuałem, rozpaleni i spowici we wspólny zapach. Torowałem sobie drogę do zakątków twego ciała, miałaś dłonie niecierpliwe, ja ściszałem twoje wierzgające biodra. Wyślizgiwałaś się, przebiegałaś mnie całego dłońmi, wspinałaś się na mnie, oplatałaś mocno nogami, po tysiącokroć powtarzałaś: chodź, z ustami przyciśniętymi do moich warg. W chwili ostatniej obydwójce doświadczyliśmy błysku całkowitej samotności, każde pograżało się w czeluściach własnej otchłani, ale szybko wracaliśmy z tego drugiego krańca namiętności, by odnaleźć się w uścisku pośród porzucanych poduszek, pod białą moskitierą. Odgarniałem twoje włosy, żeby spojrzeć ci w oczy. Czasami siadałaś obok mnie, z podkurczonymi nogami i zarzuconym na ramię jedwabnym szalem, w ciszy nadciągającej właśnie nocy. Taką cię pamiętam, spokojną.

Ty myślisz słowami, język jest dla ciebie niekończącą się nicią, którą przedziesz, jakby samo życie powstawało dzięki tym opowieściom. Ja myślę obrazami zastygłymi jak na fotografii. Ten jednak nie został utrwalony na kliszy, wydaje się nakreślony piórkiem, to wspomnienie szczegółowe i doskonałe, o delikatnych konturach i ciepłych barwach, renesansowe, jak zamysł uchwycony na czerpanym papierze lub na tkaninie. To prorocza chwila, to całe nasze istnienie, wszystko, co przeżyliśmy, i wszystko, co mamy do przeżycia, wszystkie epoki równocześnie, bez początku i bez końca. Z pewnej odległości przyglądam się temu obrazowi, na którym i ja jestem. Jestem widzem i głównym bohaterem. Stoję w mroku, przesłonięty mgiełką przezroczystej firanki. Wiem, że to ja, ale jestem także tym, który przygląda się z zewnątrz. Wiem, co czuje ten namalowany mężczyzna na tamtym skotłowanym łóżku, w pokoju o ciemnych drewnianych belkach i suficie niczym w katedrze, gdzie cała scena jawi się jak fragment jakiegoś ) starego obrzędu. Jestem tam z tobą i jestem też tutaj, sam, na innym piętrze świadomości. Na obrazie para kochanków odpoczywa po miłości, ich wilgotna skóra błyszczy. Mężczyzna ma zamknięte oczy, jedną rękę trzyma na piersi, a drugą na jej udzie, w intymnym porozumieniu. Dla mnie to powracająca i niewzruszona wizja, nic się nie zmienia, zawsze ten sam pogodny uśmiech mężczyzny, to samo omdlenie kobiety, ta sama zmięta pościel i pograżone w mroku zakamarki pokoju, zawsze światło lampy muska pod tym samym kątem piersi i kości policzkowe kobiety i zawsze jedwabny szal i ciemne włosy opadają równie miękko.

Ileokroć o tobie myślę, taką cię widzę, takich widzę nas, zastygłych raz na zawsze na tym płótnie, niepodatnych na uszczerbki pamięci. Potrafię odtworzyć się całkowicie w tej scenie do tego stopnia, by poczuć, że wchodzę w przestrzeń obrazu i już nie jestem tym, który się przygląda, lecz mężczyzną leżącym u boku kobiety. To wtedy symetryczna cisza obrazu pryska i słyszę bardzo blisko nasze głosy.

- Opowiedz mi coś - mówię do ciebie.
- A co byś chciał?
- Opowiedz mi coś, czego nie opowiedziałś nikomu.

ROLF CARLE

## Dwa słowa

Nazywała się Belisa Crepusculario nie dlatego, że tak jej dali na chrzcie lub tak chciała matka, ale sama szukała sobie tego imienia, aż je znalazła, i przystroiła się w nie. Trudniła się sprzedawaniem słów. Przemierzała kraj od najwyższych położonych i najniższych regionów aż po skwarne wybrzeże, zatrzymywała się na jarmarkach i targowiskach, gdzie na czterech patykach rozwieszała lnianą płachtę i tak chroniona przed słońcem i deszczem przyjmowała swoją klientelę. Nie musiała zachwalać towaru, wszyscy dobrze ją znali z tych ciągłych wędrówek to tu, to tam. Byli i tacy, co czekali na nią z roku na rok i gdy z węzłem pod pachą zjawiała się w wiosce, ustawiali się w kolejce do jej straganu. Sprzedawała po uczciwych cenach. Za pięć centawów dawała wiersze do zapamiętania, za siedem ulepszała sny, za dziewięć pisała listy zakochanym, za dwanaście wymyślała obelgi dla nieprzejednanych wrogów. Sprzedawała też opowiadania. Nie były to opowieści zmyślane, ale długie historie wzięte z życia, które płynnie recytowała, nie pomijając żadnego szczegółu. W ten sposób niosła z wioski do wioski nowiny. Ludzie płacili jej za dodanie linijki lub dwóch: urodziło się dziecko, ktoś zmarł, pobrały się nasze dzieci, zbiory spłonęły. Gdy zaczynała opowiadać, zawsze zbierał się wokół niej tłumek, bo w ten sposób dowiadywano się o życiu innych, o dalekich krewnych, o okolicznościach wojny domowej. Każdemu, kto zrobił u niej zakupy za pięćdziesiąt centawów, dawała w prezencie jedno tajemne słowo na odpędzenie melancholii. Nie było to, oczywiście, jedno i to samo słowo dla wszystkich, bo oznaczałoby to oszustwo. Każdy dostawał swoje własne i mógł być pewny, że nikt inny w całym wszechświecie, albo i jeszcze dalej, nie używa tego słowa w takim samym celu.

Belisa Crepusculario urodziła się w bardzo ubogiej rodzinie, która nie miała nawet imion, by obdarzyć nimi dzieci. Przyszła na świat i dorosła w nie gościnnej okolicy, gdzie deszcze przybierają raz postać porywającej wszystko na swej drodze wodnej lawiny, kiedy indziej zaś z nieba nie spada ani kropla, słońce olbrzymieje, wypełniając sobą cały horyzont, a świat zmienia się w pustynię. Jej jedyną zaletą i jedynym zajęciem do ukończenia dwunastego roku życia było przetrwanie, mimo głodu i wiecznego znużenia. Podczas niekończącej się suszy przyszło jej pogrzebać czworo młodszego rodzeństwa, a gdy zrozumiała, że nadchodzi jej kolej, postanowiła ruszyć przez równiny w stronę morza, żeby przekonać się, czy po drodze uda jej się zmylić śmierć. Ziemia była wyjałowiona, spękana, usiana kamieniami, zeschniętymi drzewami i kolczastymi krzewami, szkieletami zwierząt pobielającymi od słońca. Od czasu do czasu natykała się na rodziny, które tak jak ona, zmierzały na południe, wabione nadzieją dotarcia do wody. Niektórzy z tych ludzi rozpoczynali wędrówkę, dźwigając dobytek na ramionach lub pchając go przed sobą na wózku, ale w miarę posuwania się naprzód coraz bardziej powłóczyli nogami, więc stopniowo porzucali wszystkie rzeczy po drodze. Z trudem wlekli się przed siebie, ich skóra robiła się sucha niczym skóra jaszczurki, a oczy wypalało słońce. Belisa pozdrowiała ich gestem ręki, lecz nie przerywała marszu, bo nie mogła tracić sił na okazywanie współczucia. Wielu padło po drodze, ona jednak była taka uparta, że zdołała przebyć to piekło i dotrzeć w końcu do pierwszych źródeł: wątych i niemal niewidocznych strużek wody, które podtrzymywały przy życiu rachityczną roślinność, a dalej zmieniały się w strumyki i rzeczulki.

Belisa Crepusculario przeżyła, a na dodatek odkryła przypadkiem pismo. Gdy weszła do pewnej wioski opodal wybrzeża, podmuch wiatru rzucił jej pod nogi stronę gazety. Wzięła do ręki żółty, cienki kawałek papieru i przyglądała mu się dłuższą chwilę, nie domyślając się,

do czego służy. Wreszcie ciekawość przewyciężyła onieśmielenie i podeszła do mężczyzny, który mył konia w tej samej kałuży brudnej wody, w jakiej przedtem ugasiła pragnienie.

- Co to jest? - spytała.

- Strona gazety z wiadomościami sportowymi - odparł mężczyzna, nie wykazując zdziwienia jej niewiedzą.

Ta odpowiedź wprawiła dziewczynkę w osłupienie, ale nie chciała sprawić wrażenia bezczelnej, więc ograniczyła się do zapytania o znaczenie tych owadzich nówek, narysowanych na papierze.

- To słowa, dziecko. Tu jest napisane, że Fulgencio Barba znokautował Murzyna Tiznao w trzeciej rundzie.

Tamtego dnia Belisa Crepusculario dowiedziała się, że słowa chodzą samopas, bez właściciela, i każdy, kto wykaże odrobinę obrotności, może je przejąć na własność, żeby nimi handlować. Rozważyła swoją sytuację i doszła do wniosku, że poza prostytutką lub służbą w kuchni u bogatych państwa zostaje jej niewiele zajęć, jakich mogłaby się podjąć. Sprzedawanie słów wydało jej się wyborem uczciwym, więc od tej chwili poświęciła się temu zajęciu i nigdy nie zainteresowała się innym. Oferowała swój towar, nie podejrzewając na początku, że słowa można pisać nie tylko w gazetach. Gdy się tego dowiedziała, zrozumiała, że jej praca stwarza nieograniczone możliwości, więc z zaoszczędzonych pieniędzy zapłaciła dwadzieścia pesos pewnemu księdzu, żeby nauczył ją czytać i pisać, a za trzy pesos, które jej zostały, kupiła sobie słownik. Przeczytała słownik od A do Z, a potem wrzuciła do morza, bo nie zamierzała oszukiwać klientów słowami z konserwy.

Pewnego sierpniowego poranka, kilka lat później, Belisa Crepusculario siedziała pośrodku jakiegoś placu osłonięta namiotem i sprzedawała właściwe argumenty pewnemu starcowi, który od siedemnastu lat walczył o rentę. Był to dzień targowy i zewsząd otaczał ją zgłęb. Nagle dały się słyszeć tętent i krzyki. Podniosła wzrok znad kartki i najpierw ujrzała tuman kurzu, a zaraz potem grupę jeźdźców, którzy wtargnęli na plac. Byli to ludzie pułkownika. Dowodził nimi Mulat, olbrzym znany w całej okolicy z szybkiego sztyletu i lojalności wobec swego szefa. Zarówno on, jak i pułkownik całe życie bili się w wojnie domowej, a ich nazwiska kojarzyły się nierozdzielnie z bitewną wrzawą i nieszczęściem. Jeźdźcy wpadli do wioski jak rozpedzone stado, mokrzy od potu, wzbudzając ogólny tumult i siejąc przerażenie niczym nadciągający huragan. Kury rozpierzchły się, trzepocząc skrzydłami, psy pognały przed siebie na oślep, kobiety uciekły, zabierając dzieci, i na środku placu nie została ani jedna żywa dusza prócz Belisy Crepusculario. Nigdy wcześniej nie widziała Mulata, więc zdziwiła się, gdy do niej właśnie się zwrócił.

- Ciebie szukam - krzyknął, wskazując na nią zwiniętym biczem i nim skończył te słowa, dwóch ludzi runęło z góry na Belisę, rozwalając jej namiot i tłukąc kałamarz. Najpierw związali jej ręce i nogi, a potem przerzucili niczym marynarski worek przez grzbiet wierzchowca Mulata i natychmiast wszyscy ruszyli galopem w kierunku wzgórz.

Po długich godzinach, gdy Belisa Crepusculario była już bliska śmierci, bo od ciągłego podskakiwania na grzbiecie konia jej serce omal nie starło się na proch, poczuła, że się zatrzymują i czworo potężnych rąk zdejmuje ją na ziemię. Spróbowała stanąć na nogach i unieść z godnością głowę, ale siły ją zawiodły, runęła na ziemię z cichym westchnieniem i pogrzyżyła się w mrocznym śnie. Nocne szmery na polu zbudziły ją po dalszych kilku godzinach, nie miała jednak czasu rozejrzeć się dookoła, bo gdy tylko otworzyła oczy, trafiła na niecierpliwe spojrzenie pochylonego nad nią Mulata.

- Nareszcie się budzisz, kobieto - powiedział, podając jej manierkę, żeby łyknęła z niej wódki z prochem i całkiem wróciła do siebie.

Chciała znać powód tak okropnego traktowania, więc Mulat wyjaśnił, że jej usługi potrzebne są pułkownikowi. Pozwolił jej tylko przemyć twarz wodą i natychmiast zabrał na

sam koniec obozowiska, gdzie człowiek wzbudzający największą trwogę w kraju odpoczywał w hamaku zawieszonym między dwoma drzewami. Nie mogła dojrzeć jego twarzy, bo przesłaniał ją drgający cień listowia, cieniem kładły się na niej także lata bandyckiego żywota. Pomyślała jednak, że musi to być twarz gotowego na wszystko drania, skoro jego olbrzymi adiutant zachowuje się tak uniżenie. Zaskoczył ją głos pułkownika, miękki i modulowany jak u nauczyciela.

- To ty sprzedajesz słowa? - spytał.

- Do usług - bąknęła, wpatrując się w mrok, żeby zobaczyć mężczyznę.

Pułkownik wstał z hamaka, a światło trzymanej przez Mulata pochodni oświetliło mu twarz. Kobieta ujrzała ogorzałe policzki i dzikie oczy pумы i zrozumiała od razu, że stoi przed nią najbardziej samotny człowiek na świecie.

- Chcę być prezydentem - powiedział.

Dość już miał ciągłego przemierzania tej przeklętej ziemi wszerz i wzdłuż, dosyć bezsensownych wojen i porażek, których żaden fortel nie potrafił zmienić w zwycięstwa. Od wielu lat sypiał pod gołym niebem, gryziony przez robactwo, żywiąc się iguanami i zupą węzową. Drobnie te niedogodności nie były jednak powodem, dla którego zapragnął odmienić swe życie. Naprawdę dokuczał mu strach, jaki wyzierał z ludzkich oczu. Marzył, by wkraczać do miasteczek pod triumfalnymi łukami, wśród kolorowych chorągiewek i kwiatów, chciał, żeby ludzie bili mu brawo i dawali w prezencie świeże jaja i świeżo upieczony chleb. Męczyła go świadomość, że mężczyźni przed nim uciekają, kobiety ronią z przerażenia, a dzieci dygocą ze strachu. Dlatego postanowił zostać prezydentem. Mulat radził, żeby ruszyli do stolicy, wpadli galopem do Pałacu i przejęli rządy tak, jak wcześniej zdobywali inne rzeczy, nikogo nie prosząc o pozwolenie. Pułkownik nie chciał jednak stać się kolejnym tyranem, bo w historii tego kraju było ich wystarczająco wielu, a poza tym nie zaskarbiłby sobie w ten sposób miłości ludzi. Chciał, żeby wybrali go w powszechnym głosowaniu podczas grudniowych wyborów.

- Dlatego muszę przemawiać jak kandydat na prezydenta. Możesz mi sprzedać słowa przemówienia? - spytał pułkownik Belisę Crepusculario.

Otrzymywała w przeszłości wiele różnych zleceń, ale żadne nie było podobne do tego. Nie mogła jednak odmówić, obawiała się, że Mulat wpakuje jej kulę między oczy albo, co byłoby jeszcze gorsze, że pułkownik się rozplacze. Chciała mu pomóc także dlatego, że na jego widok poczuła gwałtowne uderzenie ciepła, zapragnęła z całych sił dotknąć tego mężczyzny, przesuwać dłońmi po jego ciele, utulić go w swych ramionach.

Całą noc i dużą część następnego dnia Belisa Crepusculario wyszukiwała w swym repertuarze słowa odpowiednie do prezydenckiego przemówienia. Pilnujący kobiety Mulat nie odrywał oczu od jej mocnych nóg i dziewiczych piersi. Belisa odrzuciła słowa szorstkie i oschłe, a także nazbyt kwieciste, wyblakłe od nadmiernego używania, nie chciała słów, które obiecują rzeczy niemożliwe, są pozbawione prawdy i niejasne. Wybrała tylko takie, które potrafią celnie trafić do umysłu mężczyzn i intuicji kobiet. Wykorzystując wiedzę nabytą od księdza za dwadzieścia pesos, napisała przemówienie na kartce papieru, a potem dała znak Mulatowi, żeby rozwiązał linę, którą przywiązali ją za kostki u nóg do drzewa. Zaprowadzono ją ponownie do pułkownika, a gdy go zobaczyła, znowu poczuła ten sam pulsujący niepokój, co przy pierwszym spotkaniu. Podała mu kartkę i zastygła w oczekiwaniu, podczas gdy on patrzył na litery, trzymając papier koniuszkami palców.

- Co tu jest, u licha, napisane? - spytał w końcu.

- Nie umiesz czytać?

- Umiem się bić - odparował.

Przeczytała przemówienie na głos. Przeczytała je jeszcze trzy razy, żeby jej klient mógł sobie wszystko utrwalić w pamięci. Kiedy skończyła, dostrzegła wzruszenie na twarzach mężczyzn z oddziału, którzy przyszli jej posłuchać. Zauważyła też, że żółte oczy



pułkownika błyszcza entuzjazmem. Był przekonany, że dzięki słowom Belisy zdobędzie dla siebie fotel prezydenta.

- Jeśli po trzykrotnym wysłuchaniu przemówienia chłopaki dalej stoją z otwartymi gębami, znaczy, że się nadaje, pułkowniku - wyraził swą aprobatę Mulat.

- Ile sobie liczysz za tę pracę, kobieto? - zapytał szef.

- Jedno peso, pułkowniku.

- To niedrogo - powiedział, otwierając przytwierdzoną do paska torbę z resztkami ostatnich łupów.

- Masz jeszcze prawo do małej premii. Przysługują ci dwa słowa tajemne - powiedziała Belisa Crepusculario.

- Co to znaczy?

Zaczęła mu wyjaśniać, że za każde pięćdziesiąt zapłaconych centawów obdarowywała klienta jednym słowem na wyłączny użytek. Pułkownik wzruszył ramionami, ta oferta wcale go nie interesowała, ale nie chciał być nieuprzejmy wobec kogoś, kto tak mu się przysłużył. Ona podeszła nie spieszenie do stołka, na którym siedział, i pochyliła się, żeby dać mu zapowiadany prezent. Mężczyzna poczuł wówczas rozsiewany przez kobietę zapach wiejskiego zwierzęcia, ogniste ciepło buchające z jej bioder, groźne muśnięcie jej włosów, oddech pachnący miętą, gdy szeptała mu do ucha dwa tajemne słowa, do jakich miał prawo.

- Są twoje, pułkowniku - powiedziała, cofając się krok. - Możesz ich używać, kiedy zechcesz.

Mulat odprowadził Belisę aż na skraj drogi, przyglądając się jej uporczywie błagalnym wzrokiem bezdomnego psa, ale gdy wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, powstrzymała go potokiem wymyślonych naprędce słów. Słowa odeгнаły natychmiast jego pożądanie, bo pomyślał, że kobieta rzuca na niego jakąś nieodwołalną klątwę.

We wrześniu, październiku i listopadzie pułkownik wygłosił swoje przemówienie tyle razy, że gdyby nie składało się z łśniących i mocnych słów, zmieniłoby się w proch ze zużycia. Przemierzył cały kraj, przekonując wyborców, by na niego głosowali. Wjeżdżał do miast w triumfalnym nastroju, zatrzymywał się także w zapadłych wioskach, gdzie tylko śmieci świadczyły o obecności człowieka. Gdy on przemawiał na podium pośrodku placu, Mulat i jego ludzie rozdawali cukierki i malowali złotą farbą jego imię na murach, ale nikt nie zwracał uwagi na te sklepikarskie chwytły, bo wszyscy słuchali, olśnieni klarownością jego wywodu i poetyką jasnością argumentów, porwani jego chęcią naprawienia błędów popełnionych w przeszłości i po raz pierwszy w życiu weseli. Gdy kandydat kończył mówić, oddział oddawał salwę z pistoletów w powietrze i rzucał petardy. Gdy odjeżdżali, zostawiali po sobie smugę nadziei, która unosiła się w powietrzu przez wiele dni niczym wspaniałe wspomnienie po cudnej komecie. Pułkownik stał się szybko najpopularniejszym politykiem. Oto mężczyzna, którego ukształtowały lata wojny domowej, naznaczony bliznami, przemawia teraz jak profesor, a jego autorytet szerzy się w całym kraju, poruszając serce narodu. Nikt tu wcześniej nie widział niczego podobnego. Pułkownikiem zajęła się prasa. Dziennikarze przyjeżdżali z daleka, by zrobić z nim wywiad i rozgłosić jego poglądy. W ten oto sposób urosły zastępy jego zwolenników i wrogów.

- Dobrze nam idzie, pułkowniku - powiedział Mulat po dwunastu tygodniach sukcesów.

Ale kandydat go nie usłyszał. Powtarzał w myślach swoje dwa tajemne słowa. Robił to coraz częściej. Wypowiadał je, gdy dopadała go nostalgia, szeptał je przez sen, wiózł je ze sobą konno, myślał o nich przed rozpoczęciem słynnego przemówienia i łapał się na tym, że rozkoszuje się nimi także w chwilach bez troski. Ilekroć te dwa słowa przychodziły mu do głowy, przywoływały na myśl Belisę Crepusculario, a wtedy burzyły się w nim zmysły na wspomnienie wiejskiego zapachu, ognistego żaru, niebezpiecznego muśnięcia kosmyka

włosów i oddechu pachnącego miętą. Zaczął w końcu chodzić jak błędny i jego ludzie zrozumieli, że życie z niego ujdzie, nim zdobędzie fotel prezydencki.

- Co się z tobą dzieje, szefie? - wielokrotnie pytał Mulat, aż któregoś dnia pułkownik nie wytrzymał i wyznał, że winę za jego stan ducha ponoszą owe dwa słowa, które utkwily mu w brzuchu.

- Wypowiedz je, może wtedy stracą swoją moc - prosił wierny adiutant.

- Nie powiem, są tylko moje - odparł pułkownik.

Nie mogąc patrzeć, jak stan jego szefa pogarsza się z dnia na dzień, niczym stan skazańca oczekującego na wykonanie wyroku śmierci, Mulat zarzucił karabin na ramię i ruszył na poszukiwanie Belisy Crepusculario. Tropił jej ślady wzdłuż i wszerz kraju, aż znalazł ją w końcu w miasteczku na południu, gdy siedziała pod płachtą swego wysłużonego namiotu i recytowała litanię wiadomości. Stał przed nią w rozkroku, a w ręce trzymał broń.

- Jedziesz ze mną - rozkazał.

Czekała na niego. Schowała kałamarz, złożyła lnianą płachtę rozpiętą nad straganem, zarzuciła na ramiona szal i bez słowa wspięła się na grzbiet konia. Podczas całej drogi nawet nie spojrzeli na siebie, bo pożądanie Mulata zmieniło się we wściekłość i tylko strach, jaki czuł przed jej językiem, nie pozwalał mu pociąć jej biczem na kawałki. Nie chciał jej także mówić, że pułkownik chodzi jak ogłupiały i to, czego nie dokonały długie lata wojny, sprawiło jedno zakłęcie wyszeptane do ucha. Trzy dni później dojechali do obozowiska i w obecności całego oddziału Mulat natychmiast zaprowadził swą zdobycz do dowódcy.

- Przywiozłem ci tę czarownicę, pułkowniku. Oddaj jej te słowa, a ona niech zwróci ci męstwo - powiedział, wycelowując lufę karabinu w kark kobiety.

Pułkownik i Belisa Crepusculario popatrzyli na siebie dłuższą chwilę, mierząc się na odległość wzrokiem. Zgromadzeni ludzie zrozumieli wówczas, że ich szef nie może już uwolnić się od czaru tych dwóch diabelskich słów, bo zobaczyli, jak drapieżne pumie oczy stają się potulne, gdy ona podchodzi i chwyta go za rękę.

## Rozpustna dziewczynka

Elena Mejias w wieku jedenastu lat była jeszcze niedożywionym pisklakiem. Miała ziemistoblądą cerę właściwą dzieciom, których czas upływa w samotności, była szczerbata z powodu późnego wychodzenia stałych zębów, miała włosy w mysim kolorze i wystające kości, które sprawiały wrażenie zbyt grubych w stosunku do niepozornego ciała, wydawało się, że przebijają skórę na kolanach i na łokciach. Wygląd nie zdradzał emocjonalnego charakteru dziewczynki ani jej skłonności do namiętnych snów. Nie rzucała się w oczy, gdy krzątała się po pensjonacie matki, wśród pospolitych mebli i wyblakłych zasłon. Bawiąc się wśród zakurzonych doniczek z geranium i wielkich paproci na patio lub nosząc kolacyjne dania z kuchennej płyty na stoły w jadalni, przypominała melancholijną kotkę. Lokatorzy rzadko zauważali dziewczynkę, a jeśli już ktoś zwrócił na nią uwagę, to wyłącznie po to, żeby kazać jej spryskać środkiem owadobójczym gniazdo karaluchów albo napęlić wodą zbiornik w łazience, gdy skrzypiąca pompa nie chciała tłoczyć wody na drugie piętro. Matka małej, umęczona ciągłym upałem i domowymi obowiązkami, nie miała ochoty na czułość ani czasu, by uważniej przyglądać się córce. Nie zauważyła więc, gdy Elena zaczęła się przeobrażać w inną istotę. W pierwszych latach życia była cichym i nieśmiałym dzieckiem, zawsze pograżonym w świecie swych tajemnych zabaw. Snuła się po kątach, mówiła sama do siebie i ssła palec. Wychodziła z domu tylko na targ albo do szkoły, nie wykazywała żadnego zainteresowania hałaśliwą czeredą rówieśników, bawiących się na ulicy.

Przemiana Eleny Mejias zbiegła się w czasie z przybyciem Juana Jose Bernala - Słowika, jak głosił afisz, który sam przybił gwoździem do ściany. Większość mieszkańców

pensjonatu stanowili studenci albo pracownicy jakiejś ponurej instytucji państwowej. Przyzwoite panie i dobrze wychowani panowie, jak mawiała jej matka, która chlubiła się tym, że nie przyjmuje pod swój dach byle kogo. Znała ich profesje, nie miała zastrzeżeń co do sposobu prowadzenia się i wiedziała, że mają wystarczająco dużo pieniędzy, by opłacać swój miesięczny czynsz z góry. Mieszkańcy pensjonatu zobowiązani byli także podporządkować się regulaminowi, który bardziej przypominał wymagania wobec kleryków w seminarium duchownym niż reguły życia hotelowego. Wdowa musi dbać o reputację, nie pozwoli, żeby mój pensjonat był przystanią włóczęgów i zwyrodnialców, często powtarzała matka, żeby nikt o tym nie zapominał, a tym bardziej Elena. Do obowiązków dziewczynki należało szpiegowanie gości oraz powiadamianie matki o każdym podejrzanym szczególe. Zajęcie to sprawiało, że stawała się jeszcze bardziej niematerialna; poruszając się bezszelestnie, rozpływała się w mrokach pokoi. Niepytana sama nigdy się nie odzywała i przeważnie pojawiała się niespodziewanie, jakby nagle wróciła z jakiegoś wymiaru rzeczywistości niedostępnego dla oczu zwykłych śmiertelników. Matka i córka same wykonywały całą pracę w pensjonacie, każda zajmowała się swoimi obowiązkami i rozumiały się w tym względzie bez słów. W ogóle rzadko odzywały się do siebie, a gdy już zdarzało im się zamienić parę zdań podczas sjeisty, to rozmowa ta najczęściej dotyczyła lokatorów. Czasami Elena próbowała ubarwić szare życie mężczyzn i kobiet przewijających się przez hotel bez śladu. Czyniła ich bohaterami jakichś niezwykłych fabuł, przydawała im wyrazistości, wplątując w zakazaną miłość lub w jakąś tragedię, ale matka miała niezawodnego nosa i od razu wiedziała, że dziewczynka fantazjuje. Wyczuwała też bezbłędnie, kiedy córka coś przed nią ukrywała. Zmysł praktyczny nigdy jej nie zawodził i dobrze orientowała się we wszystkim, co dzieje się pod jej dachem, wiedziała dokładnie, co kto robi o każdej porze dnia i nocy, ile jest cukru w spizarni, do kogo dzwonił telefon i gdzie leżą nożyczki. Była kiedyś wesołą i całkiem ładną kobietą, jej surowe, pozbawione wdzięku stroje nie umiały okiełznać namiętnej gotowości młodego jeszcze ciała. Tyle już jednak lat zajmowała się przyziemnymi sprawami, że uszła z niej cała świeżość ducha i radość życia. Kiedy do pensjonatu przyjechał Juan Jose Bernal i poprosił o wynajęcie pokoju, życie matki, a także życie Eleny, zmieniło się całkowicie.) Oczarowana pretensjonalną modulacją głosu Słowika oraz afiszem głoszącym jego sławę, sprzeniewierzyła się własnym zasadom i wynajęła mu pokój, choć wcale nie pasował do obrazu idealnego pensjonariusza. Berna! Powiedział jej, że śpiewa nocami i dlatego we dnie powinien odpoczywać, że z powodu tymczasowego braku angażu nie może zapłacić za miesiąc z góry i że rygorystycznie przestrzega pewnych nawyków żywieniowych i higienicznych, to znaczy, że jada tylko białe mięso i dwa razy dziennie bierze prysznic. Zdumiona Elena ujrzała, jak matka bez komentarza wpisuje nowego gościa do księgi meldunkowej i prowadzi go do pokoju, taszcząc z wysiłkiem jego ciężką walizkę, podczas gdy on idzie obok z gitarą w futerale i kartonową tubą ze schowanym w środku afiszem. Czając się przy ścianie, dziewczynka sunęła za nimi po schodach i jej uwadze nie uszedł skupiony wyraz twarzy, z jakim nowy gość wpatrywał się w mokre od potu i opięte perkalowym fartuchem pośladki gospodyni. Wchodząc do pokoju, Elena przekreśliła kontakt i wielkie łopaty zawieszzonego pod sufitem wentylatora zaczęły się obracać z piskiem zardzewiałego żelastwa.

Od tej chwili w domu nastąpiły inne porządki. Było więcej pracy, bo Bernal sypiał, gdy pozostali goście rozchodzili się do swych zajęć, godzinami zajmował łazienkę, pochłaniał ogromne ilości potrawy z królika, którą trzeba było oddzielnie dla niego gotować, często korzystał z telefonu i co chwila włączał żelazko, żeby prasować swoje wytworne koszule. Mimo to właścicielka pensjonatu nie żądała od niego żadnych dodatkowych opłat. Elena wracała ze szkoły w upalnej porze sjeisty, gdy dzień usychał w straszliwym, rozżarzonym do białości skwarze, ale Bernal dopiero wtedy zapadał w pierwszy sen. Z polecenia matki zdejmowała więc w progu buty, by nie zakłócić sztucznej ciszy, w jakiej pograżał się dom.

Dziewczynka spostrzegła też zmiany w zachowaniu matki. Zdała sobie z nich sprawę na długo, zanim pozostali mieszkańcy pensjonatu zaczęli szeptać po kątach. Najpierw wyczuła zapach, mocną, kwiatową woń, jaką rozsiewała wokół siebie matka i jaka długo unosiła się w pokojach, przez które przechodziła. Elena знаła każdy zakamarek domu, a długotrwały nawyk szpiegowania pomógł jej odkryć w spiżarni, schowany za paczkami ryżu i słoikami konserw, flakonik perfum. Potem spostrzegła ciemną linię kredki na powiekach, dotknięcie czerwieni na ustach, nową bieliznę, szeroki uśmiech na twarzy kobiety, ilekroć Bernal schodził wreszcie pod wieczór, świeżo wykąpany i z mokrymi jeszcze włosami zasiadał w kuchni, by pochłaniać swoje dziwne dania. Matka siadała naprzeciw niego, a on opowiadał jej epizody ze swego życia artystycznego i gdy dochodził do jakiegoś zrobionego komuś kawału lub splatanego figła, natychmiast wybuchał głośnym, dobywającym się z brzucha śmiechem.

Przez pierwsze tygodnie Elena czuła nienawiść do tego mężczyzny, który wypełniał dom i skupił na sobie całą uwagę jej matki. Napawały ją wstrętem jego natłuszczone brylantyną włosy, polakierowane paznokcie, mania czyszczenia sobie zębów wykałaczką. Patrzyła, jak pozwala się obsługiwać i jaki jest przy tym pedantyczny i beczelny. Zadawała sobie pytanie, co matka w nim widzi - przecież to tylko żaloszny awanturnik, śpiewak występujący w nędznych knajpach, o którym nikt nigdy nie słyszał, może nawet sutener, jak poszeptywała panna Zofia, jedna z najbardziej zasiedziałych pensjonariuszek. Ale potem, w pewien ciepły, niedzielny wieczór, gdy nie było nic do roboty i czas jakby stężał pośród czterech ścian budynku, Juan Jose Bernal wyszedł na patio z gitarą w ręce, zasiadł na ławce pod drzewem figowym i zaczął trącać struny. Dźwięki gitary zwabiły wszystkich gości, którzy gromadzili się jeden za drugim, początkowo nieśmiało, nie rozumiejąc dobrze powodu całego zamieszania, a potem ochoczo wytaszczyli krzesła z jadalni i zasiedli wokół Słowika. Miał pospolity, ale dobrze ustawiony głos i śpiewał z wdziękiem. Znał wszystkie stare meksykańskie bolera i *rancheras*, zaśpiewał też kilka sprośnych piosenek wojskowych, które wywołały na twarzach kobiet rumieniec. Po raz pierwszy, odkąd dziewczynka sięgała pamięcią, w pensjonacie zapanowała atmosfera zabawy. Kiedy zapadł mrok, zapalili i zawiesili na drzewach dwie parafinowe lampki, przynieśli też piwo i butelkę rumu, przechowywaną w domu jako lek na przeziębienia. Elena drżała, podając szklanki, chłonęła całym ciałem śmiałe słowa piosenek, a łkanie gitary rozpałało ją niczym gorączka. Stopa matki wybijała rytm. Nagle matka wstała, chwyciła Elenę za rękę i zaczęła z nią tańczyć. Pozostali natychmiast przyłączyli się, nawet panna Zofia, choć zrazu krygowała się i chichotała nerwowo. Elena kołysała się dłuższą chwilę w rytm śpiewu Bernala i uszczęśliwiona wtulała się w matkę, wdychając jej nowy, kwiatowy zapach. Wkrótce jednak poczuła, że matka delikatnie ją odpycha, żeby tańczyć sama. Z zamkniętymi oczyma i odrzuconą do tyłu głową kobieta falowała niczym poruszana wiatrem płachta materiału. Elena cofnęła się kilka kroków, pozostali też wrócili niespiesznie do swoich krzeseł, zostawiając odurzoną tańcem gospodynię pensjonatu samą pośrodku patia.

Od tamtej nocy Elena zaczęła patrzeć na Bernala innymi oczyma. Zapomniała o wstręcie, jaki w niej budziły brylantyna, wykałaczki i arogancja. Ilekroć widziała, jak przechodzi obok, lub słyszała, że coś do kogoś mówi, od razu wracały do niej piosenki z tamtej zaimprovizowanej zabawy i znowu czuła żar ciała i pomieszanie zmysłów, którego nie potrafiła nazwać słowami. Przyglądała mu się ukradkiem z oddali i powoli odkrywała to, czego przedtem nie umiała zauważyć: jego ramiona, szeroki, mocny kark, zmysłowe, wydatne usta, piękne zęby, eleganckie i delikatne dłonie o długich palcach. Zawładnęło nią nieznośne pragnienie, by podejść do niego, przytulić twarz do śniadej piersi, usłyszeć granie powietrza w płucach i bicie serca, wciągnąć nozdrzami jego zapach. Przeczuwała, że musi

być ostry i wytrawny, jak zapach garbowanej skóry albo tytoniu. Wyobrażała sobie, że bawi się jego włosami, dotyka mięśni pleców nóg, poznaje palcami kształt stopy, przemienia się w mglisty obłok, by wślizgnąć mu się do gardła i wypełnić go całego sobą. Gdy jednak mężczyzna napotykał jej spojrzenie, Elena wpadała w popłoch i uciekała, żeby ukryć się na podwórku w najdalszych chaszczach. Bernal zawładnął wszystkimi jej myślami, z trudem znosiła uciążliwie wlokące się godziny z dala od niego. Będąc w szkole, poruszała się jak w malignie, nie słyszała i nie widziała niczego prócz obrazów, jakie tworzyła jej własna wyobraźnia i w których on był główną postacią. Co może teraz robić? Może śpi na brzuchu w łóżku, przy spuszczonej żaluzji? Pokój pogrążony jest w półmroku, wentylator miele gorące powietrze, po plecach mężczyzny płynie strużka potu, a twarz jest zanurzona w poduszce. Na pierwszy dźwięk dzwonka obwieszającego koniec lekcji rzuciła się biegiem do domu, modląc się w duchu, by on jeszcze się nie zbudził. Wtedy ona zdąży się umyć i włożyć czyste ubranie, a potem usiądzie i będzie na niego czekać w kuchni, udając, że odrabia lekcje, bo inaczej matka zamęczyłaby ją domowymi pracami. Gdy potem słyszała, jak pogwizduje, wychodząc z łazienki, konała z niecierpliwości i ze strachu. Była pewna, że umarłaby z rozkoszy, gdyby jej dotknął lub choćby do niej przemówił. Całym sercem tego pragnęła, a równocześnie była gotowa ukryć się na jego widok, bo nie mogła bez niego żyć, ale zarazem nie potrafiła wytrzymać jego palącej obecności. Po kryjomu wszędzie za nim chodziła, usługiwała mu przy każdym drobiazgu, zgadywała jego pragnienia, gotowa podać mu to, czego potrzebuje, nim jeszcze o to poprosił. Pojawiała się i znikwała jak cień, jakby chciała ukryć swoje istnienie.

Nocami Elena nie mogła spać, bo jego nie było w domu. Wstawała z hamaka i błędziła niczym zjawa po pierwszym piętrze, żeby wreszcie zebrać się na odwagę i wejść dyskretnie do pustego pokoju Bernala. Zamykała za sobą drzwi i unosiła trochę żaluzje, żeby wpuścić do pokoju światło ulicy. W tym bladym świetle odprawiała wymyślony przez siebie rytuał, chcąc zawładnąć duszą mężczyzny, którego zapachem przesiąknięte były znajdujące się w pokoju przedmioty. Najpierw przyglądała się sobie długo w ciemnej i połyskliwej niczym błotnista kałuża tafla lustra, ponieważ i on się w tym lustrze przeglądał i ślady dwóch odbić mogłyby się połączyć w uścisku. Zbliżała twarz do lustra, spoglądając na siebie oczyma mężczyzny, całowała w lustrze własne usta, a ten zimny i długi pocałunek zdawał jej się gorący jak jego usta. Dotykała ciałem szklanej powierzchni, a wtedy nabrzmiwały jej małe jak wiśnie piersi, wywołując tępy ból, który biegł do dołu i umiejscawiał się dokładnie między nogami. Szukała tego bólu raz i drugi. Wkładała wyjęte z szafy buty i koszulę Bernala. Bardzo ostrożnie, żeby nie hałasować, robiła kilka kroków po pokoju i tak ubrana przeszukiwała jego szuflady, czesała się jego grzebieniem, ssła szczoteczkę do zębów, lizła krem do golenia, gładziła rękami jego brudną bieliznę. Potem, sama nie wiedząc, dlaczego to robi, zdejmowała koszulę i buty Bernala, a także własną koszulę nocną i kładła się naga na łóżku, wdychając zachłannie zapach mężczyzny, wyobrażając sobie jego ciepło, otulając się tym ciepłem. Dotykała rękami swego ciała, poczynając od filigranowych chrząstek uszu, krawędzi oczodołów i zagłębienia ust. Później schodziła niżej, przesuwając dłonie wzdłuż kości, po zagięciach i wypukłościach swego drobnego ciała i z całych sił pragnęła być ogromna, ciężka i zwałista jak wieloryb. Wyobrażała sobie, że wypełnia się lepka i słodka jak miód ciecżą, że rozrasta się do rozmiarów jakiejś ogromnej lalki i zajmuje w końcu swym nabrzmiętym ciałem całe łóżko, cały pokój, cały dom. Wycieńczona tymi zabawami przysypiała czasem na kilka minut, cichutko popłakując.

Pewnego sobotniego poranka Elena zobaczyła przez okno, jak Bernal podchodzi od tyłu do jej matki, która płukała pranie pochylona nad balią. Mężczyzna położył kobiecie dłoń w tali, a ona nie poruszyła się, jakby ciężar tej dłoni stał się częścią jej własnego ciała. Elena spostrzegła z daleka jego zawłaszczający gest i pełną oddania postawę matki, zażyłą bliskość

oobja i dreszcz, który łączył ich ze sobą cudowną tajemnicą. Poczwała, jak fala potu oblewa ją od stóp do głowy, nie mogła złapać tchu, jej serce tłukło się między żebrami niczym przerażony ptak, piekły ją ręce i nogi, krew pulsowała w palcach, jakby chciała je rozsadzić. Od tamtego dnia zaczęła śledzić matkę.

Dowody, jakich szukała, uzyskiwała jeden po drugim. Początkowo były to tylko spojrzenia, zbyt długie powitanie, porozumiewawczy uśmiech, podejrzenie, że dotykają się nogami pod stołem i że wymyślają preteksty, żeby zostać ze sobą sam na sam. Wreszcie pewnej nocy, gdy po odprawieniu swych miłosnych obrzędów wracała z pokoju Bernala, usłyszała szmer cichy niczym szum podziemnej rzeki, dobiegający z pokoju matki. Zrozumiała Wówczas, że gdy ona była przekonana, że Bernal zarabia na życie nocnymi występami, on przez cały czas znajdował się w pokoju matki, po drugiej stronie korytarza. Gdy ona całowała jego wspomnienie w lustrze i wciągała w nozdrza zapach, jaki zostawiał na pościeli, on był z jej matką. Dzięki zwinności ćwiczonej przez długie lata przedostała się do pokoju niezauważona i zobaczyła ich, jak oddają się rozkoszy. Kochankowie leżeli w łóżku, oświetleni ciepłym światłem lampy przykrytej abażurem z frędzlami. W tym świetle matka zmieniała się w inną osobę; była różowa i zaokrąglona, miała obfite kształty, jęczała cicho i przypominała falujący morski polip - same macki i przyssawki, wyłącznie otwory, ręce i nogi. Wiła się na łóżku przyklejona do wielkiego ciała Bernala, który, na odmianę, wydał się Elenie sztywny i niezdamny, poruszał się konwulsyjnie jak konar drzewa targany przez wściekłe podmuchy wiatru. Nigdy wcześniej dziewczynka nie widziała nagiego mężczyzny i zaskoczyły ją podstawowe różnice w budowie anatomicznej. Męska natura wydała jej się brutalna i potrzebowała dobrej chwili, żeby przezwyciężyć grozę i zmusić się do patrzenia. Szybko jednak górę wzięła fascynacja tym, co widziała, więc przyglądała się z wielką uwagą, żeby nauczyć się od matki gestów, które wprawiały w zachwyt Bernala i miały większą siłę niż siła całej jej miłości, wszystkich modlitw, marzeń i milczących nawoływań, większą niż siła jej magicznych obrzędów, jakie miały go do niej sprowadzić. Była pewna, że klucz do tajemnicy jest ukryty w pieszczotach i szeptach i jeśli zdoła wejść w jego posiadanie, Juan Jose Bernal będzie z nią sypiał w hamaku, który co noc zawieszala na dwóch hakach w pokoju.

Kilka następných dni Elena przeżyła w ponurym nastroju. Straciła całkowicie zainteresowanie otoczeniem, nawet myśl o Bernalu zepchnęła w podświadomość i zanurzyła się w świat własnych fantazji, który całkowicie zastąpił świat żywych. Wykonywała codzienne czynności machinalnie, siłą przyzwyczajenia, nieobecna duchem. Matka zauważyła jej brak apetytu i przypisała to zbliżającemu się wiekowi dojrzewania, choć Elena była jeszcze stanowczo za młoda. Znalazłszy jakąś wolną chwilę, usiadła z córką sam na sam i wyłuszczyła jej skutki, jakie pociąga za sobą figiel losu, który sprawił, że urodziła się kobietą. Dziewczynka wysłuchiwała w przewrotnym milczeniu długiej przemowy o biblijnych klątwach i krwi miesięcznej. Była przekonana, że jej się to nigdy nie przytrafi.

We środę Elena poczuła głód po raz pierwszy od tygodnia. Wzięła otwieracz do konserw i łyżkę, poszła do spiżarni i pożarła zawartość trzech puszek bobu, zdjęła też stearynową, czerwoną osłonę z holenderskiego sera i zjadła go niczym jabłko. Potem wybiegła na podwórko i, zgięta w pół, zwymiotowała zieloną papkę na liście geranium. Ból brzucha i cierpki smak w ustach przywróciły jej poczucie rzeczywistości. W nocy spała wreszcie spokojnie zwinięta w kłębek w hamaku, ssąc palec jak niemowlę. We czwartek zbudziła się radosna, pomogła matce przygotować kawę dla hotelowych gości, a przed wyjściem na lekcje zjadła z nią w kuchni śniadanie. W szkole jednak uskarżała się na silne skurcze żołądka. Krzywiła się tak bardzo i tyle razy prosiła o pozwolenie wyjścia do ubikacji, że w środku zajęć nauczycielka kazała jej wracać do domu.

Elena poszła okrężną drogą, omijając uliczki swojej dzielnicy i podeszła do domu od

tyłu, od strony wężowu. Łatwiej niż się spodziewała, pokonała mur ogrodzenia i przez nikogo niezauważona zeskoczyła na podwórko. Wyliczyła sobie, że o tej porze matka będzie na targu, a ponieważ tego dnia sprzedawano świeże ryby, zabawi tam pewnie dłużej niż zwykle. W domu znajdowali się tylko Juan Jose Bernal i panna Zofia, która od tygodnia nie chodziła do pracy z powodu napadu artretyzmu.

Elena schowała książki i buty pod pledami i wślizgnęła się do środka domu. Weszła ostrożnie po schodach, przyciskając się do ściany i wstrzymując oddech do chwili, gdy usłyszała radio ryczące na cały regulator w pokoju panny Zofii. Wtedy poczuła się pewniej. Drzwi pokoju Bernala ustąpiły od razu. W środku było ciemno, więc przez chwilę nic nie widziała, bo przychodziła wprost z rozświetlonej blaskiem dnia ulicy. Znała jednak ten pokój na pamięć, wiele razy zmierzyła go krokami, wiedziała, gdzie leży każdy przedmiot, w którym dokładnie miejscu skrzypi podłoga i jak daleko od drzwi stoi łóżko. Po chwili oczy przyzwyczyły się do mroku i z ciemności wynurzyły się kontury mebli. Wkrótce mogła także dostrzec mężczyznę na łóżku. Nie spał na brzuchu, jak wyobrażała to sobie wiele razy, ale leżał na wznak, ubrany tylko w krótkie kalesonki, z jedną ręką wyciągniętą przy boku, a drugą złożoną na piersi i z kosmykiem włosów na twarzy. Elena poczuła, że nagromadzone w ostatnich dniach strach i niecierpliwość nagle ją opuszczają, a ich miejsce zajmuje kojący spokój osoby, która wie, co należy robić. Miała wrażenie, że przeżyła już tę chwilę wiele razy. Pomyślała sobie, że nie ma się czego bać, że chodzi o rytuał nieco tylko odmienny od poprzednich. Zdjęła powoli szkolny mundur, choć nie odważyła się zdjąć także bawełnianych majtek. Podeszła do łóżka. Widziała teraz Bernala wyraźnie. Usiadła na krawędzi, tuż obok dłoni mężczyzny, starając się, by ciężar jej ciała nie spowodował żadnej dodatkowej zmarszczki na prześcieradle. Pochyliła się powoli, aż jej twarz znalazła się w odległości kilku centymetrów od twarzy śpiącego, poczuła ciepło jego oddechu i słodkawy zapach ciała. Położyła się przy nim jak najostrożniej i powoli rozprostowała każdą nogę tak, by go nie obudzić. Zamarła na chwilę w bezruchu, wsłuchując się w ciszę, aż wreszcie postanowiła położyć mu dłoń na brzuchu w prawie niezauważalnej pieśczości. Dotyk jego ciała wywołał w niej uczucie duszności, miała też wrażenie, że w całym domu rozlega się łomot jej serca i zaraz obudzi śpiącego. Potrzebowała kilku minut, żeby dojść do siebie, a gdy upewniła się, że Bernal leży nadal nieruchomo, rozluźniła napięte ramię i oparła dłoń całym ciężarem, co i tak nie zaburzyło jego snu. Elena przypomniała sobie zachowanie, jakie widziała u matki, i wsuwając palce pod gumkę spodenek, odnalazła równocześnie usta mężczyzny i pocałowała go tak, jak czyniła to tyle razy przed lustrem. Bernal westchnął przez sen i objął ramieniem jej talię. Drugą ręką chwycił dłoń dziewczynki, by ją prowadzić w pieśczości i mrużąc imię kochanki, rozchylił usta do pocałunku. Elena usłyszała imię swej matki, lecz zamiast się wycofać, przycisnęła się do mężczyzny jeszcze bardziej. Bernal chwycił ją w pasie i dopasowując do swego ciała, posadził na sobie, a potem rozpoczął pierwsze miłosne ruchy. Dopiero wtedy, wyczuwając na sobie niezwykłą kruchość tej lekkiej niczym ptaszek istotki, otworzył oczy w nagłym przeblysku świadomości, który wyrwał go z miękkiego obłoku snu i Elena poczuła, jak jego ciało tężeje. Potem chwycił ją pod pachy i odrzucił z taką siłą, że upadła na podłogę. Poderwała się jednak i podeszła znowu, żeby go objąć. Bernal uderzył ją w twarz i wyskoczył z łóżka przerażony.

- Rozpustnica! Mała rozpustnica! - krzyknął.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła panna Zofia. Siedem następnych lat Elena spędziła w internacie prowadzonym przez zakonnice, trzy dalsze lata studiowała w stołecznym uniwersytecie, a potem rozpoczęła pracę w banku. W tym czasie jej matka wyszła za swego kochanka za mąż i we dwoje nadal prowadzili pensjonat. Zgromadzili w końcu tyle oszczędności, żeby wyprowadzić się do domku na wsi, gdzie hodowali goździki i chryzantemy, które sprzedawali potem w mieście. Słownik oprawił swój afisz w złotą ramkę i powiesił na ścianie, ale przestał już śpiewać w nocnych barach i nikt za nim nie tęsknił. Nigdy

nie towarzyszył żonie podczas odwiedzin u przybranej córki, nigdy też o nią nie pytał, żeby nie wzniecać wątpliwości we własnej duszy, często jednak myślał o niej. Przechował w pamięci, nietknięty upływem czasu, obraz dziewczynki. Pozostała dla niego lubieżną, małą istotką, której miłość odrzucił. W miarę upływu lat wspomnienie kruchego ciała, dziecinnej dłoni na swym brzuchu, języka dziecka w swoich ustach, zmieniło się w rodzaj obsesji. Gdy obejmował obfite kształty żony, musiał skrupulatnie przywoływać w wyobraźni obraz Eleny, żeby osiągnąć coraz bardziej nieuchwytnie uczucie rozkoszy. Wstępował do sklepów z dziecięcymi ubraniami i kupował dziewczęce, bawełniane majtki, a potem dotykał ich namiętnie, pieszcząc równocześnie siebie samego. Potem wstydził się tego, palił majtki lub zakopywał je na patio, starając się o wszystkim zapomnieć. Z upodobaniem krążył wokół szkół i parków i przyglądał się z daleka małym dziewczynkom, żeby na kilka krótkich chwil przenieść się w rozkoszną otchłań tamtego niezapomnianego czwartku.

Elena miała dwadzieścia siedem lat, gdy po raz pierwszy przyjechała w odwiedziny do matki, żeby przedstawić jej narzeczonego, wojskowego w randze kapitana, który od wielu lat ubiegał się o jej rękę. Młodzi przyjechali w chłodny, listopadowy wieczór; on ubrany po cywilnemu, by nie sprawić wrażenia aroganta w galowym mundurze; ona objuczona prezentami. Bernal czekał na te odwiedziny z niepokojem młodziaka. Bez końca przeglądał się w lustrze, wnikliwie studiując własne odbicie. Zastanawiał się, czy Elena zauważy zmiany, czy też stwierdzi, że Słowik oparł się upływowi czasu. Przygotowywał się na spotkanie, dobierając słowa i wyobrażając sobie wszystkie możliwe odpowiedzi. Nie przyszło mu tylko do głowy, że zamiast namiętnego stworzenia, jakie wprowadziło tyle zamętu w jego myślach, zjawi się chłodna i nieśmiała kobieta. Bernal poczuł się zdradzony.

Po euforii powitań, kiedy matka i córka opowiedziały już sobie najnowsze wiadomości, wystawili krzesła na patio, by nacieszyć się wieczornym chłodem. W powietrzu unosił się ciężki zapach goździków. Bernal zaproponował, żeby wypili po łyku wina i Elena poszła z nim po kieliszki. Znaleźli się na kilka chwil sami, twarzą w twarz w wąskiej kuchni. On, który od dawna czekał na taką okazję, przytrzymał kobietę za ramię i powiedział, że nastąpiła fatalna pomyłka, że tamtego ranka był zaspany i nie wiedział, co robi, bo inaczej nie zrzuciłby jej na podłogę ani nie obraził w taki sposób, że błaga ją o litość i wybaczenie, co pomoże mu odzyskać rozum, bo przez te wszystkie lata gorąco jej pragnie i ta namiętność wzburza w nim krew i deprawuje duszę. Elena spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. O jaką rozpustną dziewczynkę może mu chodzić? Dzieciństwo było dla niej odległą krainą, a ból pierwszej i odrzuconej miłości tkwił w jakimś zapieczętowanym raz na zawsze zakamarku pamięci. O tamtym czwartku nie zachowała żadnego wspomnienia.

## Klarysa

Klarysa przyszła na świat w czasach, gdy w mieście nie było elektryczności, ale zdążyła jeszcze zobaczyć w telewizji pierwszego astronautę stąpającego po powierzchni Księżyca, a umarła ze zdumienia, gdy podczas papieskiej wizyty wyszli Ojcu Świętemu na powitanie homoseksualiści przebrani za zakonnice. Dzieciństwo minęło jej wśród krzaków paproci i w domach oświetlonych lampami oliwnymi. W tamtej epoce dni płynęły leniwie. Klarysa nigdy nie przystosowała się do gwałtownych zmian, jakie niosą ze sobą dzisiejsze czasy. Zawsze sprawiała na mnie wrażenie osoby z jakiegoś dziewiętnastowiecznego portretu w kolorze sepii. Z pewnością miała kiedyś dziewiczą kibić, wdzięczny wygląd i klasyczny profil, lecz kiedy ją poznałam, była już trochę zdziwaczałą staruszką z ramionami uniesionymi lekko w górę niczym dwa garby. Na głowie miała łojotokową cystę wielkości gołębiego jaja, wokół której zaczesywała siwe włosy. Spoglądała figlarnie i przenikliwie,



zdolna dostrzec najgłębiej ukrytą nikczemność. Za życia zdobyła sobie sławę świętej, a odkąd nie żyje, wiele osób trzyma jej zdjęcie na domowym ołtarzyku, obok innych świętych obrazków. Proszą ją o wstawiennictwo przy mniejszego rodzaju kłopotach, choć Watykan oficjalnie nie uznał jej zdolności czynienia cudów i pewnie nigdy nie uzna, bo Klarysa nie uzdrowia ślepców jak święta Łucja, nie znajduje mężów starym pannom jak święty Antoni, a pomaga tylko znieść dolegliwości po przepiciu, wymigać się od poboru do wojska i uniknąć pułapek samotności. Jej cuda są skromne, ale ludzie ich tak samo potrzebują jak okazałych cudów świętych z katedry.

Poznałam ją w młodości, kiedy pracowałam jako służąca w domu Senory, damy nocy, jak Klarysa nazywała kobiety trudniące się tym zawodem. Już wówczas przypominała ducha, sprawiała wrażenie osoby, która zaraz oderwie się od ziemi i uleci przez okno. Miała mądre ręce znachorki i ci, co nie mogli opłacić lekarza albo zawiedli się na tradycyjnej medycynie, czekali w kolejności, by ulżyła im w cierpieniach lub pocieszyła w nieszczęściu. Moja chlebodawczyni wzywała ją zazwyczaj po to, by przyłożyła do jej pleców swoje dłonie. Korzystając z okazji, Klarysa grzebała w duszy Senory, bo chciała odmienić jej życie i wprowadzić na ścieżkę cnoty, którą tamta wcale nie paliła się podążać, bowiem podobna decyzja zrujnowałaby jej interesy. Klarysa przekazywała jej lecznicze ciepło swych dłoni przez dziesięć lub piętnaście minut, a jako rekompensatę za swoje usługi przyjmowała sok owocowy. Siadając naprzeciw siebie w kuchni, obie kobiety gawędziły o tym, co ludzkie, i o tym, co boskie, moja chlebodawczyni bardziej o tym, co ludzkie, a ona bardziej o tym, co boskie, nie naruszając zasad tolerancji i dobrego wychowania. Potem zmieniłam pracę i straciłam Klarysę z oczu na całe dwadzieścia lat, a gdy spotkałyśmy się znowu, odnowiłyśmy przyjaźń i utrzymujemy ją po dzień dzisiejszy, nie przejmując się zbytnio różnymi pojawiającymi się przeszkodami, włącznie ze śmiercią Klarysy, która, co prawda, wprowadziła pewien bałagan w nasze wzajemne kontakty.

Również w czasach, gdy podeszły wiek uniemożliwiał jej poruszanie się z takim uduchowionym entuzjazmem jak dawniej, Klarysa trwała w uporze, by przychodzić z pomocą bliźniemu, nawet jeśli bliźni wcale sobie tego nie życzył, jak to było choćby w przypadku chuliganów z ulicy Republica, którzy z ponurą rezygnacją musieli znosić przemowy tej dobrej kobiety w jej niezmiennym zapale, by wykierować ich na ludzi. Klarysa wyzbywała się wszystkich swoich rzeczy, by ofiarować je potrzebującym, ale na ogół dysponowała tylko ubraniami, które miała na sobie, i aż do końca życia trudno jej było napotkać biedaków biedniejszych od niej samej. Miłosierdzie działało w obie strony i wreszcie trudno się było połączyć, kto daje, a kto dostaje.

Mieszkała w rozwalającym się trzypiętrowym domu, niektóre pokoje stały tam puste, inne wynajęto na magazyn napojów wysokokowych, tak że w powietrzu ciągle unosił się smród alkoholu. Nie wyprowadzała się z tego odziedziczonego po rodzicach domu, bo przypominał jej dawne czasy oraz dlatego, że ponad czterdzieści lat wcześniej jej mąż pogrzebał się żywcem w pokoju w głębi podwórza. Mąż Klarysy był sędzią w odległej prowincji i godnie spełniał swój urząd aż do przyjścia na świat drugiego dziecka. Przeżył wielkie rozczarowanie, więc schował się, niczym kret, w zatęchłej norze pokoju. Wychodził bardzo rzadko, podobny do płochliwego cienia, a drzwi otwierał tylko po to, żeby wystawić nocnik i zabrać jedzenie, jakie żona codziennie mu zostawiała. Porozumiewał się z nią za pomocą pisemnych i nieskazitelnie wykaligrafowanych komunikatów oraz uderzeń w drzwi, dwa oznaczały tak, trzy - nie. Zza ścian pokoju dobiegał astmatyczny kaszel i szewskie przekleństwa, nie wiadomo do kogo kierowane.

- Biedak. Oby Bóg jak najszybciej powołał go do siebie i pozwolił mu śpiewać w chórze aniołów - wzdychała Klarysa bez cienia ironii. Jednak Boża Opatrzność nie zechciała sprawić, by opuścił ziemski padół w stosownym czasie. Przeżył Klarysę i żyje do dnia dzisiejszego, choć ma już pewnie ponad sto lat - chyba że umarł, a kaszel i przekleństwa

dochodzące z pokoju są tylko echem przeszłości.

Klarysa wyszła za niego za mąż, bo pierwszy się jej oświadczył, a rodzice uważali, że sędzia to najlepsza partia z możliwych. Porzuciła stateczny dobrobyt rodzinnego domu i nie oczekując lepszego losu, przyzwyczaiła się do sknerstwa i pospolitości swego męża. Jeden jedyny raz, gdy pozwoliła sobie wrócić pamięcią do dawnego, pełnego subtelnych rozrywek życia, opowiedziała o fortepianie, którym rozkoszowała się w dzieciństwie. W ten sposób dowiedzieliśmy się o jej zamiłowaniu do muzyki, a dużo później, gdy była już staruszką, podarowaliśmy jej w kilkoro przyjaciół skromne pianino. Nie uderzała w klawiaturę od blisko sześćdziesięciu lat, ale usiadła na taborecie i bez najmniejszego zawahania zagrała z pamięci nokturn Chopina

Dwa lata po ślubie z sędzią przyszła na świat dziewczynka albinoska. Matka zaczęła zabierać ją do kościoła, gdy tylko mała nauczyła się stawiać pierwsze kroki. Dziewczynkę do tego stopnia zachwycił przepych liturgii, że ściągała zasłony z okien, żeby przebierać się za biskupa i wkrótce bawiła się wyłącznie w naśladowanie gestów wykonywanych podczas mszy i śpiewanie pieśni religijnych w wymyślonej przez siebie odmianie łacin);'. Była opóźniona w rozwoju, mówiła coś w sobie tylko znanych językach, śliniła się bez przerwy i dostawała niekontrolowanych napadów złości, podczas których trzeba ją było wiązać niczym wiezione na targ zwierzę, bo inaczej gryzła meble i rzucała się na ludzi. W okresie dojrzewania uspokoiła się i pomagała matce w pracach domowych. Synek urodził się z pogodnymi, mongalskimi rysami twarzy, w której nie było śladu zainteresowania światem. Jediną umiejętnością, jakiej się nauczył, było utrzymywanie się na rowerze. Nie miał z tego wielkiego pożytku, bo matka nigdy nie pozwoliła mu na jeżdżenie poza domem. Spędził całe życie, pedałując na rowerze bez kół, przytwierdzonym na stałe do podstawy ustawionej na patio.

Nienormalność dzieci nie zachwiała optymizmem Klarysy. Uważała, że są to czyste, odporne na zło duszyczki i porozumiewała się z nimi czułymi słowami. Największą jej troską było uchronienie dzieci przed ziemskimi cierpieniami, często zadawała sobie pytanie, kto się nimi zajmie, gdy jej już zabraknie. Natomiast ojciec nigdy o nich nie wspominał, uczepił się opóźnionych dzieci jako pretekstu, żeby ze wstydu porzucić pracę, przyjaciół, a nawet przestać wychodzić na świeże powietrze. Pogrzebał się żywcem w swoim pokoju i z cierpliwością średniowiecznego mnicha zajął się przepisywaniem gazet do zeszytu. Żona wydała do ostatniego grosza swój posag i odziedziczony majątek, a potem miała się różnych zajęć, żeby utrzymać rodzinę. Własny niedostatek nie znieczulił jej na biedę innych i nawet w najtrudniejszych okresach życia nie zaniechała miłosiernych uczynków.

Klarysę cechowała bezgraniczna wyrozumiałość dla ludzkich słabości. Gdy była już siwą staruszką, szła pewnej nocy w swoim pokoju, nasłuchując dziwnych hałasów dochodzących z domu. Wstała, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale nie zdołała wyjść za próg, bo w drzwiach wpadła na jakiegoś draba, który przystawił jej nóż do szyi.

- Ani słowa, kurwo, bo cię załatwię jednym ruchem – zagroził.
- Pomyliłeś się, synku. Damy nocy są po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie muzyka.
- Bez żartów, to jest napad.
- Co takiego? - uśmiechnęła się z niedowierzaniem Klarysa. - A co mi chcesz ukraść?
- Siadaj na krześle, zwiążę cię.
- Mowy nie ma, synku, mogłabym być twoją matką, traktuj mnie z szacunkiem.
- Siadaj!
- Nie krzycz, bo przestraszysz mego męża, a on jest delikatnego zdrowia. Przy okazji schowaj też nóż, bo jeszcze kogoś skaleczysz - powiedziała Klarysa.
- Niech mnie pani słucha, przyszedłem panią okraść - wymamrotał zbity z tropu napastnik.
- Jaka to tam kradzież! Nie pozwolę, żebyś popełnił grzech. Dam ci trochę pieniędzy z

własnej woli. Wcale mi ich nie zabierasz, sama ci daję. Jasne? - Poszła po torebkę i wyjęła pieniądze, jakie jeszcze miała na resztę tygodnia. - Więcej nie mam. Jak widzisz, żyjemy tu dosyć skromnie. Chodź ze mną do kuchni, zaparzę herbatę.

Mężczyzna schował nóż i poszedł za nią, trzymając w garści banknoty. Klarysa zaparzyła herbatę, podała ostatnie herbatniki, jakie jeszcze były w domu, i zaprosiła go, by usiadł w saloniku.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten dziwaczny pomysł, żeby okraść taką biedną staruszkę?

Łódziej opowiedział, że obserwował ją od wielu dni, wiedział, że mieszka samotnie, i pomyślał sobie, że w takim dużym domu musi być coś do zabrania. To jego pierwszy skok, powiedział, ma czworo dzieci, jest bez pracy i nie może znowu wrócić do domu z pustymi rękoma. Ona mu na to, że zbyt wiele ryzykuje, bo nie dość, że mogą go aresztować, to sam się może skazywać na piekło, choć, prawdę mówiąc, wątpi, by Bóg chciał go tak surowo ukarać, co najwyżej posłałby go do czyśćca, oczywiście, gdyby wyraził skruchę i nigdy więcej nie kradł. Zaproponowała mu, że wciągnie go na listę swych podopiecznych i przyrzekła nie informować władz o napadzie. Na pożegnanie ucałowali się w policzki. Przez następne dziesięć lat, aż do śmierci Klarysy, mężczyzna na każde Boże Narodzenie przysyłał jej pocztą mały upominek.

Nie wszyscy znajomi Klarysy byli tego pokroju, знаła również ludzi szanowanych, panie z dobrych rodzin, bogatych handlowców, bankierów, a nawet ludzi sprawujących funkcje publiczne. Chodziła do nich, by prosić o pomoc dla bliźnich, i nie zastanawiała się, jak ją przyjmą. Pewnego dnia przyszła do biura posła Diego Cienfuegosa, znanego ze swych płomiennych przemówień oraz z tego, że choć był jednym z niewielu nieprzekupnych polityków w kraju, to i tak został ministrem, a potem zapisał się w historii jako twórca traktatu pokojowego. Klarysa była wówczas młoda i odrobinę nieśmiała, ale miała już w sobie tę ogromną stanowczość, jaka cechowała ją też na starość. Prosiła posła, żeby użył swych wpływów i pomógł zdobyć nowoczesną lodówkę dla siostrzyczek ze zgromadzenia Matki Teresy. Mężczyzna spojrział na nią ze zdumieniem, pytając o powody, dla których powinien pomagać swoim politycznym przeciwnikom.

- Bo setka dzieci dostaje co dzień darmowy obiad w jadalni u siostrzyczek, a niemal wszystkie to dzieci komunistów i ewangelików, którzy na pana głosują - odparła spokojnie Klarysa.

W ten sposób między obojgiem narodziła się dyskretna przyjaźń, która miała polityka kosztować wiele nieprzespanych nocy i wiele przysług. Używając tej samej nieodpartej logiki, Klarysa uzyskiwała od jezuitów stypendia szkolne dla niewierzących dzieci, od Akcji Dam Katolickich używaną odzież dla prostytutek ze swojej dzielnicy, od Instytutu Niemieckiego instrumenty muzyczne dla hebrajskiego chóru, od właścicieli winnic fundusze na programy odwykowe dla alkoholików.

Okazało się, że ani ukrycie się męża w mauzoleum własnego pokoju ani długie godziny wyczerpującej, codziennej pracy nie stały się dla Klarysy przeszkodą, by ponownie zająć się ciążą. Położna uprzedziła ją, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa urodzi następne nienormalne dziecko, ale Klarysa uspokoiła ją, mówiąc, że Bóg zachowuje równowagę we wszechświecie i tak, jak powołuje do życia pewne rzeczy skrzywione, tak samo stwarza inne, proste, każdą cnotę równoważy jakiś grzech, a każdą radość nieszczęście, wszystko się równoważy w odwiecznie obracającym się kole życia. Wahadło wychyla się raz w jedną, raz w drugą stronę, z zadziwiającą dokładnością, mówiła.

Ciąża minęła Klarysie spokojnie i wreszcie wydała na świat trzecie dziecko. Urodziła je w domu, w obecności położnej i dwójki upośledzonych dzieci, nieszkodliwych i pogodnych istot, które spędzały czas na zabawach - dziewczynka mruczac coś bez ładu i

składu w przebraniu biskupa, a chłopczyk pedałując donikąd na nieruchomym rowerze. Tym razem wahadło wychyliło się w odpowiednią stronę, by mogła zostać zachowana harmonia stworzenia, i na świat przyszedł zdrowy chłopczyk, o bystrych oczach i silnych dłoniach. Wdzięczna matka położyła go sobie na piersi. Czternaście miesięcy później Klarysa urodziła następnego syna, podobnego do poprzedniego.

- Ci będą się zdrowo chować, żeby pomóc mi w)opiece nad pierwszą dwójką - postanowiła, wierna swej teorii wyrównywania strat, i tak było w istocie, bo młodszy synowie okazali się zdrowi jak rydze i obdarzeni pogodnym usposobieniem.

Klarysa znalazła jakiś sposób, by utrzymać czwórkę dzieci bez pomocy męża i bez ubiegania się o miłosierną pomoc innych, co naraziłoby na szwank jej poczucie godności. Niewielu wiedziało o jej kłopotach finansowych. Z tym samym uporem, z jakim nocami szyła szmaciane lalki lub wypiekała weselne torty na sprzedaż, podejmowała też starania, by nie popadał w ruinę dom, którego ściany zaczynała pokrywać zielonkawa pleśń. W młodszych dzieciach wyrabiała dobry charakter i wpajała im nawyk szczodrości z tak znakomitym wynikiem, że przez następne lata synowie zawsze byli jej podporą w opiekowaniu się upośledzonym rodzeństwem aż do dnia, gdy dwoje starszych dzieci zatrzasnęło się w łazience, a ulatniający się gaz przeniósł ich łagodnie do lepszego świata.

Papież przyjechał, gdy Klarysa nie miała jeszcze skończonych osiemdziesięciu lat, choć niełatwo było obliczyć jej dokładny wiek, bo z kokieterii dodawała sobie lat, żeby potem usłyszeć, jak dobrze się trzyma. Głowę miała pełną pomysłów, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa, chodziła z trudem, traciła orientację na ulicy, apetyt miała coraz gorszy i wreszcie żywiła się tylko kwiatami i miodem. W miarę jak opuszczały ją siły, rosły jej równocześnie skrzydła, ale przygotowania do papieskiej wizyty przywróciły jej entuzjizm dla ziemskich spraw. Nie zgodziła się na oglądanie tego widowiska w telewizji, bo telewizor wzbudzał w niej głęboką nieufność. Żyła w przekonaniu, że nawet astronauta na Księżycu był jakąś bujną nakręconą w Hollywood, oszukańcze też były te wszystkie historie, w których główni bohaterowie kochali się albo umierali na niby, a tydzień później znowu się pokazywali na ekranie, doświadczając innych kolei losu. Klarysa chciała ujrzeć papieża na własne oczy, żeby nie pokazali jej na ekranie jakiegoś aktora o wyglądzie biskupa. Musiałam pójść razem z nią, by wiatować na cześć papieża podczas jego przejazdu przez miasto. Po kilku godzinach walki z naporem tłumu wiernych i sprzedawców gromnic, podkoszulków z nadrukami, polichromii i figurek świętych z plastiku, udało się dojrzeć Ojca Świętego. W swojej szklanej skrzyni na kółkach wyglądał okazale, jak biały morświn w akwarium. Klarysa padła na kolana i o mało nie zdeptał jej tłum wiernych oraz ochroniarzy. I właśnie wtedy, gdy miałyśmy papieża na odległość rzutu kamieniem, z jakiejś bocznej ulicy wynurzyła się kolumna mężczyzn przebranych za zakonnice i z makijażem na twarzach. Nieśli transparenty popierające aborcję, rozwody, homoseksualizm i prawo kobiet do święceń kapłańskich. Klarysa zaczęła drżącą ręką grzebać w torebce, znalazła okulary i włożyła je na nos, żeby się upewnić, czy nie pada ofiarą halucynacji.

- Chodźmy, dziecko. Dostyc już zobaczyłam - powiedziała całkiem błada.

Wyglądała tak źle, że zaproponowałam - aby wytrącić ją z przygnębienia - że kupię jej włos papieża, ale nie chciała, bo nie było gwarancji, że jest autentyczny. Ilość włosów oferowanych przez handlarzy była tak wielka, że dałoby się nimi wypchać kilka materaców, jak obliczyła pewna socjalistyczna gazeta.

- Jestem bardzo stara i nie rozumiem już świata. Najlepiej pójdę do domu.

Wróciła do domu wycieńczona, w głowie huczało jej jeszcze bicie dzwonów i wiaty. Wysłałam do kuchni, żeby ugotować jakąś zupę dla sędziego i zagrzać wodę na napar z rumianku, który mógł ją trochę uspokoić. W tym czasie Klarysa, z wyrazem głębokiej melancholii na twarzy, uporządkowała wszystkie rzeczy, potem podała ostatni talerz jedzenia swemu mężowi. Postawiła tacę przed zamkniętymi drzwiami i po raz pierwszy od

czterdziestu lat zapukała do drzwi.

- Ile razy mam mówić, żeby mi nie przeszkadzano? - zaprotestował zgrzybiałym głosem sędziego.

- Wybacz, kochanie, chcę tylko zawiadomić, że zamierzam umrzeć.

- Kiedy?

- W piątek.

- W porządku - odpowiedział, nie otwierając.

Klarysa wezwała synów, żeby ich uprzedzić o zbliżającym się końcu, a potem położyła się do łóżka. Miała duży, ciemny pokój, z ciężkimi mahoniowymi meblami, które zniszczały, zanim stały się antykami. Na komodzie stała szklana urna z woskową, zadziwiająco realistyczną figurką Dzieciątka Jezus, które sprawiało wrażenie świeżo wykapanego niemowlaka.

- Chciałabym, żebyś zatrzymała sobie Dzieciąteczko i opiekowała się nim, Ewo.

- Pani wcale nie umrze, proszę mnie nie straszyć.

- Musisz postawić je w cieniu, bo się stopi. Przetrwało niemal wiek i może przetrwać następny, jeśli będziesz je chronić przed zmianami temperatury.

Upięłam jej wysoko na głowie siwe włosy, przystroiłam wstążką i usiadłam obok, gotowa towarzyszyć jej w tej trudnej godzinie i niepewna, o co właściwie chodzi, bo chwila była pozbawiona wszelkiego patosu, jakby naprawdę nie chodziło o agonię, lecz o jakieś łagodne przeziębienie.

- Dobrze by było, gdybym się wypowiedziała. Nie myślisz, córeczko?

- Jakie pani może mieć grzechy, Klaryso!

- Życie jest długie i czasu w nim aż nadto, by źle postępować z bożą łaską.

- Pani pójdzie prosto do nieba, jeśli niebo istnieje.

- Jasne, że istnieje, ale wcale nie jest pewne, że mnie tam przyjmą. Są dosyć surowi - mruknęła. A po długiej przerwie dodała: - Wspominając moje przewinienia, widzę, że jest jedno dosyć poważne ...

Poczułam dreszcz ze strachu, iż ta staruszka z aureolą świętej powie mi, że umyślnie pozbyła się swych opóźnionych w rozwoju dzieci, by ułatwić zadanie sprawiedliwości bożej, albo że wcale nie wierzy w Boga, a poświęciła się czynieniu dobra na tym świecie tylko dlatego, że w ogólnym rozrachunku przypadło jej takie zadanie dla zrównoważenia zła wyrządzanego przez innych ludzi, zła, które ze swej strony było pozbawione wszelkiej wagi, bo wszystko jest częścią tego samego, nieskończonego procesu. Jednak Klarysa nie wyznała mi niczego dramatycznego. Odwróciła się do ściany i powiedziała z rumieńcem wstydu na twarzy, że odmówiła wypełniania swych powinności małżeńskich.

- Co to znaczy? - spytałam.

- No, cóż. Chodzi mi o niezaspokajanie cielesnych pragnień mego męża. Rozumiesz?

- Nie.

- Jeśli kobieta odmawia mężowi swego ciała, a on ulega pokusie ulżenia sobie z inną kobietą, na kobietę spada moralna odpowiedzialność.

- Teraz rozumiem. Sędzia cudzołoży, a grzech ciąży na pani.

- Nie, nie. Wydaje mi się, że na obojgu, trzeba by o to zapytać.

- Czy mąż jest to samo winien swojej żonie?

- ?

- Chodzi mi o to, że gdyby to pani miała innego mężczyznę, winien wtedy byłby pani mąż?

- Co też ci przychodzi do głowy, córeńko! - spojrzała na mnie osłupiała.

- Proszę się nie martwić, jeśli pani najgorszy grzech polega na wymigiwaniu się od uciech cielesnych z sędzią, to jestem pewna, że Bóg potraktuje to z przymrużeniem oka.

- Nie sądzę, żeby Bóg miał w tych sprawach poczucie humoru.

- Powątpiewanie w boską doskonałość to jest dopiero ciężki grzech, Klaryso.

Wyglądała tak zdrowo, że trudno było sobie wyobrazić, by miała wkrótce odejść. Założyłam jednak, że święci, w odróżnieniu od zwykłych śmiertelników, posiadają moc umierania bez strachu i przy zachowaniu wszystkich swych władz. Jej autorytet był tak ugruntowany, że wiele osób zapewniało, że widzi świetlisty krążek wokół jej głowy i słyszy dźwięki muzyki niebiańskiej. Dlatego nie zdziwiłam się wcale, gdy rozebrawszy ją, żeby włożyć koszulę nocną, spostrzegłam na jej ramionach dwa guzki w stanie zapalnym, jakby wkrótce miała z nich wyrosnąć para anielskich skrzydeł.

Szybko rozeszła się wieść o agonii Klarysy. Jej synowie i ja zajęliśmy się długą kolejką ludzi, którzy przychodzili prosić ją o wstawiennictwo w niebie w różnych sprawach albo po prostu chcieli się pożegnać. Wielu oczekiwało, że w ostatniej chwili zdarzy się jakiś znaczący cud, na przykład przenikający powietrze zapach stęchłych butelek zmieni się w perfumy kameliowe lub też jej ciało rozbłyśnie promieniami ukojenia. Pojawił się przyjaciel bandyta, który nie zszedł z raz obranej drogi i stał się już prawdziwym zawodowcem. Usiadł przy łóżku umierającej i opowiedział jej o swych przypadkach bez cienia skruchy.

- Bardzo dobrze mi idzie. Teraz włamuję się tylko do domów w bogatej dzielnicy. Okradam bogatych, a to nie grzech. Nigdy nie musiałem użyć przemocy, pracuję czystymi metodami, jak dżentelmen - wyjaśnił z pewną dumą.

- Będę się musiała dużo za ciebie modlić, synu.

- Módl się, babuniu, to nie zaszkodzi.

Zjawiła się też przygnębiona Senora, żeby pożegnać swą drogą przyjaciółkę, przyniosła wieniec kwiatów i ciasteczka do jedzenia podczas czuwania przy chorej. Moja dawna chlebodawczyni nie poznała mnie, ja jednak rozpoznałam ją bez trudu, bo nie zmieniła się zbyt wiele, wyglądała dość dobrze mimo swej tuszy, peruki i ekstrawaganckich, plastikowych butów ze złotymi gwiazdkami. W odróżnieniu od złodzieja Senora przyszła powiedzieć Klarysie, że jej dawne rady padły na podatny grunt i że jest teraz uczciwą chrześcijanką.

- Powiedz to świętemu Piotrowi, niech mnie wykreśli z czarnej listy - poprosiła.

- Jak strasznie rozczarują się ci wszyscy dobrzy ludzie, jeśli zamiast do nieba, pójdę smażyć się w piekielnych kadziach - westchnęła umierająca, gdy wreszcie zamknęłam drzwi, żeby mogła trochę odpocząć.

- Jeśli tak się stanie tam, w górze, to tu, na dole, nikt się o tym nie dowie, Klaryso.

- Lepiej że nie.

Od piątkowego świtu na ulicy zaczął się gromadzić tłum i synowie z najwyższym trudem opanowali gwałtowną ochotę wiernych, by zabrać sobie jakąś relikwię, poczynając od kawałka tapety ze ściany, a skończywszy na skromnej odzieży świętej. Klarysa gasła w oczach i po raz pierwszy można było dostrzec, że bierze swoją śmierć poważnie. Około godziny dziesiątej zatrzymał się przed domem niebieski samochód z tablicą rejestracyjną Kongresu. Kierowca pomógł wysiąść starcowi, którego tłum natychmiast rozpoznał. Był to don Diego Cienfuegos, uważany za bohatera po tylu dziesięcioleciach służby publicznej. Synowie Klarysy wyszli, żeby go przywitać i towarzyszyli mu podczas pełnego trudu wchodzenia na drugie piętro. Widząc go w progu pokoju, Klarysa ożywiła się, policzki znowu jej się zaróżowiły, a oczy rozbłyły.

- Proszę cię, zabierz wszystkich z pokoju i zostaw nas samych - szepnęła mi do ucha.

Dwadzieścia minut później otworzyły się drzwi i don Diego Cienfuegos wyszedł, ciężko powłócząc nogami. Miał szklany wzrok i wyglądał jak zmaltretowany paralytyk, ale uśmiechał się. Synowie Klarysy, którzy czekali w korytarzu, wzięli go znowu z dwóch stron pod ramiona, żeby mu pomóc, i wtedy, widząc ich razem, znalazłam potwierdzenie czegoś, co już wcześniej zauważyłam. Trzej mężczyźni mieli tę samą posturę i profil, tę samą spokojną pewnością siebie, te same mądre oczy i mocne dłonie.

Poczekalam, az zejda ze schodow, i wrócila do mojej przyjaciółki. Podeszlam, zeby poprawic jej poduszki, i zobaczyłam, ze ma w oczach, tak samo jak jej gość, lzy radości.

- To don Diego był pani najcięższym grzechem, prawda? - szepnęłam.

- To nie był grzech, córeńko, tylko przyjdzie z pomocą Bogu, zeby zrównoważyć przeznaczenie. Sama widzisz, jak świetnie się udało, bo za dwoje dzieci opóźnionych w rozwoju dostałam dwoje zdrowych, zeby się nimi opiekowały.

Tej nocy Klarysa umarła bez trwogi. Z powodu raka, postawił diagnozę lekarz, widząc wzgórki skrzydeł; ze świątobliwości, orzekli wierni stłoczeni na ulicy z gromnicami i kwiatami. A ja uważam, że ze zdziwienia, bo byłam z nią razem na ulicy, gdy odwiedził nas papież.

## Pyszczek ropuchy

Czasy były ciężkie na południu. Nie na południu kraju, lecz świata, gdzie pory roku są odwrócone i zima nie wypada na Boże Narodzenie, jak u kulturalnych narodów, ale w połowie roku, jak u ludów prymitywnych. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać tylko kamienie, trawiasty *coirón* i lód, rozległe równiny, co w miarę zbliżania się do Ziemi Ognistej rozsypują się w różaniec wysepek, zaśnieżone szczyty łańcucha gór zamykającego daleki horyzont. Cisza panuje tu od zarania czasu, niekiedy tylko zakłóca ją podziemne westchnienie lodowców, ześlizgujących się powoli ku morzu. To surowa okolica, zamieszкана jedynie przez prostych ludzi. Na początku wieku nie było tam niczego, co Anglicy mogliby zagrabić, uzyskali jednak pozwolenie na hodowlę owiec. W kilka lat zwierzęta rozmnożyły się tak bardzo, że z oddali wydawały się obłokami uchwyconymi tuż nad ziemią, zjadły całą roślinność i zdeptały ostatnie ślady tubylczej kultury. W takim właśnie miejscu Hermelinda zarabiała na życie wymyślnymi zabawami.

Olbrzymi budynek Towarzystwa Hodowców wyrastał na pustej równinie niczym dziwny tort, otoczony nedorzecznym trawnikiem. Przed skutkami surowego klimatu troskliwie ochraniała trawnik żona zarządcy, która nie mogła przyzwyczać się do życia z dala od serca Imperium Brytyjskiego i nadal przebierała się w eleganckie suknie, zeby zjeść kolację z mężem, flegmatycznym dżentelmenem, dumnie kultywującym staroświeckie zwyczaje. Kreolscy robotnicy mieszkali w obozowisku z baraków, oddzieleni od swych chlebodawców żywopłotami z kolczastych krzewów dzikich róż, które daremnie starały się ograniczyć bezkres pampy i stworzyć cudzoziemcom złudzenie miłej, angielskiej okolicy.

Pilnowani przez strażników zarządu, udręczeni zimnem, tęskniący całymi miesiącami za domową zupą parobcy znosili swoją niedolę równie samotni jak owcze stada, którymi się zajmowali. Wieczorami któryś zawsze sięgał po gitarę, a wtedy okolica rozbrzmiewała sentymentalnymi piosenkami. Taki był w nich głód miłości, mimo mocnych ziół dodawanych przez kucharza do jedzenia, by wyciszyć pragnienia cielesne, że robotnicy spółkowali z owcami, a czasem nawet z foką, gdy jakaś podpłynęła zbyt blisko brzegu i dała się złapać. Zwierzęta te mają wielkie wymiona, podobne do wezbranych mlekiem kobiecych piersi, a gdy się z nich zedrze skórę i jeszcze są żywe, ciepłe, pulsujące, mężczyzna w wielkiej potrzebie może zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że trzyma w objęciach syrenę. Mimo tych wszystkich niedogodności robotnicy mogli spędzać czas weselej niż ich chlebodawcy, a to dzięki niedozwolonym zabawom Hermelindy.

Była to jedyna młoda kobieta w tej rozległej krainie, nie licząc angielskiej damy, która wychodziła poza żywopłot z róż tylko po to, zeby postrzelać do królików. Widać było wówczas ledwo majaczącą z oddali woalkę jej kapelusza, a wszystkiemu towarzyszył piekielny huk wystrzałów i ujadanie psów myśliwskich. Hermelinda natomiast była swojska, była kobietą z krwi i kości, w jej żyłach płynęła zuchwała mieszanka krwi, a ona sama

chętnie oddawała się uciechom. Wybrała sobie ten zawód pocieszycielki ze szczerego powołania: w ogóle podobali jej się prawie wszyscy mężczyźni, a wielu w szczególności. Królowała wśród nich niczym pszczoła-matka. Kochała w nich zapach potu i pożądania, chrapliwe głosy, dwudniowy zarost, ciało krzepkie a równocześnie wrażliwe na dotyk jej rąk, zaczepny charakter i szczerę serce. Znała złudną twardość i krańcową słabość swoich adoratorów, ale nie wykorzystywała żadnej z tych cech, przeciwnie, obie wzbudzały w niej współczucie. Jej dzielna natura odznaczała się matczyną czułością i często noc zastawała ją na łataniu koszul, gotowaniu rosółu z kury dla jakiegoś chorego robotnika albo pisaniu listów miłosnych do dalekich narzeczonych. Zarabiała pieniądze na materacu wypchanym zgrzebną wełną, pod dziurawym, cynkowym dachem, który wydawał z siebie muzykę na flet i obój, gdy hulał po nim wiatr. Miała jędrne ciało i nieskazitelną skórę, śmiała się z ochotą i na śmiałości jej nie zbywało, czyli dawała dużo więcej, niż mogły zaoferować jakaś przerażona owca albo odarta ze skóry foka. W każdym uścisku, choćby nawet najkrótszym, była pełną entuzjazmu i figlarną przyjaciółką. Sława jej ud mocnych jak u jeźdźca i zawsze pełnych piersi rozeszła się po sześciuset kilometrach nieprzyjaznej prowincji i zalotnicy podróżowali z daleka, żeby spędzić krótką chwilę w jej towarzystwie. W piątki przybywali galopem zuchwalcy z tak odległych zakątków, że toczące pianę zwierzęta padały bez czucia. Angielscy chlebobawcy zabraniali picia alkoholu, ale Hermelinda radziła sobie z tym problemem, wyrabiając nielegalnie bimbler, który jej gościom poprawiał humor i rujnował wątrobę, a także służył jako paliwo do lamp w godzinach uciech. Zakłady zaczynały się po trzeciej kolejce wódki, gdy nie można już było skupić wzroku ani wyostrzyć myśli.

Hermelinda odkryła sposób, żeby zapewnić sobie pewny zysk bez żadnych krętactw. Oprócz kart i kości mężczyźni mieli do dyspozycji różne gry, w których zawsze jedyną nagrodą była jej osoba. Ci, którzy przegrywali, dawali jej pieniądze i wygrywający również je dawali, ale dodatkowo przysługiwało im prawo do spędzenia krótkiej chwili w jej towarzystwie. Nie uciekała się do żadnych wykrętów ani ceregieli, nie zbywało jej także na dobrej woli, nie miała jednak wystarczająco dużo czasu, żeby poświęcić każdemu więcej uwagi. Uczestnicy gry w ciuciubabkę zdejmowali spodnie, ale pozostawali w kamizelkach, czapkach i butach podbitych baranią skórą, dla ochrony przed arktycznym chłodem, który wlatywał przez szpary między deskami. Ona zawiązywała im oczy i rozpoczynało się szukanie. Czasem powstawała taka wrzawa, że śmiechy i sapanie przenikały nocą aż za różany żywopłot i dobiegały do uszu Anglików, ale ci pozostawali niewzruszeni, udając, że to tylko jakiś kaprys wiatru na pampie, i dalej raczyli się powściągliwie ostatnią przed udaniem się na spoczynek filiżanką cejlońskiej herbaty. Pierwszy, który dotknął ręką Hermelindy, wydawał z siebie triumfalne gdakanie i błogosławił swe szczęście, przyciągając ją do siebie. Inna gra nazywała się huśtawka. Hermelinda siadała na desce przymocowanej dwiema liniami do sufitu. Prowokując naglące spojrzenia mężczyzn, zginała i wyprostowywała nogi i wszyscy mogli zobaczyć, że nic nie ma pod żółtymi halkami. Gracze, ustawieni w szeregu, mieli tylko jedną szansę dopadnięcia jej i ten, któremu się to udało, lądował między udami piękności, huśtając się wśród fruujących halek, rozkołysany aż do szpiku kości i wreszcie uniesiony do nieba. Jednak bardzo niewiele udawała się ta sztuka: większość waliła się na podłogę wśród wybuchów śmiechu całej hałastry.

W grze nazwanej *pyszczek ropuchy* mężczyzna mógł przegrać w piętnaście minut całą miesięczną wypłatę. Hermelinda rysowała kredą linię na podłodze, a cztery kroki dalej zaznaczała szerokie koło, w środku którego kładła się z szeroko rozstawionymi kolanami, złocistymi w świetle lamp. Oczom zebranych ukazywał się wówczas ciemny środek jej ciała, otwarty niczym owoc, jak rozbawiony pyszczyk ropuchy. Atmosfera w pomieszczeniu stawała się gęsta i gorąca. Gracze ustawiali się za kredową linią i rozpoczynali rzuty do celu monetą. Niektórzy byli mistrzami w rzucaniu i rękę mieli tak wprawną, że potrafili zatrzymać przerażone zwierzę w pełnym biegu, zarzucając mu na nogi arkan z kamiennymi kulami.



Hermelinda robiła jednak zręczne i przemyślne uniki ciałem, usuwała się w ostatniej chwili tak, że moneta gubiła właściwy kurs. Monety, które łądowały wewnątrz kredowego koła, należały do niej, a jeśli jakaś wpadła do jej tunelu, wygrywała królewski skarb - dwie bite godziny sam na sam z Hermeliną, pełnię szczęścia, która była nagrodą za wszystkie doznane niedole i dawała przedsmak rajskich rozkoszy. Ci, co przeżyli te dwie cudowne godziny, mówili, że Hermelin da zna dawne miłosne tajemnice i potrafi doprowadzić mężczyznę na próg śmierci, by potem przywrócić go znowu do życia i wzbogaconego o niezwykle doznania.

Bardzo niewiele wygrało za parę groszy te dwie cudowne godziny, więc wielu decydowało się zapłacić za nie połowę miesięcznej pensji. Tak sprawy się miały aż do dnia, gdy pojawił się Asturyjczyk Pablo. Miała już wtedy odłożony niewielki kapitał, ale nie przyszło jej jeszcze na myśl, aby się wycofać i żyć bardziej konwencjonalnie - ta praca napawała ją prawdziwą radością, a poza tym czuła się dumna, że może ofiarować robotnikom krótkie chwile szczęścia. Pablo był chudzielcem o kościach drobnych jak kurczak i dłoniach małego chłopca, jego wygląd fizyczny pozostawał w całkowitej sprzeczności z ogromną siłą jego charakteru. Przy postawnej i pełnej życia Hermelindzie wydawał się nieobliczalnym pokurczem, ale ci, co sądzili, że będzie łatwym obiektem kpinek, srodze się zawiedli. Ilekroć niepozorny przybysz stawał się przedmiotem zaczepek, ciskał się niczym podrażniona żmija, gotowy bić się z każdym, kto mu wejdzie w drogę, ale wszelkie kłótnie Hermelinda tłumiała w zarodku, bo jej naczelną zasadą było niedopuszczanie do bijatyk pod własnym dachem. Pablo uspokajał się, gdy widział, że przestają z niego żartować. Na jego twarzy malowała się stanowczość i jakieś przygnębienie zarazem, mało się odzywał, a kiedy już otwierał usta, mówił z wyraźnym hiszpańskim akcentem. Wyjechał z ojczyzny, uciekając przed policją, i zarabiał na życie, przemycając towary przez andyjskie przełęcze. Dał się poznać jako arogancki, ponury odludek, za nic miał sobie przeciwieństwa klimatu, owce i Anglików. Był z tych, co to nigdzie nie zagrzeją miejsca, nie wdawał się w miłostki, nie uznawał żadnych obowiązków, miał już jednak za sobą pierwszą młodość i w kościach zaczynał odczuwać samotność. Czasem budził się o świcie na zmarzniętej ziemi, owinięty w czarny, kastylijski koc, z siodłem pod głową zamiast poduszki i łapał się na tym, że boli go całe ciało. Nie doskwierał mu jednak ból zeszywniałych mięśni, lecz zżerający go od środka smutek. Dostyc już miał włóczenia się niczym wilk samotnik, choć nie był przecież stworzony do potulnego życia w domu. Zjawił się tutaj, bo usłyszał pogłoskę, że na końcu świata żyje kobieta zdolna odmieńać kierunek wiatru, i chciał zobaczyć ją na własne oczy. Nie zawahał się, mimo wielkiej odległości i czyhających po drodze niebezpieczeństw, a gdy wreszcie stanął w gospodzie, mając Hermelinę na wyciągnięcie ręki, zrozumiał, że jest zrobiona z tego samego mocnego tworzywa co on i że po odbyciu tak długiej drogi nie warto już dalej żyć bez niej. Usadowił się w rogu sali, żeby uważnie obserwować gry i oszacować swoje szanse.

Asturyjczyk miał mocną głowę, więc mógł wypić wiele szklanek wódki Hermelindy, a oczy i tak nie zachodziły mu mgłą. Nie chciał się rozebrać, żeby wziąć udział w *rundzie świętego Michała* ani *wmandandirun-dirun-dan*, ani w innych zabawach, które wydały mu się zupełnie dziecinne. Gdy jednak, na sam koniec, przyszła pora na *pyszczek ropuchy*, odstawił szklankę i stanął w grupie mężczyzn wokół kredowego koła. Hermelinda wydała mu się piękna i dzika niczym lwica. Poczul, że budzi się w nim łowca, a zrodzony z samotności ból, który odczuwał w kościach podczas całej podróży, zmienia się w radosne podniecenie. Zobaczył stopy w bucikach, włóczkowe pończochy podtrzymywane pod kolanami elastyczną podwiązką, napięte mięśnie długich, złocistych ud pośród żółtych falbaniastych halek i zrozumiał, że tylko teraz ma szansę zdobyć tę kobietę. Zajął pozycję, przywierając stopami do podłogi i kołysząc lekko tułowiem, wyczuł dokładnie swój środek ciężkości, potem spojrzeniem ostrym jak nóż przygwoździł kobietę w jednym miejscu i zmusił, żeby zaniechała swych akrobatycznych sztuczek. A może było całkiem inaczej, może to ona wybrała go wśród innych, by obdarzyć swym towarzystwem. Pablo wbił w nią wzrok, zrobił

głęboki wdech i po kilku sekundach całkowitego skupienia rzucił monetą. Wszyscy widzieli, jak zatoczyła doskonały łuk i wpadła prosto do celu. Wyczyn został nagrodzony burzą oklasków i pełnymi zazdrości gwizdami. Przemysłnik z niewzruszonym wyrazem twarzy poprawił sobie pas u spodni, dał trzy wielkie kroki do przodu, wziął kobietę za rękę i postawił na nogi, jakby był gotów udowodnić jej w dwie godziny, że ona także nie będzie już mogła obejść się bez niego. Wyszedł, ciągnąc ją niemal za sobą, a pozostali zasiedli w sali, popatrując na zegarki i racząc się napitkami aż do chwili, gdy skończył się wyznaczony czas. Jednak ani Hermelinda, ani cudzoziemiec nie wrócili do towarzystwa. Minęły trzy godziny, cztery, cała noc, przyszedł świt i rozległ się dźwięk dzwonów wzywających do pracy, a drzwi nadal pozostawały zamknięte.

W południe kochankowie wyszli z pokoju. Nie spojrzawszy na nikogo, Pablo wyszedł osiodłać swego konia i konia dla Hermelindy, a także muła, który miał dźwigać bagaż. Kobieta ubrana była w spodnie i kurtkę podróżną, a do pasa przytroczyła brezentową torbę wypełnioną monetami. Jej oczy miały inny wyraz niż zwykle, a dobrze znane wszystkim poślądki kołysały się teraz z zadowoleniem. Oboje ułożyli ostrożnie swój dobytek na grzbietach zwierząt, dosiedli koni i ruszyli. Hermelinda zrobiła nieokreślony gest pożegnania w kierunku swych niepokieszonych wielbicieli i podążyła za Pablem Asturyjczykiem przez nagie równiny, nie oglądając się za siebie. Nie wróciła już nigdy.

Wyjazd Hermelindy wywołał wielką konsternację. Towarzystwo Hodowców powiesiło huśtawki dla rozrywki pracowników, zakupiło kości do gry i strzałki do rzucania do celu. Zamówiło też w Londynie wielką fajansową ropuchę z otwartym pyszczkiem, żeby robotnicy mogli ćwiczyć się, rzucając monetami. Z braku zainteresowania zabawki te wylądowały jednak w końcu jako ozdoba na tarasie zarządcy. Anglicy ciągle ich jeszcze używają, żeby zabić wieczorną nudę.

## **Złoto Tomasza Vargasa**

Zanim zaczęła się cała ta straszna szarpanina, by sprostać wymogom postępu, ci, którzy mieli jakieś oszczędności, zakopywali je w ziemi, bo to był jedyny znany sposób przechowywania pieniędzy. Dopiero później ludzie nabrali zaufania do banków. Kiedy zbudowano drogę i można było łatwiej dostać się do miasta autobusem, wymienili swoje złote i srebrne monety na malowane papiery i włożyli te papiery do sejfów, jakby to były jakieś skarby. Tomasz Vargas wykpiwał ich ze śmiechem, bo nigdy nie wierzył w ten system. Czas przyznał mu rację i gdy dobiegły kresu rządy Dobroczyńcy - a trwały, jak mówią, coś koło trzydziestu lat - papiery nie były nic warte i wiele z nich przyklejono do ścian dla ozdoby jako nie sławne wspomnienie naiwności ich właścicieli. Podczas gdy wszyscy pisali listy do nowego prezydenta oraz do gazet, żeby poskarżyć się na zbiorowe oszustwo z wprowadzeniem nowych banknotów, Tomasz Vargas miał swoje uncje złota bezpiecznie zakopane, choć nie wyzbył się dzięki temu obyczajów skąpca i żebraka. Był człowiekiem bez godności, pożyczał od ludzi pieniądze, nie mając zamiaru ich zwracać, jego dzieci były wiecznie głodne, a żona chodziła w łachmanach, kiedy on nosił eleganckie kapelusze i palił drogie cygara. Nie opłacał nawet chesnego w szkole, jego sześcioro prawowitych dzieci uczyło się za darmo, bo nauczycielka Ines postanowiła, że póki ona zachowa zdrowe zmysły i siły do pracy, żadne dziecko z miasteczka nie będzie pozbawione możliwości nauki czytania. Z wiekiem nie zatracił przywar czyniących z niego kłótnika, pijaka i kobieciarza. Poczytywał sobie za punkt honoru być największym samcem w okolicy, jak to oznajmiał wszem wobec na rynku, ilekroć tracił trzeźwy ogląd świata po kolejnym pijaństwie. Wykrzykiwał wtedy na cały głos imiona dziewczyn, które uwiódł, i bękartów, co miały domieszkę jego krwi. Gdyby w to wszystko wierzyć, musiałyby ich być ze trzysta, bo za każdym razem w napadzie szału

wykrzykiwał inne imiona. Policja zgarnęła go kilka razy i sam porucznik wymierzał mu osobiście płaskie uderzenia szablą po tyłku, żeby sprawdzić, czy to mu nie poprawi charakteru, ale kara odniosła taki sam skutek, jak napomnienia księdza z ambony. W gruncie rzeczy Tomasz szanował tylko Riada Halabiego, właściciela sklepu, dlatego sąsiedzi zawsze się do niego zwracali, gdy nabierali podejrzeń, że Vargas przebrał miarę w trwonieniu pieniędzy i nazbyt tłucze żonę oraz dzieci. Wówczas Arab wybiegał z takim pośpiechem zza lady, że zapominał o zamknięciu sklepu i zjawiał się, dysząc słusznym oburzeniem, na ranczu u Vargasów, żeby zaprowadzić tam porządek. Nie musiał wiele mówić, wystarczyło, że stary go zobaczył, od razu się uspokajał. Tylko Riad Halabi potrafił zawstydzić tego drania.

Antonia Sierra, żona Vargasa, była od niego szesnaście lat młodsza. Gdy osiągnęła czterdziestkę, miała już wygląd dość zniszczonej kobiety, nie został jej w ustach prawie żaden zdrowy ząb, a nadmiar pracy, liczne porody i skrobanki sprawiły, że jej zahartowane w bojach ciało Mulatki straciło dawny kształt. Mimo to zachowała jeszcze ślad minionej urody, sposób chodzenia z wysoko uniesioną głową i zaznaczoną talią, wielką dumę, która zniechęcała natychmiast każdego spieszącego okazać jej współczucie. Ledwie starczało jej dnia, żeby wykonać wszystkie czynności, bo oprócz opieki nad dziećmi i zajmowania się ogrodem oraz kurami, dorabiała kilka pesos, gotując obiady dla policjantów, przyjmując bieliznę do prania i sprzątając szkołę. Czasami chodziła z sińcami na całym ciele i choć nikt nie pytał, cała Agua Santa wiedziała, że to mąż ją pobił. Tylko Riad Halabi i nauczycielka Ines odważali się dawać jej dyskretne upominki - coś z ubrania, trochę żywności, zeszyty i witaminy dla dzieci, wymyślając przy tym wymówki, by jej nie urazić.

Antonia Sierra doświadczyła od męża wielu upokorzeń, łącznie z tym, że w jej własnym domu zamieszkała jego konkubina.

Concha Diaz przyjechała do Agua Santa jedną z ciężarówek Towarzystwa Naftowego. Była tak przygnębiona i w takim oplakany stanie, że wyglądała jak upiór. Kierowca ulitował się, widząc, jak stoi bosa na drodze, z węzełkiem na plecach i w ciąży. Ciężarówki zatrzymywały się przed sklepem, przejeżdżając przez miasteczko, dlatego Riad Halabi dowiedział się o całej sprawie jako pierwszy. Zobaczył ją w drzwiach, a po sposobie, w jaki rzuciła swój tobolek na ladę, odgadł natychmiast, że dziewczyna nie pojawiła się przejazdem, lecz po to, żeby zostać. Była młodziutka, śniada i niskiego wzrostu, z burzą kręconych, wyblakłych od słońca włosów, które chyba od dawna nie widziały grzebienia. Jak to miał w zwyczaju wobec nowych przybyszów, Riad Halabi podsunął Conchy krzesło i poczęstował orzeźwiającym sokiem ananasowym, gotowy wysłuchać opowieści o jej dolach i niedolach, jednak dziewczyna mało się odzywała, ciągle tylko wycierała sobie palcami nos, wzrok wbiła w podłogę, po policzkach ciekły jej obficie łzy, a między zębami mełła jakieś wyrzuty. Arab zrozumiał w końcu, że chce spotkać się z Tomaszem Vargasem i posłał po niego do gospody. Poczekał w drzwiach i gdy tylko zobaczył go przed sobą, chwycił za ramię i postawił twarzą w twarz z nieznaną, nie dając mu czasu na oswojenie się z sytuacją.

- Dziewczyna twierdzi, że dziecko jest twoje - powiedział Riad Halabi tym łagodnym tonem, jakiego używał, gdy był oburzony.

- Nie można tego udowodnić, Turku. Zawsze wiadomo, kto jest matką, ale co do ojca nigdy nie ma pewności - odparł tamten zmieszany, ale z wystarczającym animuszem, żeby zmrużyć łobuzersko oko, co nikomu się nie spodobało.

Tym razem kobieta wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem, mamrocząc wśród szlochów, że nie jechałaby taki szmat drogi, gdyby nie wiedziała, kto jest ojcem. Riad Halabi spytał Vargasa, czy mu nie wstyd, bo mógłby przecież być dziadkiem dziewczyny. Powiedział mu, że jeśli sobie wyobraża, że miasteczko będzie odpowiadać za jego grzechy, to się myli, że co on sobie właściwie myśli, ale gdy szloch dziewczyny nasilił się, dodał to, co i tak wszyscy wiedzieli, że powie.

- Już dobrze, dziecko, uspokój się. Możesz na jakiś czas zatrzymać się u mnie,

przynajmniej do narodzin maleństwa.

Concha Diaz zaczęła szlochać jeszcze bardziej i oświadczyła, że nie zamieszka nigdzie indziej jak tylko z Tomaszem Vargasem, bo po to właśnie przyjechała. W sklepie zrobiło się duszno, zapadła długa cisza, słychać było tylko zawieszone pod sufitem wentylatory i chlipanie kobiety. Nikt jednak nie miał śmiałości powiedzieć jej, że stary jest żonaty i ma sześcioro dzieciaków. Wreszcie Vargas wziął tobolek podróźnej i pomógł jej wstać.

- Dobrze, Conchita, jeśli tego właśnie chcesz, nie ma o czym mówić. Natychmiast idziemy do mojego domu - powiedział.

Takim właśnie sposobem, gdy Antonia Sierra wróciła z pracy, znalazła obcą kobietę we własnym hamaku i po raz pierwszy nie starczyło jej godności, by ukryć swoje prawdziwe uczucia. Jej wyzwiska rozległy się na głównej ulicy i odbiły echem aż na placu, wdarły się do domów, ogłaszając wszem wobec, że Concha Diaz jest ohydną zdzirą i że Antonia Sierra będzie jej zatruwać życie, dopóki nie wróci do rynsztoka, z którego nigdy nie powinna była wychodzić, że jeśli jej się wydaje, że dzieci Antonii będą mieszkać pod jednym dachem z taką kreaturą, to się myli, bo Antonia nie jest żadnym popychadłem, a jej mąż powinien bardziej uważać na to, co robi, bo Antonia zniosła już wystarczająco dużo cierpień i rozczarowań, wszystko dla dobra dzieci, biednych niewiniątek, ale dość już tego, teraz wszyscy się przekonają, kim jest Antonia Sierra. Miotła się z wściekłością przez tydzień, a potem krzyki zmieniły się w nieustające gderanie i kobieta z dnia na dzień straciła resztę urody, przestała nawet chodzić tak jak dawniej i powłóczyła teraz nogami jak zbity pies. Sąsiedzi starali jej się wytłumaczyć, że to nie Concha jest winna całemu zamieszaniu, lecz Vargas, ale ona nie miała ochoty słuchać głosów doradzających umiarkowanie lub sprawiedliwość.

Życie na rodzinnym ranczu nigdy nie było miłe, ale wraz z przybyciem konkubiny stało się prawdziwym piekłem. Antonia sypiała skulona w łóżku u dzieci, podczas gdy obok, w objęciach dziewczyny, chrapał jej mąż. Gdy tylko zaczynało świtać, Antonia musiała wstać, zaparzyć kawę, zagnieść ciasto na chleb kukurydziany, wyprawić dzieci do szkoły, zająć się warzywnikiem, zrobić obiad dla policjantów, prać i prasować. Robiła to wszystko jak automat, gdy tymczasem dusza jej krwawiła z goryczy. Odmówiła przygotowywania posiłków dla męża, więc Concha zajmowała się gotowaniem, gdy ona wychodziła z domu, żeby nie spotykać się przy kuchni. Nienawiść Antonii Sierry była tak wielka, że niektórzy w miasteczku uważali, że wreszcie zabije rywalkę, i poszli prosić Riada Halabiego i nauczycielkę Ines, żeby coś zrobili, nim będzie za późno.

Sprawy jednak potoczyły się inaczej. Po dwóch miesiącach brzuch Conchy przypominał dynię, a nogi tak bardzo napuchły, jakby żyły lada chwila miały się rozerwać. Bezustannie płakała, bo czuła się osamotniona i przestraszona. Tomasza Vargas zemdliło to ciągłe beczenie i postanowił wracać do domu tylko na noc. Kobiety nie musiały już zmieniać się przy kuchni. Concha nie miała odtąd żadnego bodźca, by się ubierać, więc cały pierwszy dzień przeleżała w hamaku, gapiąc się w sufit i nie miała nawet siły, żeby zrobić sobie kawę. Antonia nie zwracała na nią uwagi, ale wieczorem posłała jej przez jedno z dzieci talerz zupy i szklankę ciepłego mleka, żeby nie powiedzieli potem, że pozwala komuś umrzeć z głodu pod własnym dachem. Następnego dnia wszystko się powtórzyło, a po kilku dniach Concha wstała, żeby usiąść do posiłku ze wszystkimi. Antonia udawała, że jej nie widzi, ale przestała przynajmniej złorzeczyć, ilekroć tamta przechodziła obok. Stopniowo górę wzięła w niej litość. Widząc, że dziewczyna staje się z każdym dniem coraz chudsza, coraz bardziej przypomina stracha na wróble z potwornym brzuchem i wielkimi sińcami pod oczyma, zaczęła zabijać swoje kury jedną po drugiej, żeby gotować jej rosół, a gdy skończyły się kury, zrobiła coś, do czego nigdy wcześniej się nie posunęła. Poszła prosić o pomoc Riada Halabiego.

- Mam sześcioro dzieci i za sobą kilka ciężkich porodów, ale nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak chorował z powodu ciąży - wyjaśniła z rumieńcem wstydu. - Została z niej skóra i kości, Turku, jeszcze nie zdąży przełknąć jedzenia, a już je zwraca. Mnie tam wszystko jedno, nie mam z tym nic wspólnego, ale co powiem jej matce, jak mi tu zemrze? Nie chcę, żeby się mnie potem czepiali.

Riad Halabi zawiózł chorą swoją furgonetką do szpitala, a Antonia pojechała razem z nimi. Wrócili z całą torbą różnokolorowych tabletek i nową sukienką dla Conchy, bo stara była już na nią zbyt ciasna w pasie. Niedola dziewczyny przypomniła Antonii dni jej własnej młodości, pierwszą ciążę i te same przykre doświadczenia, jakich wtedy doznała. Mimo wszystko chciała, żeby Concha Diaz uniknęła losu tak smutnego jak jej własny. Nie była już na nią wściekła, powodowana cichym współczuciem zaczęła traktować ją jak córkę, która zbłądziła, ostro, lecz z widoczną czułością. Dziewczyna z przerażeniem śledziła zmiany w swoim ciele, patrzyła, jak powiększa się i zniekształca w sposób od niej niezależny. Wstydem napępiała ją popuszczanie moczu i rozkołysany chód kaczkę, zatrważała niepowstrzymana odraza, jaką żywiła do samej siebie, i nawiedzające ją pragnienie śmierci. Niekiedy budziła się bardzo chora i nie mogła wstać z łóżka. Antonia nakazywała dzieciom doglądać jej na przemian, a sama wychodziła, żeby jak najszybciej wypełnić wszystkie obowiązki, wrócić i zająć się dziewczyną. Kiedy indziej Concha wstawiała rano pełna energii i gdy Antonia wracała wycieńczona po pracy, zastawała przygotowaną kolację i wysprzątaną dom. Dziewczyna podawała jej kawę i ze wzrokiem wdzięcznego zwierzęcia stawała obok, czekając, aż ją wypije.

Dziecko urodziło się w miejskim szpitalu, bo nie chciało przyjść na świat i trzeba było rozciąć brzuch Conchy Diaz, żeby je wyciągnąć. Antonia została przy niej przez osiem dni, podczas gdy nauczycielka Ines zajęła się dziećmi. Obie kobiety wróciły sklepową furgonetką i cała Agua Santa wyszła im na powitanie. Młoda matka jechała uśmiechnięta, a Antonia pokazywała noworodka z okrzykami radości jak babka, obwieszczając wszem wobec, że będzie ochrzczony jako Riad Vargas Diaz, w należnym hołdzie dla Turka, bo bez jego pomocy matka nie dotarłaby na czas na oddział położniczy, a poza tym to Turek wziął na siebie wszystkie koszty, kiedy ojciec udał, że o niczym nie wie i że jest bardziej pijany niż zazwyczaj, byle tylko nie naruszyć swego złota.

Nim minęły dwa tygodnie, Tomasz Vargas chciał wymóc na Conchy, żeby wróciła do jego hamaka, choć kobieta miała jeszcze świeży szew i opatrunek na brzuchu, ale Antonia Sierra stanęła przed nim, podpierając się pod boki, po raz pierwszy w życiu gotowa przeszkodzić staremuto w postępowaniu wedle własnego kaprysu. Jej mąż zrobił ruch, jakby chciał wyciągnąć pasek ze spodni, ale mu na to nie pozwoliła i rzuciła się na niego z taką wściekłością, że mężczyzna cofnął się zaskoczony. Ta chwila wahania go zgubiła, a ona zrozumiała, kto jest silniejszy. W tym czasie Concha Diaz zostawiła swego synka w kącie i chwyciła ciężki, gliniany ceber z wyraźnym zamiarem rozbicia go Tomaszowi na głowie. Mężczyzna zrozumiał, że mają przewagę i oddalił się z rancza, miotając przekleństwa. Cała Agua Santa dowiedziała się, co się stało, bo sam to opowiedział dziewczynom z domu publicznego, które orzekły, że Vargas już się nie nadaje i że wszystkie przechwałki o jego sile rozplodowego ogiera są zwykłą fanfaronadą bez żadnych po temu podstaw.

Po tym incydencie wszystko się zmieniło. Concha Diaz szybko odzyskała siły i gdy Antonia Sierra wychodziła do pracy, ona zostawała z dziećmi, zajmowała się warzywnikiem i domem. Tomasz Vargas przełknął tę przykrość i wrócił pokornie do swego hamaka, w którym nikt mu już nie dotrzymywał towarzystwa. Wyładowywał złość, znęcając się nad dziećmi i rozpowiadając w gospodzie, że kobiety, niczym mulice, rozumieją tylko kij, ale w domu nie podjął następnej próby, by je ukarać. Gdy się upijał, wykrzykiwał na cztery strony świata o zaletach wielożeństwa i ksiądz musiał poświęcić kilka niedziel, żeby odeprzeć jego argumenty z ambony, bo gdyby znalazły posłuch, na nic by się zdało jego wieloletnie

nauczanie o chrześcijańskiej cnocie monogamii.

W Agua Santa wyrozumiale traktowano kogoś, kto znęca się nad własną rodziną, obiboka, pijaczynę przesiadującego w knajpie i niezwracającego pożyczonych pieniędzy, ale długi hazardowe były rzeczą świętą. Przy walkach kogutów złożone banknoty wkładano między palce dłoni, żeby każdy mógł je widzieć, przy dominie, grze w kości albo w karty gracz kładł je na stole po swojej lewej ręce. Czasami zatrzymywali się tutaj na kilka partyjek pokera kierowcy ciężarówek z Kompanii Naftowej i chociaż oni nie wykładali pieniędzy, płacili wszystko do ostatniego centava przed ruszeniem w dalszą drogę. W soboty w miasteczku zjawiali się strażnicy z więzienia Santa Maria, odwiedzali burdele i grali w gospodzie za swoją cotygodniową wypłatę. Nawet oni - choć byli nie gorszymi rzeźmieszkami niż pozostający pod ich strażą więźniowie - nie odważali się siadać do gry bez pieniędzy. Wszyscy przestrzegali tej zasady.

Tomasz Vargas sam nie obstawiał, ale lubił przyglądać się graczom, godzinami potrafił obserwować partie domina, jako pierwszy zjawiał się na walkach kogutów, zapamiętywał numery loterii, jakie podawano przez radio, choć sam nigdy nie kupił żadnego losu. Przed pokusą bronilo go wielkie skąpstwo. Kiedy jednak niezłomne przymierze Antonii Sierry i Conchy Diaz pozbawiło go ostatecznie męskiej pewności siebie, zwrócił się ku grze. Początkowo stawiał nędzne kwoty i tylko najbiedniejsi pijacy zgadzali się siadać z nim do stołu, jednak szczęście bardziej mu sprzyjało w kartach niż z kobietami i wkrótce opanowała go żądza łatwego zarobku, a sknerstwo powoli zaczęło go opuszczać. Ryzykował coraz więcej, wierząc, że jeden uśmiech losu uczyni go bogatym i że takim obrotem spraw podreperuje utraconą męską reputację. Wkrótce już mierzyli się z nim najodważniejsi gracze, a pozostali zbierali się wokół i śledzili koleje każdej rozgrywki. Tomasz Vargas nie kładł na stole banknotów, jak było w zwyczaju, ale ilekroć przegrał, zawsze płacił. Nędza w jego domu stała się tak dotkliwa, że i Concha poszła do pracy. Dzieci zostały same, a nauczycielka Ines musiała je dokarmiać, żeby nie chodziły po miasteczku i nie uczyły się żebrac.

Sprawy przybrały trudny obrót dla Tomasza Vargasa, gdy przyjął wyzwanie porucznika i po sześciu godzinach gry wygrał od niego dwieście pesos. Oficer zabrał żołąd swoim podwładnym, żeby wypłacić przegraną. Był zadbanym brunetem, z wąsem jak u morsa i zawsze rozpiętym mundurem, żeby dziewczyny mogły podziwiać jego owłosiony tors i kolekcję złotych łańcuszków. W Agua Santa nikt go nie szanował, bo był człowiekiem nieobliczalnym i rościł sobie prawo wydawania zarządzeń wedle własnego widzimisię. Przed jego pojawieniem się w Agua Santa miejscowe więzienie składało się z dwóch cel, gdzie po zwykłych bójkach zamykano na noc awanturników. Nikt nie popełniał poważnych przestępstw, a jedynymi złoczyńcami, jacy tu trafiali, byli więźniowie przewożeni do zakładu karnego w Santa Maria. Porucznik zadbał o to, żeby żaden z nich nie opuścił tego miejsca postojowego bez porządnego lania. To przez niego ludzie stracili zaufanie do prawa. Był wściekły po przegraniu dwustu pesos, ale wręczył pieniądze bez gadania, a nawet z pewną elegancją obojętnością, bo nawet on, mimo posiadanej władzy, nie wstałby od stołu, nie uregulowawszy należności.

Tomasz Vargas dwa dni chełpił się swoim zwycięstwem, aż w końcu porucznik zawiadomił go, że oczekuje na rewanż w sobotę. Tym razem mieli zagrać o tysiąc pesos. Porucznik zapowiedział to tak kategorycznym tonem, że Tomasz Vargas przypomniał sobie o razach, jakie kiedyś otrzymał od niego w tyłek i nie odważył się odmówić. W sobotnie popołudnie gospoda zapełniła się ludźmi. Brakowało powietrza od ścisku i gorąca, więc trzeba było wystawić stół na ulicę, żeby wszyscy mogli przyglądać się grze. Nigdy dotąd nie grano w Agua Santa o tak wysoką stawkę, więc wyznaczili Riada Halabiego, jako tego, kto dopilnuje, aby grano uczciwie. Riad Halabi nakazał publiczności odsunąć się na odległość dwóch kroków, żeby wykluczyć możliwość jakichkolwiek sztuczek, a porucznikowi i

pozostałym policjantom kazał zostawić broń na posterunku.

- Przed rozpoczęciem partii obaj gracze powinni położyć na stole pieniądze - oznajmił sędzia.

- Wystarczy moje słowo, Turku - odpowiedział porucznik.

- W takim razie moje słowo wystarczy również - podchwycił Tomasz Vargas.

- Jak zapłacicie w razie przegranej? - dopytywał się Riad Halabi.

- Mam dom w stolicy. Jeśli przegram, przepiszę go na Vargasa już jutro.

- W porządku. A ty?

- Zapłacę złotem, które mam zakopane.

Rozgrywka była najbardziej emocjonującym wydarzeniem, do jakiego doszło w miasteczku na przestrzeni wielu lat. Cała Agua Santa, wszyscy, nawet starcy i dzieci, zebrali się na ulicy. Brakowało tylko Antonii Sierry i Conchy Diaz. Ani porucznik, ani Tomasz Vargas nie wzbudzali niczyjej sympatii, więc było wszystko jedno, kto wygra; cała przyjemność polegała na śledzeniu emocji obu graczy oraz tych, którzy postawili na jednego lub drugiego. Na korzyść Tomasza Vargasa przemawiał fakt, że jak dotąd szczęście sprzyjało mu w kartach, zaletami porucznika była jego zimna krew i sława bezlitosnego drania.

Partia zakończyła się o siódmej wieczorem i Riad Halabi ogłosił, że zgodnie z przyjętymi zasadami zwyciężył porucznik. W chwili swego triumfu policjant zachował taki sam spokój, jakim wykazał się w poprzednim tygodniu, przy okazji porażki, ani jednego kpiarskiego uśmiechu, ani jednego niepotrzebne go słowa. Siedział po prostu na krześle, dłubiąc w zębach paznokciem małego palca.

- No cóż, Vargas, nadszedł czas, żebyś wykopał ten swój skarb - powiedział, gdy uciął gwar czyniony przez gapiów.

Skóra Tomasza Vargasa stała się popielata, koszula zwilgotniała od potu i wydawało się, że brakuje mu powietrza, że całe zatrzymuje się gdzieś w ustach. Dwa razy starał się wstać z krzesła, ale kolana odmawiały mu posłuszeństwa. Riad Halabi musiał go podtrzymać. Zebrał wreszcie siły i ruszył w kierunku drogi, a za nim poszli porucznik, policjanci, Arab, nauczycielka Ines, a trochę dalej, z tyłu, całe miasteczko w hałaśliwej procesji. Przeszli tak ze dwie mile, a potem Vargas skręcił w prawo, wprost w gmatwaninę żarłocznej roślinności, jaka otaczała Agua Santa. Nie było tam żadnej ścieżki, ale on szedł bez żadnych wahań wśród olbrzymich drzew i paproci, aż dotarł na skraj ledwie widocznego wąwozu, otoczonego puszcza niczym nieprzeniknionym parawanem. Cała gromada zatrzymała się, a on ruszył w dół razem z porucznikiem. Panował wilgotny i przytłaczający upał, choć słońce już chyliło się ku zachodowi. Tomasz Vargas dał znak, żeby zostawić go samego i sunąc na czworakach, zniknął pod filodendronami o wielkich, mięsistych liściach. Minęła dłuższa chwila, po której do uszu zebranych dobiegł jego żaloszny krzyk. Porucznik wdarł się między liście, złapał Vargasa za kostki u nóg i wyciągnął.

- Co jest?!

- Nie ma, nie ma!

- Jak to nie ma?!

- Przysięgam, panie poruczniku, nic nie rozumiem, ukradli je, ukradli mi skarb! - I rozplakał się niczym biedna wdowa. Był tak zrozpaczony, że nawet nie czuł kopniaków, jakie mu wymierzał porucznik.

- Ty draniu! Oddasz mi te pieniądze! Przekonasz się, że mi je oddasz!

Riad Halabi rzucił się biegiem na dno wąwozu i odciągnął Vargasa, nim porucznik zdążył zrobić z niego marmoladę. U dało mu się przekonać porucznika, żeby się uspokoił, bo bicie sprawy nie załatwi, a potem pomógł staremu wspiąć się na górę. Tomasz Vargas szedł przygarbiony z przerażenia tym, co się stało, wstrząsał nim spazmatyczny szloch, co krok zataczał się i omdlewał, więc Arab wziął go na ręce i niósł niemal całą powrotną drogę, aż wreszcie zostawił na ranczu. Przy drzwiach wejściowych siedziały na trzciniowych krzesłach

Antonia Sierra i Concha Diaz, popijając kawę i popatrując, jak z wolna zapada zmierzch. Gdy dowiedziały się, co się stało, nie okazały najmniejszego zmartwienia i dalej popijały kawę, nie ruszając się z miejsca.

Przez ponad tydzień Tomasz Vargas leżał w gorączce, dręczyły go koszmary o złocie i znaczonych kartach, ale był mocny z natury, więc zamiast umrzeć z rozpacz, czego wszyscy się spodziewali, powrócił do zdrowia. Gdy już podniósł się z łóżka, przez następnych kilka dni nie odważył się wyjść z domu, w końcu jednak namiętność do hulanki przemogła roztropność, wziął swój kapelusz i trochę przestraszony, na niepewnych jeszcze nogach ruszył do gospody. Tej nocy nie wrócił do domu, a dwa dni później ktoś przyniósł wiadomość, że jego pogruchotane zwłoki leżą na dnie tego samego wozu, w którym ukrył kiedyś skarb. Miał rozpruty maczetą brzuch, niczym tusza bydłęca, czyli skończył tak, jak wszyscy się spodziewali, że wcześniej czy później skończy.

Antonia Sierra i Concha Diaz pochowały go, oszczędzając sobie scen rozpacz. Zawiadomiły tylko Riada Halabiego i nauczycielkę Ines, którzy przyszli na pogrzeb, żeby im dotrzymać towarzystwa, a nie po to, żeby złożyć pośmiertny hołd człowiekowi, którym gardzili za życia. Obie kobiety mieszkały nadal razem, pomagając sobie nawzajem w opiece nad dziećmi i w codziennych sprawach. Wkrótce po pogrzebie kupiły kury, króliki i świnię, pojechały autobusem do miasta i wróciły z ubraniami dla całej rodziny. Tamtego roku obliły ranczo nowymi deskami, dobudowały dwa pomieszczenia, pomalowały wszystko na niebiesko, a potem zainstalowały kuchenkę gazową i zaczęły na niej gotować na dużą skalę i sprzedawać jedzenie z dostawą do domu. Codziennie wychodziły w południe i wraz ze wszystkimi dziećmi roznosiły swoje potrawy do więzienia, do szkoły, na pocztę, a jeśli im coś zostawało, wstawiały to do sklepu, żeby Riad Halabi sprzedawał kierowcom ciężarówek. Tak oto wydzwignęły się z nędzy i wkroczyły na drogę pomyślności.

## **Gdybyś wzruszyła moje serce**

Amadeo Peralta wychował się w bandzie swego ojca i jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie wyrósł na bandziora. Ojciec był zdania, że szkoły są dobre dla pedałów; żeby odnieść w życiu sukces, niepotrzebne są, mówił, książki, trzeba mieć za to jaja i spryt. Dlatego wychował synów na prostaków. Z biegiem czasu zrozumiał jednak, że świat zmienia się i prowadzenie interesu należałoby oprzeć na bardziej solidnych podstawach. Epoka zuchwałych napadów odeszła w przeszłość i nastały czasy korupcji oraz bardziej wymyślnych form kradzieży, przyszła więc pora, żeby zarządzać majątkiem w sposób nowoczesny i poprawić własny wizerunek. Zebrał wszystkich synów i kazał im zaprzyjaźnić się z wpływowymi osobistościami, poznać przepisy prawa tak, by mogli nadal cieszyć się bezkarnością, nie wystawiając jej na zbyt duże ryzyko. Polecił im także, żeby sobie znaleźli narzeczone z najstarszych miejscowych rodów i spróbowali w ten sposób zmasakrać z nazwiska Peraltów plamy błota i krwi. W tym czasie Amadeo miał już skończone trzydzieści dwa lata i mocno ugruntowany nawyk uwodzenia i porzucania kolejnych dziewczyn, więc pomysł z małżeństwem niezbyt przypadł mu do gustu, ale nie odważył się sprzeciwić ojcu. Zaczął ubiegać się o względy córki pewnego właściciela ziemskiego, którego rodzina mieszkała w tej samej okolicy od sześciu pokoleń. Mimo jego złej reputacji, dziewczyna go przyjęła. Nie była obdarzona szczególną urodą i bała się, że zostanie starą panną. Rozpoczęli więc jeden z tych nudnych, prowincjonalnych okresów narzeczeńskich. Amadeo, bardzo skrupowany w garniturze z białego lnu i w błyszczących lakierkach, odwiedzał ją codziennie i kiedy pod baczny okiem przyszłej teściowej albo jakiejś ciotki panienka podawała kawę i ciasteczka z gwajawą, on dyskretnie zerkał na zegarek, czekając chwili, by wreszcie się pożegnać.

Kilka tygodni przed ślubem Amadeo Peralta musiał odbyć podróż w interesach.



Takim to sposobem przybył do Agua Santa, jednego z tych miejsc, w których nikt się nie zatrzymuje i którego nazwę rzadko zapamiętują podróżni. Była pora sjeisty, a on szedł właśnie wąską uliczką, przeklinając upał i słodkawą woń marmolady z mango, która unosiła się ciężko w powietrzu, gdy usłyszał nagle dźwięk krystaliczny niczym szmer sączącej się między kamieniami wody. Dobiegał z mizernego domu, którego ściany pokrywała popękana od słońca i deszczu warstwa farby, jak wszystkie niemal domy w tej miejscowości. Za kratą dostrzegł, wyłożony ciemnymi płytami, przedsionek o pobielonych ścianach, w głębi patio, a jeszcze dalej zobaczył ze zdumieniem dziewczynę, która siedziała po turecku na ziemi i trzymała na kolanach mandolinę z jasnego drewna. Stał chwilę, przyglądając się dziewczynie.

- Chodź tu, mała - zawołał wreszcie. Ona uniosła głowę i mimo odległości dostrzegł jej zdziwione oczy i niepewny uśmiech na dziecięcej jeszcze twarzy. - Chodź ze mną - rozkazał Amadeo suchym tonem.

Zawahała się. Ostatnie nuty zawisły w powietrzu nad patio niczym pytanie. Peralta zawołał ją ponownie. Wstała z ziemi i zbliżyła się, on włożył ramię między pręty kraty, odsunął rygiel, otworzył furtkę i chwycił dziewczynę za rękę, recytując jej równocześnie cały swój repertuar zalotnika, przysięgając, że widywał ją w snach, że szukał jej całe życie, że nie może pozwolić jej odejść, że jest mu przeznaczona. Mógł sobie to wszystko darować, bo dziewczyna i tak nie rozumiała znaczenia jego słów, choć może uwiódł ją ton głosu mężczyzny. Hortensja skończyła właśnie piętnaście lat i jej ciało było już gotowe na pierwszy uścisk, choć ona sama nie mogła i nie potrafiła nazwać swoich niepokojów i pragnień. Z taką łatwością zaprowadził ją do samochodu i wywiózł na bezludzie, że po godzinie już o niej całkiem zapomniał. Nie mógł sobie także przypomnieć, gdy tydzień później zjawiała się nagle w jego domu, położonym w odległości stu czterdziestu kilometrów, ubrana w żółtą sukienkę i brezentowe espadryle, z mandoliną pod pachą i z twarzą rozgorączkowaną miłością.

Czterdzieści siedem lat później, kiedy Hortensja została uwolniona z podziemnego lochu, w którym tkwiła pogrzebana za życia, i kiedy zjechali się dziennikarze z całego kraju, żeby zrobić jej zdjęcia, nawet ona sama nie wiedziała, jak się nazywa i w jaki sposób się tam znalazła.

- Dlaczego trzymał ją pan w zamknięciu niczym jakieś nieszczęsne zwierzę? - naciskali na Amadeo Peralte reporterzy.

- Bo tak mi się chciało - odpowiedział niewzruszony. Miał już wówczas osiemdziesiąt lat i umysł tak jasny jak zwykle, choć nie rozumiał tego spóźnionego zgielku wokół sprawy, która zdarzyła się tak dawno.

Nie miał ochoty z niczego się tłumaczyć. Wypowiadał się w sposób autorytarny, był patriarchą i pradziadkiem, nikt nie ośmielał się patrzeć mu prosto w oczy i nawet księża pozdrawiali go, schylając głowę. Podczas swego długiego życia pomnożył fortunę odziedziczoną po ojcu, zawładnął całą ziemią od hiszpańskiego fortu aż po granice państwa, a potem rozpoczął karierę polityczną, dzięki której stał się najpotężniejszym człowiekiem w tej okolicy. Ożenił się z brzydką córką właściciela ziemskiego, miał z nią dziewięciu potomków z prawego łoża i nieokreśloną liczbę bękartów z innymi kobietami, a jednak nie zachował w pamięci żadnej z nich, bo miał serce zupełnie niezdolne do miłości. Jedyłą, której nie mógł do końca zapomnieć, była Hortensja, to ona ciążyła mu na sumieniu niczym uporczywy koszmar. Po tamtej krótkiej schadzce wśród traw na bezludziu wrócił do domu, do pracy i do swojej mdłej narzeczonej z szanowanej rodziny. To Hortensja szukała go, aż znalazła, to ona stanęła przed nim i uczepiła się jego koszuli z przerażającą, niewolniczą uległością. Niezły pasztet, pomyślał sobie wtedy, za chwilę mam się z wielką pompą żenić, a ta pomyłona dziewczyna staje mi na drodze. Chciał się jej pozbyć, ale widząc ją w tej żółtej sukience i z błagalnym wzrokiem, pomyślał sobie, że to grzech nie wykorzystać takiej okazji

i postanowił ją gdzieś ukryć, dopóki nie przyjdzie mu do głowy jakiś inny pomysł.

I w ten właśnie sposób Hortensja znalazła się w piwnicy starej cukrowni Peraltów, gdzie pozostała w zamknięciu przez resztę życia. Pomieszczenie było obszerne, wilgotne, ciemne, duszne latem i zimne w niektóre noce pory suchej. Za meble służyło kilka starych rupieci i siennik. Amadeo Peralta nie poświęcił czasu na to, żeby lepiej ją urządzić, choć bywało, że rozkoszował się fantazjowaniem o zrobieniu z niej konkubiny ze wschodnich opowieści, spowitej w zwiewne tiule i przyozdobionej w pawie pióra, brokatowe opaski, otoczonej lampami z malowanych szkielek, połączanymi meblami na wygiętych nogach i puchatymi dywanami, po których on mógłby chodzić boso. Może nawet zrobiłby to wszystko, gdyby ona przypomniła mu o jego obietnicach, ale Hortensja była niczym nocny ptak, jedna z tych ślepych sów, jakie mieszkają w pieczarach. Potrzebowała tylko trochę jedzenia i wody. Żółta sukienka na niej zbutwiała i pozostała naga.

- On mnie kocha, zawsze mnie kochał - oświadczyła, gdy odnaleźli ją sąsiedzi. Przez te wszystkie lata spędzone w zamknięciu zapomniła, jak używa się słów i wydobywała z siebie charczący głos, niczym nagłe rżenie konającego.

W pierwszych tygodniach Amadeo spędzał z nią dużo czasu w piwnicy, zaspokajając apetyt, który zdawał mu się niewyczerpany. W obawie, by ktoś jej nie znalazł i zazdrośny nawet o swe własne oczy, nie chciał wystawiać jej na światło dnia i pozwolił, żeby wpadał do niej tylko jeden promień przez szyb wentylacyjny. W ciemnościach dokazywali w całkowitym pomieszaniu zmysłów, z rozpalonym gorączką ciałem i sercem zmienionym w zgłodniałego kraba. Zapachy i smaki nabierały tam niezwyklej jakości. Dotykając się w mroku, potrafili przeniknąć jedno drugie do samej głębi i zatapiać się w najbardziej skrytych pragnieniach. Ich głosy odbijały się natrętnym echem, ściany zwracały ich zwielokrotnione szepty i odgłosy pocałunków. Piwnica zmieniła się w zapieczętowany flakon, gdzie przewracali się jak rozbawione bliźniaki, pływające w wodach płodowych, dwie obrzmiałe i lekkomyślne istoty. Przez jakiś czas zagubili się w najgłębszej intymności, którą wzięli za miłość.

Gdy Hortensja zasypiała, jej kochanek wychodził w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i wracał, nim zdążyła się przebudzić, gotów z werwą wziąć ją znów w ramiona. Powinni się tak kochać, aż umarliby, zniszczeni pożądaniem, powinni pożreć się nawzajem lub spłonąć niczym podwójna pochodnia; jednak nic podobnego nie nastąpiło. Zaszło natomiast coś, co było najzwyczajniejsze i najłatwiejsze do przewidzenia. Nim minął miesiąc, Amadeo Peralcie znudziły się igraszki, które już zaczynały się powtarzać, poczuł wykręcającą mu stawy wilgoć i zaczął myśleć o tym, co jest na zewnątrz lochu. Nadszedł czas, by wrócić do świata żywych i przejąć ster własnego losu.

- Czekaj tu na mnie, małeńka. Wyjdę, żeby zrobić majątek. Przyniosę ci podarunki, sukienki i królewskie klejnoty - szepnął jej na pożegnanie.

- Chcę dzieci - powiedziała Hortensja.

- Dzieci nie, ale będziesz miała lalki.

W następnych miesiącach Peralta zapomniiał o sukienkach, klejnotach i o lalkach. Odwiedzał Hortensję, gdy sobie o niej przypomniiał, nie zawsze po to, żeby się z nią kochać, czasem tylko, by posłuchać, jak gra jakąś dawną melodię na mandolinie. Lubił patrzeć na jej postać pochyloną nad instrumentem, gdy trąca palcami struny. Czasami tak bardzo się spieszył, że nie zamieniał z nią ani słowa, napełniał tylko dzbany wodą, zostawiał torbę z prowiantem i wychodził. Gdy kiedyś zapomniiał wrócić przez dziewięć dni i znalazł ją później niemal umierającą, zrozumiał, że trzeba najać kogoś, kto pomoże mu opiekować się uwięzioną, bo sam był za bardzo zajęty rodziną, podróżami, interesami i zobowiązaniami, jakie nakładało na niego życie. Posłużyła mu do tego celu pewna małomówna Indianka o nieprzeniknionej twarzy. Ona trzymała klucz od kłódki i wchodziła regularnie do ciemnicy, żeby posprzątać i zeskrobywać liszaje, jakie pojawiały się na ciele Hortensji niczym

delikatna, wyblakła flora, niemal niewidoczna gołym okiem, o zapachu przekopanej ziemi i porzuconych śmieci.

- Nie było pani żal tej biednej kobiety? - pytali Indiankę, gdy ją tak samo zabrali do aresztu, oskarżając o współudział w porwaniu, ale ona nie odpowiedziała, spojrzała tylko bez cienia lęku i splunęła czarną od tytoniu śliną.

Nie, nie było jej żal, bo myślała, że tamta ma naturę niewolnicy, więc jest szczęśliwa w zamknięciu, albo że jest kretynką od urodzenia i że tak, jak innym w podobnym stanie, lepiej jej żyć pod kluczem niż narażać się na docinki i niebezpieczeństwa na ulicy. Hortensja nic nie zrobiła, by zmienić tę opinię dozorczyńni, nigdy nie wykazała żadnego zaciekawienia światem, nie starała się wyjść, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ani na nic się nie uskarżała. Nie sprawiała też wrażenia znudzonej, jej umysł zatrzymał się na jakiejś chwili dzieciństwa, a w wyniku ciągłej samotności zaćmił się całkowicie. W gruncie rzeczy stała się z wolna podziemnym stworzeniem. W tym grobowcu zmysły jej wyostrzyły się i nauczyła się widzieć to, co niewidoczne, otoczyły ją olśniewające duchy, które wiodły ją za rękę przez inne światy. Gdy jej ciało tkwiło skulone w kącie, ona podróżowała w przestrzeni międzygwiazdnej niczym niezwykle wysłanniczka z mrocznej krainy, gdzieś daleko poza rozumem. Gdyby miała lustro, żeby się w nim przejrzeć, przeraziłaby się własnym wyglądem. Nie mogła się jednak zobaczyć, więc nie zauważyła strasznej zmiany, nie wiedziała o łuskach, które pokryły jej skórę, ani o robactwie, które zagnieździło się w jej długich, skołtunionych włosach, o ołowianych chmurach, jakie przykryły jej martwe od długiego wpatrywania się w mrok oczy. Nie poczuła, jak urosły jej uszy, by wychwytywać dobiegające z zewnątrz dźwięki, nawet te najłabsze i najbardziej odległe, takie jak śmiech dzieci podczas przerwy w szkole, dzwoneczek sprzedawcy lodów, łopot ptasich skrzydeł, poszum rzeki. Nie zwróciła też uwagi na to, że jej ładne i silne kiedyś nogi, stały się koślawe, by dostosować się do bezruchu i do pełzania, ani na to, że paznokcie u nóg urosły jej niczym zwierzęce kopyta, kości przemieniły się w suche patyki, brzuch się zapadł i że wyrósł jej garb. Tylko dłonie zachowały swój kształt i rozmiar, ćwiczone wciąż grą na mandolinie, choć palce nie pamiętały już wyuczonych melodii i wydobywały z instrumentu lament, którego nie mogła dobyć z piersi. Z oddali Hortensja wydawała się smutną małą z jarmarku, a z bliska wzbudzała nieskończoną litość. Nie miała świadomości tych niszczących zmian, w pamięci przechowywała nienaruszony obraz samej siebie. Nadal była tą samą dziewczyną, której odbicie zobaczyła po raz ostatni w szybie samochodu Amadeo Peralty tamtego dnia, gdy przyprowadził ją do tej nory. Miała się za tak ładną jak zawsze i zachowywała się, jakby taka była. W ten sposób pamięć dawnej urody przechowywała się w jej wnętrzu i ktokolwiek zbliżyłby się dostatecznie blisko, mógłby to dostrzec pod zewnętrzną powłoką prahistorycznego karła.

W tym czasie bogaty i wzbudzający lęk Amadeo Peralta sprawował władzę nad całym regionem. W niedzielę siadywał u szczytu długiego stołu, z synami i wnukami płci męskiej, ze swymi stronnikami i współpracownikami i z niektórymi szczególnymi gośćmi, politykami i dowódcami wojskowymi, których traktował z hałaśliwą serdecznością, zaprawioną właściwą dozą wyniosłości koniecznej, by pamiętali, kto nimi rządzi. Za plecami Peralty opowiadano sobie o jego ofiarach, o ludziach, których zrujnował albo którzy zniknęli za jego przyczyną, o łapówkach dawanych władzom, o tym, że połowa jego fortuny wzięła się z przemytu. Nikt jednak nie był skłonny szukać na to dowodów. Mówiono też, że Peralta przetrzymuje jakąś kobietę uwięzioną w piwnicy. Opowieści o tym ludzie powtarzali z większym przekonaniem niż opowieści o nielegalnych interesach. W gruncie rzeczy wielu o tym wiedziało i z biegiem czasu sprawa stała się ogólnie znaną tajemnicą.

W pewne upalne popołudnie trzech chłopcy uciekli ze szkoły, żeby wykąpać się w rzece. Kilka godzin chlapali się w błocie przy brzegu, a potem poszli się wałęsać koło starej cukrowni Peraltów, zamkniętej na głucho od dwóch pokoleń, czyli od czasu, gdy przestała się

opłacać uprawa trzciny. Miejsce to cieszyło się sławą nawiedzonego, podobno słyszano tam diabelskie głosy, a wielu widziało w tamtej okolicy rozczochną wiedźmę, wywołującą duchy zmarłych niewolników. Podnieceni przygodą chłopcy weszli na teren Peraltów i zbliżyli się do budynku fabryki. Wkrótce ośmielili się zagłębić w ruiny, przebiegli rozległe sale o grubych ścianach z cegły i belkach przeżartych przez termity, minęli krzaki wyrosłe na klepisku, góry śmieci i psich odchodów, zbutwiałe dachówki i gniazda węży. Dodając sobie odwagi żartami, popychając jeden drugiego, dotarli aż do komory przemiału, ogromnego pomieszczenia otwartego ku górze, z resztkami porozbijanych na kawałki maszyn, gdzie deszcz i słońce wyhodowały niewiarygodny ogród, a chłopcy wyczuli ostry zapach cukru i potu. Gdy już niemal pozbywali się lęku, usłyszeli bardzo wyraźnie potworny śpiew. Starali się wycofać, dygocąc na całym ciele, ale siła przyciągania tej potworności była silniejsza niż strach, więc zastygli skuleni, słuchając aż do chwili, gdy ostatnia nuta wbiła im się w głowy. Powoli otrząsnęli się z bezruchu, pokonali trwogę i zaczęli szukać źródła tych dziwacznych dźwięków, tak odmiennych od jakiegokolwiek znanej im muzyki, i w ten sposób natrafili tuż nad ziemią na małą klapę, zamkniętą na kłódkę, której nie mogli otworzyć. Szarpnęli drewnianą płytę zamykającą wejście i trudny do opisania odór zamkniętego w klatce dzikiego zwierza uderzył prosto w ich twarze. Zawołali, ale nikt nie odpowiedział, z drugiej strony dobiegło ich tylko głuche sapanie. I wtedy rzucili się biegiem krzycząc, że odkryli właśnie bramę do piekieł.

Nie można było uciszyć wrzawy wywołanej przez dzieci i w ten sposób okoliczni mieszkańcy uzyskali wreszcie potwierdzenie czegoś, co od dziesięcioleci podejrzewali. Najpierw poszły tam matki za swoimi synami, żeby zerknąć przez szparę w klapie i one także usłyszały okropne dźwięki mandoliny, bardzo odmienne od tamtej banalnej melodyjki, jaka skłoniła Amadeo Peraltę do zatrzymania się w wąskiej uliczce Agua Santa i otarcia sobie potu z czoła. Za nimi nadeszła gromada ciekawskich, a na koniec, kiedy zebrał się już tłum, zjawili się policjanci i strażacy, którzy wyrwali klapę i wleźli do piwnicy z lampami i sprzętem przeciwpożarowym. W jaskini znaleźli nagą istotę z pomarszczoną, bladą skórą zwisającą w fałdach. Ciągnęła za sobą po ziemi szare kosmyki włosów i ryczała przerażona hałasem i światłem. To była Hortensja. W świetle nieubłaganych latarek strażaków połyskiwała fosforyzująco niczym macica perłowa. Była niemal ślepa, ze zniszczonymi zębami i nogami tak słabymi, że prawie nie mogła na nich ustać. Jedynym znakiem jej ludzkiego pochodzenia była stara mandolina, którą przyciskała do piersi.

Wiadomość wywołała oburzenie w całym kraju. Na ekranach telewizorów i w gazetach pojawiła się kobieta uwolniona z lochu, w którym spędziła życie. Kobietę niestarannie przykrywał jakiś koc, który ktoś jej zarzucił na ramiona. Obojętność, jaka od niemal pół wieku towarzyszyła uwięzionej, w krótkim czasie zmieniała się w namiętne pragnienie, by ją pomścić i przyjść jej z pomocą. Okoliczni mieszkańcy zorganizowali pikietę, żeby zlinczować Amadeo Peraltę, przypuścili szturm na dom, wywlekli go na zewnątrz i gdyby żandarmi nie przyjechali na czas, żeby uwolnić mężczyznę z rąk tłumu, rozerwaliby go na strzępy na placu. Wszyscy chcieli się zająć Hortensją, żeby nie można ich było winić za tyluletnie zaniedbanie. Zebrano pieniądze, żeby wypłacać jej rentę, zgromadzono całe tony odzieży i lekarstw, których nie potrzebowała, a członkinie różnych organizacji dobroczynnych zabrały się do jej mycia, strzyżenia i ubierania, aż zmieniły ją w pospolitą staruszkę. Zakonnice użyczyły jej łóżka w przytułku dla ubogich i przez długie miesiące trzymały ją tam przywiązaną, żeby nie uciekła do swojej piwnicy, aż w końcu przyzwyczała się do dziennego światła i pogodziła z życiem w otoczeniu innych istot ludzkich.

Wykorzystując powszechną wściekłość podsycaną przez prasę, liczni wrogowie Amadeo Peralty zdobyli się wreszcie na odwagę, aby wystąpić przeciw niemu. Władze, które przez lata tuszowały jego nadużycia, rzuciły się na niego z mieczem sprawiedliwości. Sprawa

nabrała takiego rozgłosu, że zaprowadziła Peralte, najznacniejszego człowieka w okolicy, do więzienia, a potem zaczęła się rozmywać, aż ucichła całkowicie. Porzucony przez rodzinę i przyjaciół, zmieniony w symbol tego, co odrażające i niegodziwe, szykowany przez strażników i współwięźniów, siedział za kratkami do chwili, gdy dosięgła go śmierć. Tkwił w swojej celi, nigdy nie wychodząc na podwórze z innymi. Mógł stamtąd słyszeć odgłosy ulicy.

Codziennie o dziesiątej rano Hortensja szła chwiejnym krokiem obłąkanej do więzienia i wręczała strażnikowi przy bramie garnuszek ciepłej stawy dla skazańca.

- On prawie nigdy nie pozwolił mi głodować - mówiła do dozorca przepraszającym tonem. Potem siadała na ulicy i grała na mandolinie, wydobywając z niej jęki agoniczne i nie do zniesienia. W nadziei na to, że zajmie się czymś innym i przestanie grać, niektórzy przechodnie dawali jej monety.

Skulony po drugiej stronie murów Amadeo Peralta słuchał tego dźwięku, który wydobywał się jakby z głębi ziemi i szarpał mu nerwy. Ta codzienna skarga musiała coś znaczyć, ale nie umiał sobie przypomnieć co. Czasami odczuwał przeszywający ból wywołany poczuciem winy, ale natychmiast pamięć odmawiała mu posłuszeństwa i obrazy z przeszłości znikwały przysłonięte gęstą mgłą. Nie wiedział, dlaczego znajduje się w tym grobie, i poddając się swej niedoli, powoli zapominał o całym tym bożym świecie jasności.

## Podarunek dla narzeczonej

Horacio Fortunato skończył już czterdzieści sześć lat, gdy w jego życiu pojawiła się pewna Żydówka filigranowej budowy, co miało położyć kres jego łobuzerskim nawykom i chełpliwości. Należał do rasy cyrkowców, czyli ludzi, którzy od urodzenia mają kręgosłup z gumy i wrodzoną umiejętność robienia salto mortale, a w wieku, w którym inni pełzają po ziemi niczym robaki, oni wieszają się głową w dół na trapezie i czyszczą szczoteczką kły lwa. Cyrk Fortunato zbierał na swoim koncie więcej niepowodzeń niż sukcesów, dopóki ojciec Horacia nie zmienił czegoś, co wyglądało na czyjś kaprys, w poważne przedsiębiorstwo. Zdarzały się okresy złej passy czy zamieszania, kiedy trupa składała się zaledwie z dwóch lub trzech członków rodziny przemierzających drogi rozklekotanym dwukołowym wozem przykrytym plandeką i z podartą budą jarmarczną, którą stawiali w nędznych wioskach. Przez lata dziadek Horacia dźwigał ciężar całego przedsięwzięcia w pojedynkę: chodził po linie, żonglował zapalonymi pochodniami, połykał toledańskie szable, wyciągał pomarańcze i węże z cylindra oraz tańczył zabawnego menueta ze swoją jedyną towarzyszką, małpą wystrojoną w świecidełka i kapelusz z piórami. W końcu zdołał pokonać przeciwności losu i podczas gdy inne trupy cyrkowe bankrutowały w starciu z nowoczesnymi formami rozrywki, jego cyrk przetrwał i pod koniec życia dziadek mógł przenieść się na południe kontynentu, żeby uprawiać szparagi i truskawki w ogrodzie, a nie obciążoną długami firmę przekazał swemu synowi Fortunato II. Synowi brakowało pokory i pracowitości ojca i nie zamierzał balansować na linie ani wywijać piruetów z szympancją. Miał za to niezwykłą głowę do interesów. Za jego dyrekcji cyrk rozrósł się i zyskał rozgłos, aż w końcu stał się największy w kraju. Trzy monumentalne, pasiaste namioty zastąpiły skromny kram z marnych czasów, w klatkach różnych rozmiarów trzymano istny wędrowny ogród zoologiczny, złożony z wytresowanych dzikich zwierząt, inne fantazyjne pojazdy przewoziły artystów włącznie z jedynym w dziejach karłem hermafrodytą i brzuchomówcą. Na Wielki Międzynarodowy Cyrk Fortunato składała się jeszcze ciągnięta na kółkach dokładna kopia karaweli Krzysztofa Kolumba. Ta ogromna cyrkowa karawana już nie była zdana na ślepy traf, jak wcześniej pod wodzą dziadka, lecz posuwała się po głównych drogach dokładnie wytyczoną trasą, od Rio Grande po Cieśninę Magellana, zatrzymując się jedynie w wielkich miastach, gdzie wjeżdżała poprzedzona defiladą słoni i kłownów, z karawelą przypominającą czasy konkwisty, sunącą

majestatycznie na przedzie i z takim łoskotem werbli, że każdy musiał zauważyć przyjazd cyrku.

Fortunato II ożenił się z akrobatką ćwiczącą na trapezie i miał z nią syna, którego nazwali Horacio. Kobieta odłączyła się od trupy w jakiejś mijanej po drodze miejscowości. Wolała uniezależnić się od męża i w pojedynkę zarabiać na życie. Dziecko zostawiła z ojcem. Syn przechował w pamięci zamglony obraz matki i dostrzegał jej rysy w twarzach licznych akrobatek, jakie poznał w życiu. Gdy chłopiec miał dziesięć lat, ojciec ożenił się z inną cyrkową artystką, tym razem wołyżerką, która potrafiła galopować, stojąc na głowie, i przeskakiwać z zawiązanymi oczyma z jednego zadu końskiego na drugi. Była bardzo piękna. Mimo ciągłych kąpieli i obfitego skrapiania się perfumami nie mogła pozbyć się końskiego odoru, ostrej woni potu i znoju. Przytulony do niej i spowity w ten jedyny w swoim rodzaju zapach mały Horacio znajdował ukojenie dla własnej tęsknoty za matką. Jednak i ona odeszła po jakimś czasie bez pożegnania. W dojrzałym wieku Fortunato II ożenił się po raz trzeci z pewną Szwajcarką, która podróżowała po Ameryce turystycznym autobusem. Zmęczyło go już życie beduina i czuł się za stary na kolejne podskoki, więc gdy poprosiła, żeby zamienił cyrkową włóczęgę na osiadły tryb życia, przystał na to bez najmniejszych oporów i zamieszkał z nią w alpejskim domku, wśród sielskich gór i lasów. Jego syn Horacio, który miał już wówczas dwadzieścia jeden lat, przejął pieczę nad firmą.

Horacio dorastał w ciągłej niepewności, gdzie się obudzi następnego dnia, spał zawsze w wozie na kółkach i żył pod cyrkowym namiotem, ale był bardzo zadowolony ze swojego losu. Wcale nie zazdrościł innym dzieciom, które w swych szarych mundurkach chodziły do szkoły i miały jasno wytyczoną drogę, nim jeszcze przyszły na świat. W przeciwieństwie do nich czuł się potężny i wolny. Znał wszystkie tajemnice cyrku, równie dobrze potrafił sprzątać odchody zwierzęce, jak i huśtać się pięćdziesiąt metrów nad ziemią w przebraniu huzara, uwodząc publiczność dzieciennym uśmiechem. Jeśli nawet tęsknił czasem do jakiejś stabilizacji, nie przyznałby się do tego nawet we śnie. Wynosząc z dzieciństwa doświadczenia dziecka porzuconego najpierw przez matkę, a potem przez macochę, był nieufny, szczególnie wobec kobiet, choć nieufność nigdy nie zmieniła go w cynika, bo po dziadku odziedziczył sentymentalne serce. Miał ogromny cyrkowy talent, ale bardziej niż sztuką cyrkową interesował się handlową stroną przedsięwzięcia. Już w dzieciństwie postanowił, że będzie bogaty, z naiwnym przeświadczeniem, że dzięki pieniądзом uzyska poczucie bezpieczeństwa, którego nie dała mu rodzina. Rozwinął i urozmaicił działalność firmy, kupując sieć hal bokserskich w różnych miastach. Z boksu przerzucił się oczywiście na zapasy, a dzięki swemu nowatorskiemu podejściu do walk i gier, zmienił ten brutalny sport w pełne dramatycznych zwrotów przedstawienie. Do jego wyróżniających się pomysłów należały: pojawiająca się na ringu w egipskim sarkofagu mumia; Tarzan przysyłający przyrodzenie tak niewielkim skrawkiem tygrysyj skóry, że przy każdym skoku zawodnika publiczność wstrzymywała oddech, podekscytowana; Anioł, który zakładał się o swoją złotą czuprynę i każdej nocy ją tracił obcinaną nożyczkami dzikiego Kuramoto, czyli przebranego za samuraja Indianina Mapuche, a następnego dnia zjawiał się ponownie z nietkniętymi lokami, co dowodziło niezłomności jego boskiej istoty. Takie i inne przedsięwzięcia handlowe, obok publicznych występów w asyście dwóch ochroniarzy, których rola polegała na zastraszeniu rywali i wzbudzaniu zainteresowania kobiet, wyrobiły mu opinię złego człowieka, którą pielęgnował z wielką uciechą. Prowadził wygodne i dostatnie życie, podróżował po świecie, podpisując umowy i wyszukując monstra do cyrku, pojawiał się w klubach i kasynach, miał na własność przeszkloną posiadłość w Kalifornii i ranczo na Jukatanie, ale większą część roku mieszkał w drogich hotelach. Korzystał z towarzystwa blondynek do wynajęcia. Wybierał delikatne i z obfitymi piersiami, przez pamięć macochy, ale nie przejmował się zbytnio sprawami sercowymi i kiedy dziadek zażądał od niego ożenku i splodzenia synów, by nazwisko Fortunatów nie przepadło, odpowiedział, że musiałby

zwariować, żeby dobrowolnie wstępować na małżeński szafot. Był potężnym, śniadym mężczyzną z niesforną czupryną, figlarnymi oczyma i głosem o stanowczym brzmieniu, czym podkreślał swoją wesołą pospolitość. Dbał o elegancję, więc kupował sobie ubrania niczym hrabia, ale stroje sprawiały wrażenie zbyt błyszczących, krawaty były zbyt wyzywające, rubin w pierścieniu zanadto widoczny, a zapach nazbyt silny. W jego piersi biło serce poskramiacza lwów i żaden angielski krawiec nie potrafił tego ukryć.

Ten mężczyzna, który przez większą część życia szokował otoczenie swoją nonszalancją, spotkał pewnego marcowego ranka Patrycję Zimmerman i to spotkanie odebrało mu spokój, ale sprawiło też, że przestał się wahać. Siedział właśnie w jedynej restauracji w mieście, do której nadal nie mają wstępu kolorowi, razem z czterema kompanami i pewną diwą, którą zamierzał zabrać na tydzień na Wyspy Bahama, gdy Patrycja weszła do sali pod rękę ze swoim mężem. Była w jedwabnej sukience i w diamentowej biżuterii, jaka rozślawiała firmę Zimmerman i S-ka. Trudno o kobietę bardziej niepodobną do przesiąkniętej zapachem końskiego potu macochy albo do usługowych blondynek. Patrzył, jak się zbliża, drobna, delikatna, z wystającymi kośćmi obojczyków i kasztanowymi włosami zebranymi w prosty kok, i poczuł, że kolana zaczynają mu ciążyć, jakby były z ołowiu, a pierś rozpała nagły płomień. Wolał kobiety proste i chętne do swawolnych igraszek, tymczasem zalety tej tutaj kobiety potrafiło dostrzec tylko oko znawcy, wprawne w ocenie różnych subtelności. Horacio Fortunato nie zaliczał się akurat do takich znawców. Gdyby jego cyrkowa wróżka, spojrzawszy w szklaną kulę, przepowiedziała mu, że zakocha się od pierwszego wejrzenia w czterdziestoletniej, wyniosłej arystokratce, śmiałyby się do rozpuku. Właśnie to przytrafiło mu się jednak, gdy zobaczył, jak Patrycja Zimmerman zbliża się niczym starożytna cesarzowa nosząca żałobę, w ciemnym stroju i z diamentami połyskującymi na szyi. Przeszła obok i na krótką chwilę zatrzymała się przed tym olbrzymem, zastygłym z serwetką zatknietą za kamizelkę i z resztkami sosu w kącikach ust. Horacio Fortunato poczuł jej perfumy, dostrzegł orli profil i zapomniał całkowicie o diwie, ochroniarzach, interesach i celach, jakie stawiał sobie w życiu. Postanowił bowiem odebrać tę kobietę jubilerowi, by kochać ją najlepiej, jak umiał. Ustawił krzesło nieco z boku i nie zwracając uwagi na swoich gości, oceniał odległość dzielącą go od Patrycji Zimmerman, gdy tymczasem ona zastanawiała się czy aby ten nieznajomy nie przygląda się jej biżuterii z jakimś niecnym zamiarem.

Tego samego wieczoru do rezydencji Zimmermanów dostarczono nie zwykły bukiet orchidei. Patrycja spojrzała na wizytówkę, prostokąt w kolorze sepii z imieniem jak z powieści, wypisanym ozdobnymi, złotymi literami. W okropnym guście, westchnęła, domyślając się od razu, że chodzi o tego wystrojonego typa z restauracji, i kazała wystawić prezent na ulicę w nadziei, że nadawca krąży wokół domu i sam zobaczy, gdzie wylądowały jego kwiaty. Następnego dnia przyniesiono szklane pudełko z jedną, doskonałą różą, bez wizytówki. Majordom wstawił pudełko do śmietnika. Przez resztę tygodnia wynoszono na śmietnik różne bukiety: kosz polnych kwiatów na podściółce z lawendy, piramidę białych goździków w srebrnym pucharze, tuzin czarnych tulipanów sprowadzonych z Holandii i inne kwiaty, niespotykane w tym gorącym klimacie. Wszystkie dzieliły los pierwszego bukietu, ale to nie zniechęciło zalotnika. Jego natarczywość stała się dla Patrycji Zimmerman tak nieznośna, że przestała odbierać telefon ze strachu, że usłyszy jego głos szepczący nieprzyzwoitości, jak stało się to pewnego wtorku o drugiej nad ranem. Zwracała mu nieotwarte listy. Przestała wychodzić z domu, bo natykała się na Fortunato w niespodziewanych miejscach: obserwował ją z sąsiedniej łoży w operze, wyrastał jak spod ziemi na ulicy, by otworzyć jej drzwi samochodu, nim kierowca zdążył wykonać pierwszy gest, pojawiał się niczym złudzenie optyczne w windzie albo na schodach. Czuli się więźniem we własnym domu. Przejdzie mu, przejdzie, powtarzała sobie, ale Fortunato nie rozwiewał się jak zły sen, tkwił nadal za ścianą domu i sapał. Kobieta miała zamiar

zadzwoić na policję albo zwrócić się do męża, jednak powstrzymał ją strach przed skandalem. Pewnego ranka czytała właśnie korespondencję, gdy majordom oznajmił przybycie prezesa firmy Fortunato i Synowie.

- Jak on śmie? W moim własnym domu? - szepnęła Patrycja, a serce waliło jej jak oszałałe. Musiała przywołać na pomoc całą dyscyplinę wewnętrzną, wypracowaną podczas tylu lat bywania na salonach, by ukryć drżenie rąk i głosu. Przez chwilę miała ochotę rozmówić się z tym obłąkańcem raz na zawsze, ale rozumiała, że nie starczy jej sił, że wpadnie w panikę na jego widok.

- Proszę mu powiedzieć, że mnie nie ma. Proszę wskazać mu drzwi i powiadomić całą służbę, że ten mężczyzna nie jest mile widziany w moim domu - rozkazała.

Nazajutrz nie było przy śniadaniu egzotycznych kwiatów i Patrycja pomyślała z westchnieniem ulgi - a może żalu - że mężczyzna zrozumiał wreszcie, co mu się daje do zrozumienia. Tego ranka po raz pierwszy od tygodnia poczuła się wolna i wyszła zagrać w tenisa, a potem do kosmetyczki i do fryzjera. Wróciła o drugiej po południu z nową fryzurą i silnym bólem głowy. Wchodząc, dostrzegła na stole w przedpokoju etui z fioletowego aksamitu ze znakiem firmy Zimmerman, wytłoczonym złotymi literami na wieczku. Otworzyła lekko roztargniona, pewna, że położył je tam mąż i ujrzała w środku naszyjnik ze szmaragdów, a obok jedną z tych wyszukanych wizytówek w kolorze sepia, które nauczyła się rozpoznawać i które wywoływały w niej wstręt. Ból głowy zmienił się w panikę. Wyglądało na to, że ten awanturnik jest gotowy zrujnować jej życie, bo nie tylko kupił u jej męża klejnot, który ten natychmiast rozpozna, lecz w dodatku przysyłał jej to bezczelnie do domu. Tym razem nie mogła wyrzucić prezentu na śmietnik, jak wyrzuciła otrzymane przedtem bukiety kwiatów. Przyciskając etui do piersi, zamknęła się w swoim gabinecie. Pół godziny później wezwała kierowcę i kazała mu dostarczyć paczuszkę pod ten sam adres, pod który odwoził już kilka listów. Pozbywszy się naszyjnika, nie odczuła żadnej ulgi, wprost przeciwnie, miała wrażenie, że pogrąża się w trzęsawisku.

Również Horacio Fortunato stapał po grząskim gruncie, nie posuwał się ani o krok do przodu, tylko kręcił w kółko po omacku. Zabiegi o względy kobiety nigdy nie wymagały od niego tyle czasu ani pieniędzy, choć musiał przyznać, że ta kobieta była inna niż wszystkie. Po raz pierwszy w swym cyrkowym życiu czuł się naprawdę śmieszny, jego końskie zdrowie zaczynało szwankować, rzucał się we śnie, brakowało mu tchu w piersi, serce mu zamierało, czuł piekący ból w żołądku i pulsowanie w skroniach. Interesy też cierpiały z powodu jego miłośnej choroby, podejmował nieprzemyślane decyzje i tracił pieniądze. Do licha, nie wiem już, kim jestem ani na czym stoję, do diabła z nią, gderał spocony, ale ani przez chwilę nie myślał poważnie o zaprzestaniu ściągania zwierzyny.

Trzymając ponownie w ręku fioletowe etui, siedział przygnębiony na krześle w hotelu, w którym się zatrzymał, i nagle przypomniał sobie dziadka. Rzadko myślał o ojcu, ale często wspominał swego cudownego dziadka, który w wieku dziewięćdziesięciu kilku lat uprawiał nadal ogródek. Sięgnął po słuchawkę telefoniczną i poprosił o międzynarodowe połączenie.

Stary Fortunato był niemal głuchy i nie potrafił przyswoić sobie zasady działania tego piekielnego aparatu, który przysyłał mu głos z drugiego końca planety, choć zaawansowany wiek nie pozbawił go jasności umysłu. Wysłuchał jak najdokładniej smutnej opowieści swego wnuka, nie przerywając mu, póki nie skończył.

- A więc ta dziwka pozwala sobie na kpiny z mojego chłopca, tak?
- Nawet na mnie nie spojrzy, dziadku. Jest bogata, piękna, szlachetna, ma wszystko.
- Aha .... więc ma też męża.
- Tak, ale nie to jest najgorsze. Gdyby mi chociaż pozwoliła ze sobą porozmawiać!
- Rozmawiać? A po co? Co można powiedzieć takiej kobiecie, synku?
- Podarowałem jej królewski naszyjnik i zwróciła mi go bez słowa.
- Daj jej coś, czego nie ma.



- Na przykład co?

- Dobry powód do śmiechu, to zawsze działa na kobiety - i dziadek zasnął ze słuchawką w dłoni, śniąc o służących, które się w nim kochały, gdy wykonywał szalone akrobacje na trapezie i tańczył ze swoją małpą.

Następnego dnia jubiler Zimmerman ujrzał w swej pracowni piękną młodą kobietę, z zawodu manikiurzystkę, jak sama wyjaśniła, która przyszła odsprzedać mu za połowę ceny ten sam naszyjnik ze szmaragdów, jaki sprzedał czterdzieści osiem godzin wcześniej. Jubiler dobrze przypominał sobie kupca, trudno zapomnieć takiego zarozumiałego prostaka.

- Szukam klejnotu, który pomoże przełamać opór pewnej aroganckiej damy - powiedział.

Zimmerman zmierzył go w sekundę wzrokiem i doszedł do wniosku, że musi być jednym z tych nuworyszy, co to dorobili się majątku na ropie naftowej albo na kokainie. Nie był w nastroju do obcowania z prostactwem, przywykł bowiem do ludzi innego pokroju. Rzadko sam obsługiwał klientów, ale ten mężczyzna chciał koniecznie z nim rozmawiać i sprawiał wrażenie człowieka gotowego wydać bez wahania dużo pieniędzy.

- Co mi pan doradzi? - zapytał, stojąc przed gablotą, w której połyskiwały najcenniejsze klejnoty.

- To zależy od damy. Rubiny i perły pięknie wyglądają na śniadej skórze, szmaragdy na skórze jaśniejszej karnacji, a diamenty są zawsze doskonałe.

- Ma aż nadto diamentów. Mąż robi jej prezenty, jakby to były cukierki.

Zimmerman kaszlnął. Podobne poufałości napawały go wstrętem. Mężczyzna wziął do ręki naszyjnik, podniósł go do światła bez cienia szacunku, potrząsnął nim jak dzwonkiem i powietrze wypełniło się pobrzękiwaniem a wokół zaczęły tańczyć zielone iskry. Jubiler czuł tymczasem, jak daje mu o sobie znać wrzód żołądka.

- Myśli pan, że szmaragdy przynoszą szczęście?

- Przypuszczam, że wszystkie kamienie szlachetne spełniają ten wymóg, proszę pana, ale nie jestem przesądny.

- To bardzo szczególna kobieta. Nie mogę popełnić błędu. Rozumie mnie pan?

- Doskonale.

Widać jednak wybrał źle, pomyślał sobie Zimmerman, nie mogąc powstrzymać sarkastycznego uśmiechu, gdy dziewczyna odniosła mu naszyjnik. Nie, w samym naszyjniku nie było nic niewłaściwego, to ona była pomyłką. Wyobrażał sobie bardziej wyrafinowaną kobietę, przez myśl mu nawet nie przeszło, że może chodzić o manikiurzystkę z plastikową torebką i w pospolitej bluzce. Dziewczyna zaintrygowała go jednak, bo miała w sobie coś delikatnego i zarazem wzbudzającego współczucie. Biedaczka, pomyślał, źle skończy w łapach tego bandyty.

- Lepiej niech mi pani wszystko opowie, dziecko - powiedział wreszcie Zimmerman.

Dziewczyna wyrecytowała wyuczoną historyjkę, a godzinę później wyszła ze sklepu lekkim krokiem. Tak, jak to sobie zaplanowała od samego początku, jubiler nie tylko odkupił od niej naszyjnik, lecz na dodatek zaprosił ją na kolację. Łatwo zdała sobie sprawę, że Zimmerman jest człowiekiem przebiegłym i nieufnym w interesach, lecz naiwnym we wszystkich innych sprawach, więc nietrudno będzie go zająć na czas, którego Horacio Fortunato potrzebował i za który gotów był zapłacić.

To był dla Zimmermana pamiętny wieczór. Oczekiwał tylko kolacji, a nagle znalazł się w wirze nieoczekiwanej namiętności. Nazajutrz znowu spotkał się ze swoją nową przyjaciółką, a pod koniec tygodnia wyjąkał Patrycji, że wyjeżdża na kilka dni do Nowego Jorku na aukcję rosyjskich klejnotów, jakie zostały po masakrze w Jekaterynburgu. Żona nie wykazała żadnego zainteresowania.

Zostawszy sama w domu, bez żadnej ochoty na wyjście, z uporczywym i

powracającym bólem głowy, Patrycja postanowiła poświęcić tę sobotę na odpoczynek. Wzięła żurnal poświęcony modzie i zasiadła w fotelu na tarasie. Od tygodnia nie spadła ani kropla deszczu i powietrze było suche i gęste. Czytała jakiś czas, aż słońce zaczęło ją w końcu usypiać, ciało stało się ciężkie, oczy same się zamykały, a żurnal wypadł z rąk. W tej właśnie chwili dobiegł ją jakiś hałas z głębi ogrodu i pomyślała, że to ogrodnik, zajadły pracuś, który w niecały rok zmienił jej posiadłość w tropikalną dżunglę. Otworzyła oczy, popatrzyła rozespana pod słońce i zauważyła, że coś niezwyklej wielkości porusza się w koronie drzewa awokado. Zdjęła ciemne okulary i wyprostowała się. Bez wątpienia na górze poruszał się jakiś cień i na pewno nie były to liście.

Patrycja Zimmerman wstała z fotela i poszła kilka kroków do przodu. Ujrzała wówczas najwyraźniej bezcielesną istotę ubraną w niebieski trykot i złotą pelerynę, która poszybowała na wysokość kilku metrów, zrobiła fikolka w powietrzu i przez chwilę jakby się zatrzymała, pozdrawiając ją z niebiosów. Krzyk uwiązył jej w gardle, bo była pewna, że zjawa spadnie niczym kamień i roztrzaska się o ziemię, ale peleryna się wydeła, a promienny chrząszcz rozłożył ramiona i zaczepił się o pobliskie drzewo. Natychmiast pojawiła się inna błękitna postać, zwisająca głową w dół z korony innego drzewa i huśtająca się wraz z trzymaną za nadgarstki dziewczynką przystrojoną kwiatami. Pierwszy akrobata dał znak, a wtedy ten drugi rzucił w jego kierunku dziecko, które zdołało rozsypać deszcz papierowych motyli, nim ten pierwszy chwycił je mocno za kostki u nóg. Patrycja nie mogła się poruszyć, póki w powietrzu szybowały te milczące ptaki w złotych pelerynach.

Nagle ogród wypełniło przeciągłe wycie i krzyk, który odwrócił uwagę Patrycji od akrobatów. Spostrzegła grubą linę, przerzuconą przez boczny mur jej posiadłości, i po tej właśnie linie zsuwał się Tarzan we własnej osobie, taki sam jak w filmach oglądanych w dzieciństwie, w kusym okryciu z tygryziej skóry i z prawdziwą małpą uczeponą biodra i obejmującą go w pasie. Król Puszczy zeskoczył z wdziękiem na ziemię, uderzył się pięściami w pierś i ponownie wydał z siebie głęboki ryk, przyciągając tym całą domową służbę, która pospiesznie wyległa na taras. Patrycja nakazała im ruchem ręki, żeby byli cicho, gdy tymczasem głos Tarzana stawał się coraz cichszy, ustępując miejsca posępnemu łoskotowi bębnowi zapowiadającemu orszak czterech Egipcjanek, które posuwały się w półobrocie, ze skierowanymi do boku stopami i twarzą wykręconą do widzów profilem. Za nimi kroczył garbus w pasiastym kapturze i ciągnął za sobą na łańcuchu czarną panterę. Potem pojawili się dwaj zakonnicy dźwigający sarkofag, a za nimi anioł o długich, złocistych włosach. Pochód zamykał Indianin przebrany za Japończyka, w jedwabnym szlafroku i na wysokich drewnianych koturnach. Wszyscy zatrzymali się za basenem. Braciszkwowie zakonni postawili trumnę na trawniku, gdy Egipcjanki zawodziły w jakimś martwym języku, a Anioł i Kuramoto demonstrowali swoje wspaniałe umięśnienie, pokrywa sarkofagu uniosła się i ze środka wynurzyła się koszmarna postać. Stała wyprostowana i oczom zebranych ukazały się spowijające ją bandaże. Było jasne, że to mumia zachowana w doskonałym stanie. W tej samej chwili Tarzan zawył i zaczął skakać wokół Egipcjanek i zrzucać z siebie małpę. Mumia straciła tysiącletnią cierpliwość, uniosła ramię i spuściła je niczym drąg na kark dzikusa, co unieruchomiło go w miejscu z twarzą wbita w trawę. Małpa wspięła się z piskiem na drzewo. Nim zabalsamowany faraon unieszkodliwił Tarzana drugim ciosem, ten podniósł się z ziemi i rzucił z rykiem na mumię. Obaj zaczęli się tarzać, spleceni w niewiarygodnym uścisku do chwili, gdy pantera zerwała się z uwięzi, a wtedy wszyscy rzucili się szukać schronienia wśród krzaków, a domowa służba ruszyła pędem do kuchni. Patrycja była już gotowa wskoczyć do basenu, gdy jak wyczarowany zjawił się jegomość we fraku i w cylindrze, który trzaskiem bata osadził zwierzę w miejscu. Pantera położyła się na ziemi, mrużąc niczym kot, odwrócona brzuchem do góry, dzięki czemu garbus mógł znowu chwycić łańcuch, podczas

gdy jegomość we fraku zdjął z głowy cylinder i wyciągnął z niego bezowy tort, który przyniósł aż na taras i złożył u stóp pani domu.

W głębi ogrodu pojawiła się reszta trupy: muzycy z orkiestry grający marsze wojskowe, kłowni wymierzający sobie nawzajem policzki, karły ze średniowiecznych dwo-rów, wołyżerka stojąca na grzbiecie konia, kobieta z brodą, psy jadące na rowerze, struś przebrany za kolombinę, a na końcu rząd bokserów w satynowych spodenkach i przepisowych rękawicach, którzy pchali przed sobą platformę na kółkach zwieńczoną łukiem z malowanego kartonu. Tam właśnie, niczym władca całego tego dobytku, jechał Horacio Fortunato z włosami lśnącymi brylantyną, z przyklejonym do ust uwodzicielskim uśmiechem amanta i tryskał szczęściem, stojąc pod łukiem triumfalnym, w otoczeniu artystów ze swej niesłychanej trupy, fetowany dźwiękiem trąbek i uderzeniami talerzy własnej orkiestry, najwspanialszy, najbardziej zakochany i najzabawniejszy mężczyzna na świecie. Patrycja roześmiała się i wyszła mu na spotkanie.

## Tosca

Ojciec posadził ją do fortepianu, gdy miała pięć lat, a gdy miała dziesięć, Maurizia Rugieri, ubrana w różową sukienkę i lakierki, dała swój pierwszy koncert w klubie imienia Garibaldiego przed życzliwą jej publicznością, składającą się w większości z członków włoskiej kolonii. Kiedy skończyła grać, u jej stóp znalazły się bukiety kwiatów, a prezes klubu wręczył jej pamiątkowy medal i wystrojoną we wstążki i koronki porcelanową lalkę.

- W twojej osobie, droga Maurizio, witamy młodocianego geniusza, nowego Mozarta. Stoją przed tobą otworem wielkie sceny świata - wydeklamował. Dziewczynka odczekała, aż umilkną oklaski, a potem odezwała się nieoczekiwanie wyniosłym tonem, przebijając się przez pełen dumy szloch matki.

- Zagrałam na fortepianie ostatni raz. Chcę być śpiewaczką - oznajmiła i wyszła z sali, ciągnąc lalkę za nogę,

Ojciec, gdy doszedł już do siebie po tym wstydzie, posłał ją na lekcje do wyjątkowo surowego nauczyciela, który bił dziewczynkę po rękach za każdą fałszywą nutę, czym nie udało mu się zabić w niej entuzjazmu dla opery. Pod koniec okresu dojrzewania okazało się jednak, że ma wątły głosik i może nim, co najwyżej, ukołysać niemowlę w kolebce. Musiała zatem porzucić marzenia o karierze sopranistki i przystać na bardziej banalne życie. Gdy skończyła dziewiętnaście lat, wyszła za męża za Ezia Longo, imigranta w pierwszym pokoleniu, architekta bez tytułu i budowniczego z zawodu, który postawił sobie za cel stworzenie cementowo-stalowego imperium i w wieku trzydziestu pięciu lat już tego prawie dokonał.

Ezio Longo zakochał się w Maurizii Rugieri z taką samą determinacją, z jaką wznosił w stolicy swoje budynki. Był niskiego wzrostu, grubej kości, miał szeroki kark zwierzęcia pociągowego i tryskającą energię, nieco prostacką twarz o wydatnych ustach i czarnych oczach. Rodzaj wykonywanej pracy sprawiał, że nosił mało wyszukane stroje, a od długiego przebywania na słońcu twarz miał ciemną i pooraną bruzdami jak wygarbowana skóra. Był dobroduszny i szczodry, chętnie się śmiał, lubił muzykę ludową oraz obfite posiłki bez zbędnych ceregieli. Ta nieco pospolita powierzchowność skrywała subtelną duszę i delikatność uczuć, których nie zdradzały słowa i gesty. Gdy czasami wpatrywał się z zachwytem w Maurizję, czuł, jak do oczu napływają mu łzy, a pierś wzbiera czułością, co szybko tuszował jakimś ruchem ręki, płonąc ze wstydu. Nie potrafił uczuć ubierać w słowa, ale wierzył, że obsypując żonę podarunkami i znosząc ze stoicką cierpliwością jej nieoczekiwane zmiany nastroju oraz urojone dolegliwości, zrehabilituje się w jej oczach za to, że tak kiepsko wypada w roli amanta. Wzbudzała w nim nieodpartą żądzę, codziennie

pragnął jej z żarliwością pierwszych spotkań, rozpalony brał ją w ramiona, usiłując zasypać dzielącą ich przepaść, ale jego namiętność zderzała się z grymasami Maurizii, która karmiła swoją rozgorączkowaną wyobraźnię romantycznymi lekturami oraz muzyką Verdiego i Pucciniego. Ezio zasypiał po trudach całego dnia, dręczony koszmarami, które wypełniały krzywe ściany i zwichrowane schody. Budził się o świcie, siadał na łóżku i przyglądał się śpiącej żonie z taką uwagą, że nauczył się odgadywać jej sny. Oddałby życie za to, żeby odwzajemniła jego uczucia. Wybudował dla niej olbrzymi, wsparty na kolumnach dom, w którym pomieszanie stylów i obfitość ozdób przyprawiały o zawrót głowy. Cztery służące pracowały bez wytchnienia, zajmując się wyłącznie polerowaniem brązów, froterowaniem podłóg, czyszczeniem szklanych lamp, odkurzaniem mebli o złotych nogach i trzepaniem podrabianych perskich dywanów, sprowadzonych z Hiszpanii. W ogrodzie koło domu znajdował się mały amfiteatr z głośnikami i oświetloną sceną, na której Maurizia Rugieri miała zwyczaj śpiewać dla gości. Ezio bardzo szanował artystyczne upodobania żony i za nic na świecie nie przyznałby się do tego, że w gruncie rzeczy nie umie ocenić, czy jej wątle trele zasługują na uznanie. Był człowiekiem pełnym optymizmu i wiary we własne siły, kiedy jednak Maurizia oznajmiła z płaczem, że jest w ciąży, przestraszył się nagle takiego ogromu szczęścia, bo pomyślał, że na tym padole łez trzeba za wszystko płacić. Przez głowę przebiegła mu myśl, że jego raj może lec w gruzach w efekcie jakiejś nagłej katastrofy, więc całkowicie oddał się życiu rodzinnemu.

Katastrofą okazał się pewien student medycyny, na którego Maurizia natknęła się w tramwaju. Dziecko, stworzenie tryskające energią i optymizmem jak jego ojciec, było już wówczas na świecie, a matka zdążyła odzyskać smukłą talię. Student, młodzieniec chudy i blady, o profilu rzymskiego posągu, usiadł obok Maurizii na trasie do centrum miasta. Czytał partyturę *Toski* i gwizdał cicho słynną arię z ostatniego aktu. Ona poczuła na policzkach żar rozpalonego w południe słońca i zimny pot pod gorsetem. Bezwiednie zanuciła partię nieszczęsnego Maria, gdy staje naprzeciw plutonu egzekucyjnego. W ten sposób, między dwoma taktami partytury, rozpoczął się romans. Młodzieniec nazywał się Leonardo Gómez i był takim samym entuzjastą *bel canta* jak Maurizia.

W następnych miesiącach student uzyskał tytuł lekarza, a ona przeżywała dogłębnie wszystkie operowe tragedie, nie wspominając tych znanych z literatury powszechnej. Umierała kolejno za sprawą Don Josego, na gruźlicę, w egipskim grobowcu, jako ofiara sztyletu i trucizny, kochała, śpiewając po włosku, francusku i niemiecku, wcielała się w Aidę, Carmen i Łucję z Lammermooru i za każdym razem Leonardo Gómez był obiektem jej nieustającej namiętności. W prawdziwym życiu łączyła ich jednak tylko miłość czysta, którą Maurizia pragnęła wprawdzie skonsumować, ale nie miała odwagi przejąć inicjatywy, on zaś kochał ją, szanując zarazem fakt, że jest mężatką. Widywali się w miejscach publicznych, czasami brali się za ręce w jakimś zacienionym zakątku parku, wymieniali nuty podpisane Tosca i Mario, a Ezia Longo nazywali oczywiście Scarpia. Mąż Maurizii był tak bardzo wdzięczny losowi za syna, piękną żonę i za wszystkie dary niebios, a przy tym tak ciężko pracował, by zapewnić dostatni byt rodzinie, że nigdy nie dowiedziałaby się o tym, co się dzieje, gdyby nie pewien sąsiad, który napomknął mu kiedyś, że żona nazbyt często jeździ tramwajem.

Ezio Longo brał pod uwagę możliwość krachu w interesach, chorobę, a nawet wypadek dziecka, co budziło w nim zabobonny strach, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że jakiś studencina mógłby ni stąd, ni zowąd uwieść mu żonę. W pierwszym odruchu omal się nie roześmiał, bo taka komplikacja wydała mu się niegroźna i najprostsza do usunięcia. Kiedy jednak minęło zdumienie, dostał napadu ślepej furii, od której przewracała się w nim wątroba. Poszedł za Maurizią do zacisznej ciastkarni i zaskoczył ją, gdy piła czekoladę z ukochanym. Nie prosił o wyjaśnienia. Chwycił rywala za klapy marynarki, podniósł w górę i pchnął na ścianę wśród brzęku tłuczonych filizanek i krzyku klienteli.

Potem wziął żonę za ramię i zaprowadził do samochodu. Był to mercedes benz, jeden z ostatnich sprowadzonych do kraju, nim wojna światowa położyła kres stosunkom handlowym z Niemcami. Zamknął Maurizję w domu, a przy drzwiach postawił na straży dwóch murarzy ze swojego przedsiębiorstwa. Maurizia dwa dni przepłakała w łóżku, nie odzywając się do nikogo i odmawiając jedzenia. Ezio Longo wszystko dokładnie przemyślał i jego gniew zmienił się w ponurą frustrację. Przypomnił sobie własne, pozbawione ciepła dzieciństwo, biedną młodość, samotność i głód czułości, jakie mu doskwierały, aż do chwili, w której poznał Maurizję Rugieri. Zdało mu się wtedy, że zdobył boginię. Trzeciego dnia nie wytrzymał i wszedł do pokoju żony.

- Musisz sobie wybić z głowy te fanaberie przez wzgląd na naszego syna, Maurizio. Wiem, że nie jestem zanadto romantyczny, ale z twoją pomocą mogę się zmienić. Nie zniosę, by ktoś przyprawiał mi rogi, za bardzo cię Kocham, by pozwolić ci odejść. Daj mi szansę, a przysięgam, że uczynię cię szczęśliwą.

W odpowiedzi odwróciła się do ściany i przedłużyła głodówkę o następne dwa dni. Zjawił się więc ponownie.

- Powiedz mi, czego ci, u licha, brakuje. Może potrafiłbym ci to dać - powiedział załamany.

- Brakuje mi Leonarda. Umrę bez niego.

- W porządku. Jeśli chcesz, odejdz z tym nicponiem, ale nigdy więcej nie zobaczysz naszego syna.

Spakowała walizki, ubrała się w muśliny, na głowę włożyła kapelusz z welonem i zadzwoniła po taksówkę. Przed wyjściem ucałowała z płaczem dziecko i szepnęła mu do ucha, że niedługo po nie przyjedzie. Ezio Longo, który w tydzień stracił sześć kilo i połowę czupryny, zabrał z jej ramion maleństwo.

Maurizia Rugieri przyjechała do pensjonatu, w którym mieszkał ukochany i dowiedziała się, że wyjechał dwa dni wcześniej, by pracować jako lekarz w obozie nacierzy położonym w jednej z tych upalnych prowincji, której nazwa przywodzi na myśl Indian i zmije. Trudno jej było zrozumieć, dlaczego wyjechał bez pożegnania, ale przypisała to cięgom, jakie odebrał w ciastkarni. Doszła do wniosku, że brutalność jej męża wprawiła uduchowionego Leonarda w konsternację. Zamieszkała w hotelu i przez następne dni słała telegramy do wszystkich możliwych miejsc. Udało jej się w końcu odnaleźć Leonarda Gomeza i powiadomić go, że wyrzekła się dla niego jedynego syna, zostawiła męża, rzuciła wyzwanie ludziom i Bogu i że jej decyzja, by dzielić z nim los, dopóki śmierć ich nie rozłączy, jest absolutnie nieodwołalna.

Podróż była męczącą wyprawą różnymi środkami lokomocji: pociągiem, ciężarówką, a na niektórych odcinkach - łódką. Maurizia nigdy przedtem nie oddalała się samotnie od domu na odległość większą niż kilka kilometrów, nie przeraziła jej jednak ani długość podróży, ani przytłaczający krajobraz. Po drodze zgubiła kilka walizek, a jej muślinowa suknia zmieniła się w poźółkłą od kurzu szmatę. W końcu dotarła do rozwidlenia rzeki, gdzie powinien na nią czekać Leonardo. Gdy wysiadła z samochodu, zobaczyła przy brzegu pirogę, więc ruszyła biegiem w tamtą stronę. Na plecach powiewały jej strzępy welonu, a spod kapelusza wyslizgiwały się długie pukle włosów. Jednak zamiast swego Maria, znalazła w łódce Murzyna w kasku podróżnika i dwóch smętnych Indian, trzymających w rękach wiosła. Było za późno, żeby się wycofać. Zadowolili się wyjaśnieniem, że doktor Gómez został wezwany do nagłego przypadku i wsiadła do łódki wraz z resztkami swego sponiewieranego bagażu, modląc się w duchu, by mężczyźni nie okazali się bandytami lub kanibalami. Na szczęście nimi nie byli i przewieźli ją, całą i zdrową, przez rozległe, ponure i dzikie obszary aż do miejsca, w którym oczekiwał jej ukochany. Miejscem tym były dwie odizolowane od świata osady. W jednej z nich stały długie baraki-sypialnie, zamieszkałe przez robotników, a w drugiej mieszkali urzędnicy. W tej drugiej osadzie mieściły się biura kompanii, stało tam

ponadto dwadzieścia pięć domów z prefabrykatów, przywiezionych samolotem ze Stanów Zjednoczonych, nedorzecznie wyglądające w tym miejscu pole do gry w golfa i basen z zieloną wodą, który co dzień o brzasku pełen był wielkich ropuch. Wszystko otaczało metalowe ogrodzenie z bramą strzeżoną przez dwóch strażników. Ludzie zatrzymywali się tu na krótko, a całe życie kręciło się tam wokół oleistej mazi tryskającej z ziemi, jak bezustanne wymioty smoka. Na pustkowiu tym nie było wcale kobiet, prócz kilku cierpliwych towarzyszek robotników. Jankesi i majstrowie jeździli raz na trzy miesiące do miasta, żeby spotkać się z rodzinami. Przyjazd żony doktora Gomeza, jak ją nazwano, zaburzył na kilka dni ustalony rytm codziennych zajęć. Musieli przyzwyczać się do widoku tej postaci z innego świata, która przechadzała się, powiewając welonem, z parasolką w ręku i w baletkach.

Maurizia Rugieri nie przystała na pospolitość egzystencji tych ludzi, nie zmógł jej także panujący tam ciągle upał. Postanowiła żyć wzniosle i prawie jej się udało. Bohaterem swego melodramatu uczyniła Leonarda Gomeza, przydając jego osobie wiele wymaginowanych zalet i ekscytując się głębią jego miłości. Nie przyszło jej do głowy zmierzyć prawdziwą temperaturę uczuć ukochanego i sprawdzić, czy dotrzymuje jej kroku w tak namiętnym biegu. Fakt, że Leonardo Gómez zostawał daleko w tyle, tłumaczyła sobie jego wrodzoną nieśmiałością i słabym zdrowiem, które dodatkowo pogarszał przekłęty klimat. Rzeczywiście, Gómez wydawał się tak wątpy i delikatny, że zapomniała w końcu o wszystkich własnych dolegliwościach, żeby móc poświęcić się opiece nad nim. Chodziła razem z nim do pracy do prymitywnego, miejscowego szpitala i nauczyła się wypełniać obowiązki pielęgniarki, żeby mu pomagać. Sama wkrótce też uznała, że lepiej opiekować się chorymi na malarię albo nawet opatrywać potworne rany ofiar wypadków, niż skazywać się na zamknięcie w domu i czytanie w kółko tych samych starych pism i romansów. Krzątając się pośród lekarstw, strzykawek i materiałów opatrunkowych, wyobrażała sobie, że jest jedną z tych pełnych poświęcenia, dzielnych kobiet, jakie widywali na filmach wojennych, wyświetlanych czasem w miejscowym klubie. Z samobójczym wręcz uporem odmawiała przyjęcia do wiadomości, jak bardzo pogorszył się poziom jej życia i starała się wytrwale każdą chwilę upiększać słowami, skoro nie mogła w inny sposób. O Leonardzie Gomezie, którego nadal nazywała Mariem, mówiła jak o świętym oddanym służbie ludzkości. Zdołała także dowieść całemu światu, że łączy ich oboje niezwykła miłość, co skutecznie ostudziło zapaly wszystkich pracowników kompanii, nawet jeśli wcześniej ta jedyna biała kobieta w okolicy rozpalala w niektórych żar namiętności. Prymitywizm życia w osadzie określała mianem *bliskiego kontaktu z przyrodą* i nie zważała na komary, jadowite robactwo, iguany, piekielny żar panujący za dnia, duchotę nocy ani na fakt, że sama nie mogła zapuszczać się poza bramę. Samotność, nudę i tęsknotę za miastem, modnymi strojami, chodzeniem do przyjaciółek czy do teatru nazywała *nostalgia*. Nie potrafiła tylko wymyślić poetyckiego określenia na dotkliwy ból, jaki ją przeszywał na wskroś, gdy myślała o synku. Postanowiła więc nigdy o tym nie mówić.

Leonardo Gómez pracował jako miejscowy lekarz przez ponad dziesięć lat, aż zupełnie podupadł na zdrowiu z powodu ciągłej gorączki i zabójczego klimatu. W ogóle nie brał pod uwagę ewentualnego powrotu do stolicy, zbyt długo przebywał pod opiekuńczymi skrzydłami Kompanii Naftowej, nie miał odwagi rozpocząć nerwowego miejskiego życia, gdzie o wszystko trzeba walczyć i dobrze pamiętał, z jaką wściekłością Ezio Longo pchnął go na ścianę. Szukał więc pracy w jakimś odległym zakątku kraju, gdzie mógłby nadal żyć w spokoju. W taki właśnie sposób pewnego dnia trafił do Agua Santa razem z żoną, przyrządami lekarskimi i płytami z muzyką operową. Było to w latach pięćdziesiątych. Maurizia Rugieri wysiadła z autobusu ubrana wedle najnowszej mody, w obcisłą sukienkę w groszki i w wielki czarny kapelusz słomkowy, jakiego nikt nigdy nie widział w tych stronach. Kupiła go w domu wysyłkowym w Nowym Jorku. Przyjęto ich z małomiasteczkową

gościnnością i nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a już wszyscy znali romantyczną historię miłości nowo przybyłych. Zwracając się do nich, używali imion Tosca i Mario, nie mieli pojęcia, skąd te imiona pochodzą, ale Maurizia szybko im wszystko opowiedziała. W nowym miejscu zamieszkania porzuciła pracę pielęgniarki u boku Leonarda, stworzyła natomiast chór parafialny i wystąpiła z pierwszymi recitalami śpiewu, jakie słyszała ta okolica. Mieszkańcy Agua Santa oniemieli z wrażenia, widząc jak przemieniona w Madame Butterfly pojawia się na zaimprovizowanej w szkole scenie. Wystrojona w dziwaczny szlafrok, z drewnianymi kołeczkami wetkniętymi w kok, plastikowymi kwiatami zatkniętymi za uszy i z twarzą pobieloną gipsem, wydobywała z siebie wątle trele. Nikt nie zrozumiał ani słowa z jej śpiewu, ale gdy padła na kolana i uniosła do góry nóż kuchenny grożąc, że wbije go sobie w brzuch, publiczność wydała okrzyk przerażenia, a jeden z widzów pospieszył na scenę, żeby odwieść ją od tego zamiaru, wytrącił broń z ręki i zmusił, by powstała z kolan. Natychmiast wywiązała się długa dyskusja na temat powodów desperacji japońskiej damy i wszyscy się zgodzili, że marynarz amerykański, który ją wcześniej porzucił, był bezdusznym draniem i nie warto za niego umierać, bo świat się na nim nie kończy i wokół jest wielu innych mężczyzn. Przedstawienie skończyło się ogólną zabawą, gdy naprędce stworzona orkiestra zagrała *cumbię*, a ludzie zaczęli tańczyć. Po tamtym pierwszym, pamiętnym wieczorze przyszły następne, podobne: śpiew, śmierć na scenie, wyjaśnienie fabuły operowej przez śpiewaczkę, publiczna dyskusja, a na koniec zabawa.

Doktor Mario i pani Tosca stali się wybitnymi członkami miejscowej społeczności. On dbał o zdrowie mieszkańców, ona zajmowała się życiem kulturalnym oraz służyła wiadomościami o nowych kierunkach w modzie. Mieszkali w przewiewnym i wygodnym domu, którego połowę zajmowała przychodnia lekarska. Na patio trzymali niebiesko-żółtą papugę *guacamaya* i kiedy wychodzili na przechadzkę, ptak fruwał nad ich głowami. Zawsze wiadano, którądy idzie doktor lub jego żona, bo papuga wszędzie im towarzyszyła, unosząc się bezszelestnie dwa metry nad ziemią i szybując na szeroko rozpostartych skrzydłach jak wielki bohomas. Wiele lat przeżyli w Agua Santa, ciesząc się szacunkiem ludzi, dla których byli przykładem miłości doskonałej.

Podczas jednego z ataków malarii doktor Gómez zapadł w czeluść gorączki i już się z niej nie wydobył. Jego śmierć wstrząsnęła miasteczkiem. Obawiano się, że skłoni to jego żonę do popełnienia jakiegoś rozpaczliwego czynu, podobnego to tych, które tyle razy odgrywała śpiewając, więc czuwano przy niej na zmianę dniem i nocą przez następne tygodnie. Maurizia Rugieri spowiła się w żałobę od stóp do głowy, pomalowała na czarno wszystkie meble w domu i obnosiła się wytrwale ze swoim bólem, który odcisnął się jej na twarzy dwiema głębokimi bruzdami w okolicach ust. Nie usiłowała jednak targnąć się na własne życie. Możliwe, że gdy leżała sama w zaciszu pokoju, czuła głęboką ulgę, bo nie musiała dalej dźwigać ciężaru własnych snów ani utrzymywać przy życiu postaci, jaką wymyśliła, by móc odgrywać swą rolę. Nie były już potrzebne kuglarskie sztuczki, stosowane przez lata, by ukryć niedostatki kochanka, który nigdy nie stanął na wysokości jej oczekiwań. Miała jednak głęboko zakorzeniony nawyk teatralizacji życia i tak jak wcześniej wykreowała się na romantyczną heroinę, tak teraz, w okresie wdowieństwa, stworzyła legendę własnej rozpacz. Pozostała w Agua Santa i ubierała się niezmiennie na czarno, choć dawno już minął ogólnie przyjęty okres żałoby. Nie chciała więcej śpiewać, mimo prośb przyjaciół, którzy uważali, że opera mogłaby stać się dla niej ukojeniem. Miasteczko nie odstąpiło od niej, otaczając Maurizję serdecznym uściskiem, aby w ten sposób ułatwić jej życie i pomóc w dźwiganiu ciężaru wspomnień. W zbiorowej pamięci postać doktora Gomeza nabierała coraz większego znaczenia i dwa lata później zorganizowano zbiórkę pieniężną na brązowe popiersie, które - wsparte na kolumnie - ustawiono na placu, naprzeciwko kamiennego pomnika Wyzwolicielea.

Tego samego roku została otwarta przecinająca Agua Santa autostrada, która raz na

zawsze zmieniała wygląd i nastrój miasteczka. Ludzie sprzeciwiali się początkowo temu projektowi w przekonaniu, że władze ściągną do budowy więźniów z zakładu karnego w Santa Maria i każą tym zakutym w kajdany biedakom ścinać drzewa i rozbijać kamienie, tak jak wedle opowieści dziadków było przy budowie drogi w czasach Dobroczyńcy. Przybyli z miasta inżynierowie uspokoili ich jednak, mówiąc, że autostradę zbudują maszyny, nie więźniowie. Po inżynierach przyjechali topografowie, a po nich ekipy robotników w pomarańczowych, odblaskowych kaskach i kamizelkach. Maszyny okazały się żelaznymi potworami o rozmiarach dinozaurów, jak orzekła miejscowa nauczycielka, a po bokach miały wymalowaną nazwę przedsiębiorstwa, *Ezio Longo i Syn*. Właściciele firmy przyjechali pewnego piątku do Agua Santa, żeby skontrolować roboty i wypłacić pobory pracownikom.

Ujrzawszy sztyd i maszyny należące do byłego męża, Maurizia Rugieri ukryła się w domu, zamykając na głucho drzwi i okna w niedorzecznej nadziei, że uda jej się uciec od przeszłości. Przez dwadzieścia osiem lat wspomnienie porzuconego syna przeszywało ją tępym bólem, więc gdy dowiedziała się, że obaj mężczyźni jedzą obiad w gospodzie w Agua Santa, nie potrafiła dłużej walczyć ze sobą. Przejrzała się w lustrze. Była kobietą pięćdziesięcioletnią, zniszczoną przez tropikalne słońce i odgrywanie komedii swego chimerycznego szczęścia, ale rysy twarzy miała nadal szlachetne. Upięła wyszczotkowane włosy w wysoki kok, nie starając się ukryć siwizny, i włożyła najlepszą czarną sukienkę oraz zachowany jeszcze ślubny sznur pereł. W odruchu nieśmiałej kokieterii podkreśliła czarną kreską kontur oczu, położyła karmin na policzki i usta. Wyszła z domu, osłaniając się od słońca parasolem Leonarda Gomeza. Pot spływał jej po plecach, ale już nie drżała z niepokoju.

Żaluzje w gospodzie były o tej porze zapuszczone, żeby chronić wnętrze przed południowym upałem, więc Maurizia Rugieri potrzebowała dobrej chwili, nim jej oczy przywykły do półmroku i nim dostrzegła przy stoliku w głębi Ezia Longo i młodego człowieka, który musiał być jej synem. Mąż zmienił się dużo mniej niż ona, może dlatego, że zawsze był osobą o trudnym do określenia wieku. Ten sam byczy kark, ta sama mocna sylwetka, te same grube rysy twarzy i głęboko osadzone oczy, których wyraz łagodziła siateczka wesołych zmarszczek, śladów pogodnego usposobienia. Nachylony nad stołem jadł z zapałem, słuchając syna. Maurizia przyjrzała im się z daleka. Jej syn musiał zbliżyć się do trzydziestki. Miał co prawda smukłe kształty i delikatną skórę, tak jak ona, lecz w ruchach przypominał ojca, jadł z taką samą przyjemnością, uderzał dłonią w stół, gdy mówił coś z emfazą, śmiał się z ochotą i w ogóle był człowiekiem pełnym życia i energii, pewnym własnej siły, gotowym bić się o swoje. Maurizia ujrzała Ezia Longo w nowym świetle i po raz pierwszy dostrzegła w nim prawdziwie męskie zalety. Wzruszona postąpiła kilka kroków do przodu, patrząc na samą siebie, jakby była widzkiem i równocześnie aktorką odgrywającą w teatrze najbardziej dramatyczną scenę w długim przedstawieniu, jakim było jej życie. Wypowiadając szeptem imiona męża i syna, chciała ich prosić, by jej wybaczyli wieloletnie porzucenie. W ciągu kilku minut odsłonił się jej mechanizm pułapki, w jakiej tkwiła przez trzydzieści lat urojeń. Zrozumiała, że to Ezio Longo był prawdziwym bohaterem powieści i chciała wierzyć, że on cały czas jej pragnął i czekał na nią z miłością wytrwałą i namiętą, jakiej nie potrafił dać jej Leonardo Gómez, ponieważ taka miłość nie leżała w jego naturze.

Brakowało tylko kroku, by wyszła z półcienia i stała się widoczna, gdy nagle młody człowiek pochylił się, chwycił ojca za przegub ręki i powiedział coś, mrugając porozumiewawczo i zabawnie. Obaj wybuchnęli śmiechem, klepiąc się nawzajem po ramionach, czochrając włosy. Ze sceny tej przebijała męska czułość i poczucie wspólnoty, z której wykluczeni byli Maurizia i cała reszta świata. Zawahała się w pół kroku między rzeczywistością a snem, potem cofnęła się, wyszła z gospody, otworzyła czarny parasol i ruszyła w stronę domu, a nad jej głową frunęła papuga niczym biblijny archanioł z kalendarza.



## Walimai

Walimai, imię, jakie nadał mi ojciec, w języku naszych braci z północy oznacza wiatr. Mogę ci to opowiedzieć, bo jesteś teraz niczym moja własna córka i pozwalam ci nazywać mnie po imieniu, choć tylko wśród członków naszej rodziny. Należy być bardzo ostrożnym z imionami osób i żywych stworzeń, bo wypowiadając imiona, dotykamy czyjegoś serca i mamy dostęp do jego siły życiowej. Pozdrawiamy się w ten sposób jako krewni połączeni więzami krwi. Nie rozumiem łatwości, z jaką obcy nazywają się nawzajem, bez cienia obawy. Nie tylko oznacza to brak szacunku, lecz może także narazić na poważne niebezpieczeństwa. Zauważyłem, że osoby te mówią z największą lekkomyślnością, nie biorąc pod uwagę tego, że mówić znaczy także być. Słowo i gest to ludzka myśl. Nie należy mówić po próżnicy, tego uczyłem swoje dzieci, ale nie zawsze moje rady znajdują posłuch. Dawniej tradycje były przestrzegane. Moi dziadowie i dziadowie moich dziadów otrzymali od swoich dziadów konieczną wiedzę. I nic się dla nich nie zmieniało. Człowiek, który posiadał te nauki, mógł zapamiętać wszystkie przekazane mu tajemnice i w ten sposób wiedział, jak postępować w każdej chwili. Potem przybyli jednak obcy i zaczęli wyśmiewać się z mądrości starców i wypychać nas z naszej ziemi. Przenosimy się coraz dalej w głąb puszczy, ale oni zawsze wreszcie przychodzą, czasem trwa to wiele lat, jednak w końcu pojawiają się znowu, a wtedy musimy niszczyć zasiewy, brać na plecy dzieci, uwiązać zwierzęta i odejść. Zawsze tak było, odkąd pamiętam; trzeba zostawić wszystko i uciekać jak szczury, nie jak wielcy wojownicy i bogowie, którzy zamieszkiwali to terytorium w zamierzonych czasach. Młodych jednak ciekawią biali i ich sprawy, więc gdy my posuwamy się w głąb lasów, by żyć nadal tak, jak nasi przodkowie, często podejmują drogę w przeciwnym kierunku. Tych, którzy odchodzą, uważamy za zmarłych, bo niewielu powraca, a ci, co wracają, są tak odmienieni, że nie możemy w nich rozpoznać naszych krewnych.

Powiadają, że w latach poprzedzających moje przyjsie na świat nie rodziło się w naszej wiosce dostatecznie dużo kobiet i dlatego mój ojciec musiał długo wędrować, żeby znaleźć sobie żonę z innego plemienia. Przemierzał lasy, kierując się wskazówkami innych, którzy przebyli wcześniej tę samą drogę z tej samej przyczyny i wrócili z obcymi kobietami. Po długim czasie, gdy mój ojciec zaczynał już tracić nadzieję, że spotka towarzyszkę życia, ujrzał dziewczynę u podnóża wysokiego wodospadu, rzeki spadającej z nieba. Nie zbliżając się zbyt, żeby jej nie wystraszyć, przemówił do niej tonem, jakiego używają myśliwi, by uspokoić swą zdobycz, i wytłumaczył jej, że musi się z nią ożenić. Ona dała mu znak, żeby się zbliżył, otwarcie mu się przyglądała i pewnie spodobał jej się wygląd podróżnika, bo powiedziała, że pomysł z małżeństwem nie jest taki całkiem niedorzeczny. Mój ojciec musiał pracować dla swego teścia, żeby zapłacić za żonę. Po ceremonii zaślubin oboje odbyli drogę powrotną do naszej osady.

Dorastałem razem z rodzeństwem w cieniu drzew, nigdy nie oglądając słońca. Czasami chore drzewo zwałało się, w ciemnej kopule lasu odsłaniał się prześwit i wtedy widzieliśmy błękitne oko nieba. Rodzice opowiadali mi opowieści, śpiewali piosenki i nauczyli mnie tego, co powinni wiedzieć mężczyźni, żeby przeżyć bez niczyjej pomocy, posługując się tylko łukiem i strzałami. Tak więc byłem wolny. My, Dzieci Księżyca, nie możemy żyć bez wolności. Gdy zamykają nas wśród ścian lub za kratami, uciekamy w głąb samych siebie, stajemy się ślepi i głusi i po kilku dniach duch wychodzi z piersi i opuszcza nas. Czasami upodabniamy się do godnych litości zwierząt, ale niemal zawsze wolimy umrzeć. Dlatego nasze domy nie mają ścian, tylko pochylony dach, by zatrzymywać wiatr i chronić od deszczu. Pod tym dachem wieszamy nasze hamaki, bardzo blisko jeden obok drugiego, bo lubimy wsłuchiwać się w sny kobiet i dzieci, czuć oddech małp, psów i papug,

które śpią obok nas. Na początku mieszkałem w puszczy, nie wiedząc, że za urwiskami i rzekami istnieje jeszcze jakiś świat. Od czasu do czasu zjawiali się u nas goście z innych plemion i opowiadali nam plotki z Boa Vista i z El Platenal, o cudzoziemcach i ich obyczajach, ale uważaliśmy, że to tylko takie opowieści do śmiechu. Stałem się mężczyzną i nadeszła moja kolej, bym zdobył sobie żonę, ale postanowiłem poczekać, bo wolałem przebywać z takimi jak ja, byliśmy weseli i dobrze się bawiliśmy. Nie mogłem jednak oddawać się tylko zabawom i wypoczynkowi jak inni, bo miałem liczną rodzinę: rodzeństwo, krewnych, siostrzeńców, wiele ust do wykarmienia, wiele pracy dla myśliwego, którym byłem.

Pewnego dnia w naszej wiosce zjawiła się grupa bladych twarzy. Polowali, używając prochu, z oddali, do tego nie trzeba było zręczności i odwagi, nie potrafili wspiąć się na drzewo ani trafić ryby oszczepem, ledwie potrafili poruszać się po puszczy. Zawsze upadali pod ciężarem własnych plecaków i broni, zaplątani we własne nogi. Nie przyodziewali się w powietrze tak jak my, tylko nosili na sobie nasiąknięte wilgocią i cuchnące ubrania, byli brudni i nie znali zasad przyzwoitości, ale upierali się opowiadać nam o swojej wiedzy i swoich bogach. Porównywaliśmy ich z tym, co słyszeliśmy wcześniej o białych ludziach, i okazywało się, że to prawda. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że przybysze nie są misjonarzami, żołnierzami ani zbieraczami kauczuku, byli szaleńcami, chcieli ziemi i chcieli zabrać drewno, szukali też kamieni. Wyjaśniliśmy im, że nie można zarzucić sobie puszczy na plecy i przetransportować jej jak martwego ptaka, ale nie chcieli tego słuchać. Rozłożyli się w pobliżu naszej wioski. Każdy z nich był niczym powiew katastrofy, rujnowali wszystko, co napotkali na swej drodze, zostawiali po sobie ślady zniszczenia, nękali zwierzęta i ludzi. Początkowo przestrzegaliśmy zasad uprzejmości i dbaliśmy o nich, bo byli naszymi gośćmi, ale nic ich nie zadowalało, ciągle chcieli więcej, aż wreszcie zmęczyły nas te zabawy i rozpoczęliśmy wojnę z całym zwyczajnym przy takich okazjach ceremoniałem. Kiepcy z nich wojownicy, łatwo wpadają w przestach i mają miękkie kości. Nie wytrzymywali bicia kijami po głowach. Opuściliśmy potem wioskę i ruszyliśmy na wschód, gdzie były nieprzebyte lasy, przemierzaliśmy duże odcinki drogi, skacząc po drzewach, by nie wysledzili nas ich towarzysze. Dowiedzieliśmy się już wcześniej, że są mściwi i za każdego zabitego po ich stronie, choćby zginął w uczciwej walce, potrafią wymordować całą wioskę, łącznie z dziećmi. Znaleziliśmy odpowiednie miejsce, by się osiedlić. Nie było tak dobre jak poprzednie, bo kobiety musiały iść wiele godzin, żeby przynieść czystą wodę, ale zostaliśmy tam, bo uważaliśmy, że nikt nas tak daleko nie będzie szukał. Po roku, przy jakiejś okazji, gdy musiałem bardzo się oddalić tropiąc pumę, zbliżyłem się znowu do obozowiska żołnierzy. Czułem się zmęczony i od kilku dni nic nie jadłem, dlatego miałem zaćmiony umysł. Zamiast zawrócić, zauważywszy obcych żołnierzy, rozłożyłem się na odpoczynek. Złapali mnie. Nie wspomnieli jednak o pobiciu tamtych białych, właściwie o nic mnie nie pytali, może nie znali tych ludzi albo nie wiedzieli, że ja jestem Walimai. Zabrali mnie do pracy przy zbiorze kauczuku, gdzie było wielu mężczyzn z innych plemion, których ubrano w spodnie i kazano im pracować, wcale nie pytając, czy mają na to ochotę. Praca przy zbieraniu kauczuku jest bardzo ciężka, a w okolicy mało było ludzi, dlatego musieli nas sprowadzać siłą. To był czas, kiedy żyłem bez wolności i nie chcę o nim mówić. Zostałem tylko dlatego, że chciałem sprawdzić, czy czegoś się nauczę, ale od początku wiedziałem, że wrócę do swoich. Nikt nie może zatrzymać na długo wojownika wbrew jego woli.

Pracowało się od wschodu do zachodu słońca. Jedni żywicowali drzewa, żeby kropla po kropli pozbawić ich życia, inni gotowali zebrany płyn, by zgęstniał i można go było zmienić w wielkie kule. Na zewnątrz powietrze było chore od zapachu palonej gumy, a w sypialniach ciężkie od męskiego potu. Nikt nie mógł głęboko odetchnąć. Żywili nas kukurydzą, bananami i zawartością jakichś puszek, której nigdy nie skosztowałem, bo w

puszkach nie może rosnać nic zdrowego dla ludzi. Na skraju obozowiska zbudowali obszerny szałas, gdzie trzymali kobiety. Po dwóch tygodniach pracy przy kauczuku majster wręczył mi kawałek papieru i posłał mnie do nich. Dał mi też kieliszek wódki, którą wylałem na ziemię, bo zdążyłem już zobaczyć, jak ta ognista woda niszczy roztropność. Stałem w kolejce, razem ze wszystkimi. Byłem ostatni i gdy nadeszła moja kolej, by wejść do szałasu, słońce już się schowało i nastawała noc, a wraz z nią skrzeczenie żab i wrzaski papug.

Ona pochodziła z plemienia Ilów, którzy mają łagodne serca. Z tego plemienia pochodzą najdelikatniejsze dziewczyny. Niektórzy mężczyźni udają się w podróż na wiele miesięcy, by zbliżyć się do nów, wiozą im podarunki i polują dla nich w nadziei na zdobycie jednej z ich kobiet. Rozpoznałem ją, choć wyglądała jak jaszczurka, bo moja matka także pochodziła z plemienia nów. Leżała naga na plecionej macie, a jej kostkę u nogi oplatał przytwierdzony do ziemi łańcuch. Była otępiała, jakby nawdychała się proszku z akacji, pachniała jak chory pies i była mokra od soków mężczyzn, którzy przede mną na niej leżeli. Miała posturę małej dziewczynki, jej kosteczki obijały się o siebie jak kamyki w rzece. Kobiety z plemienia Ilów usuwają sobie całe owłosienie, nawet rzęsy, ozdabiają uszy piórami i kwiatami, przebijają szlifowanymi patyczkami policzki i nosy, całe ciało ozdabiają rysunkami w kolorach czerwonym jak nasiona *orellanu*, fioletowym jak palma i czarnym jak węgiel. Jej już jednak nic z tego nie zostało. Odłożyłem maczetę na ziemię i pozdrowiłem kobietę jak siostrę, naśladując śpiew niektórych ptaków i szum rzeki. Nie odpowiedziała. Uderzyłem ją silnie w pierś, by sprawdzić, czy między żebrami da się słyszeć dźwięk ducha, ale nic nie zadźwięczało, jej dusza była już bardzo słaba i nie mogła mi odpowiedzieć. Przykucnąwszy obok, dałem jej do wypicia trochę wody i przemówiłem do niej w języku mojej matki. Otworzyła oczy i długo patrzyła. Zrozumiałem.

Najpierw umyłem się, oszczędnie używając czystej wody. Nabrałem jej dużo do ust i przyskałem po trochu na ręce, które dobrze o siebie potarłem, a potem znowu spryskałem, żeby umyć sobie twarz. Z nią postąpiłem tak samo, by ją umyć. Zdjąłem spodnie, które dostałem od majstra. Wokół talii miałem zawiązaną linę, a do niej przyczepione patyki do krzesania ognia, kilka ostrych szpiców strzał, zwitek tytoniu, drewniany nóż ze szczurzym zębem na czubku i sakiewkę z mocnej skóry, w której trzymałem trochę kurary. Nabrałem szczyptę na czubek noża, nachyliłem się nad kobietą i tym zatrutym narzędziem zrobiłem jej nacięcie na szyi. Życie jest podarunkiem od bogów. Myśliwy zabija, żeby nakarmić swoją rodzinę, sam stara się nie kosztować mięsa swej zdobyczy i woli, żeby poczęstował go inny myśliwy. Czasami, niestety, jeden człowiek zabija drugiego na wojnie, ale nigdy nie wyrządzi krzywdy kobiecie albo dziecku. Spojrzała na mnie wielkimi oczyma, złocistymi jak miód, i zdało mi się, że stara się uśmiechnąć z wdzięcznością. Dla niej złamałem najważniejsze tabu Dzieci Księżyca i będę musiał zmasać ten wstyd wieloma pokutnymi pracami. Zbliżyłem ucho do jej ust, a ona wyszeptwała swoje imię. Powtórzyłem je sobie dwa razy w myślach, żeby dobrze zapamiętać, ale bez wymawiania go na głos, bo nie należy wspominać imienia zmarłych, by nie zakłócać ich spokoju, a ona już przecież nie żyła, choć nadal biło jej serce. Chwilę potem spostrzegłem, jak mięśnie jej brzucha, piersi i członków zastygają, traci oddech i jej skóra zmieniła kolor. Wydała jeszcze ciche westchnienie i jej ciało zmarło bez walki, tak jak umierają małe dzieci.

Natychmiast wyczułem, że jej duch wychodzi nosem, wchodzi we mnie i zagnieżdża się w mostku. Przygniótł mnie jej ciężar i musiałem zrobić wysiłek, żeby stanąć na nogi, poruszałem się ciężko, jakbym szedł pod wodą. Przygiąłem jej ciało w pozycji odpowiedniej do ostatniego spoczynku, z kolanami dotykającymi podbródka, związałem ją linami z maty, resztę plecionki ułożyłem w stos i za pomocą moich patyków skrzesalem ogień. Gdy ognisko rozpałiło się na dobre, wyszedłem powoli z szałasu, z wielkim trudem wspiąłem się na ogrodzenie obozowiska, bo ona ciągnęła mnie ku dołowi, a potem ruszyłem w stronę lasu. Zdążyłem dojść do pierwszych drzew, gdy usłyszałem dzwony bijące na alarm.

Cały pierwszy dzień szedłem bez zatrzymywania. Drugiego dnia zrobiłem łuk i kilka strzał i dzięki temu mogłem upolować coś dla niej, a także dla siebie. Wojownik dźwigający ciężar innego ludzkiego życia powinien pościć przez dziesięć dni, bo w ten sposób duch zmarłego traci siły i w końcu odrywa się i odchodzi do krainy dusz. Jeśli wojownik zaniedba postu, duch tuczy się jedzeniem i rozrasta wewnątrz człowieka, aż wreszcie ten się dusi. Widziałem, jak przez to umarło kilku męźnych wojowników. Nim jednak zacząłem wypełniać te wymogi, musiałem zaprowadzić ducha kobiety Ilów do miejsc porośniętych gęstszą roślinnością, żeby nikt go tam nigdy nie odnalazł. Jadłem bardzo niewiele, tyle tylko, żeby nie zabić jej po raz drugi. Każdy kęs w moich ustach smakował jak zepsute mięso, każdy łyk wody był cierpki, ale zmuszałem się do przełykania, żeby żywić nas obydwój. Przez cały jeden obrót księżycy wchodziłem coraz głębiej w puszcę, prowadząc ze sobą ducha kobiety, który ważył co dzień coraz więcej. Dużo rozmawialiśmy. Język Ilów jest swobodny i rozbrzmiewa pod drzewami z długim pogłosem. Porozumiewaliśmy się, śpiewając, całym ciałem, oczyma, talią, stopami. Powtórzyłem jej legendy, jakich nauczyłem się od matki i od ojca, opowiedziałem jej moją przeszłość, a ona opowiedziała mi pierwszą część swojej, kiedy była wesołą dziewczyną i bawiła się z siostrami, tarzając się w błocie i bujając na najdłuższych gałęziach. Przez delikatność nie wspomniała o ostatnim okresie nieszczęść i upokorzeń. Upolowałem białego ptaka, wyrwałem mu najpiękniejsze pióra i zrobiłem z nich dla niej ozdoby do uszu. Nocami podtrzymywałem ogień maleńkiego ogniska, żeby jej nie było zimno i żeby jaguary i węże nie zakłócały jej snu. Wykąpałem ją ostrożnie w rzece, nacierając popiołem i pokruszonymi kwiatami, by uwolnić ją od złych wspomnień.

Pewnego dnia dotarliśmy wreszcie do właściwego miejsca i nie było już powodu, żeby dalej wędrować. Puszcza była tam taka gęsta, że chwilami musiałem torować sobie drogę maczetą, a nawet zębami. Musieliśmy też mówić szeptem, żeby nie zakłócić ciszy czasu. Wybrałem miejsce przy strudze wody, zbudowałem dach z liści i zrobiłem dla niej hamak z trzech dużych kawałków kory. Ogolilem sobie głowę za pomocą noża i rozpocząłem post.

Podczas wspólnej wędrówki pokochaliśmy się tak bardzo, że już nie pragnęliśmy się rozstać, jednak człowiek nie jest panem życia, nawet swego własnego, tak więc musiałem spełnić swój obowiązek. Przez wiele dni nic nie wziąłem do ust, tylko kilka łyków wody. Im bardziej opuszczały mnie siły, tym bardziej ona wysuwała się z mego uścisku, a jej duch, coraz bardziej ulotny, już nie ciążył mi tak, jak przedtem. Po pięciu dniach zrobiła pierwsze kroki po okolicy, gdy ja spałem. Jednak nie była jeszcze gotowa iść w dalszą drogę sama i wróciła do mnie. Powtarzała te wycieczki co jakiś czas, za każdym razem oddalając się coraz bardziej. Ból wywołany jej odchodzeniem był dla mnie tak straszliwy jak oparzenie! i musiałem przywołać całe męstwo, jakiego nauczył mnie ojciec, żeby nie zawołać jej głośno po imieniu i nie przyciągnąć z powrotem do siebie na zawsze. Po dwunastu dniach przyśniło mi się, że jej duch fruwa jak tukan ponad koronami drzew i zbudziłem się z bardzo lekkim ciałem i z pragnieniem płaczu. Odeszła na dobre. Wziąłem broń i szedłem wiele godzin, aż dotarłem do odnogi rzeki. Zanurzyłem się po pas w wodzie i upolowałem małą rybę, nadziewając ją na zaostrzony patyk, a potem połknąłem w całości, z łuskami i ogonem. Natychmiast zwymiotowałem z odrobiną krwi, tak jak należy. Już nie czułem smutku. Nauczyłem się wtedy, że czasami śmierć jest potężniejsza od miłości. Potem ruszyłem na polowanie, żeby nie wracać do mojej wioski z pustymi rękoma.

## Ester Lucero

Przynieśli Ester Lucero na skleconych naprędce noszach, broczyła obficie krwią niczym ranny byk i miała ciemne oczy, szeroko otwarte z przerażenia. Na ten widok doktor Angel Sanchez po raz pierwszy stracił spokój i nic dziwnego: był przecież w niej zakochany

od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, to znaczy, gdy jeszcze była dzieckiem. Bawiła się wtedy lalkami, a on wrócił właśnie ze swojej ostatniej chlubnej kampanii, postarzały o tysiąc lat. Przybył do miasteczka na czele swego oddziału, siedząc na dachu furgonetki, z karabinem na kolanach, kilkumiesięcznym zarostem na twarzy i z kulą, która utkwiała mu w pachwinie i miała już tam pozostać na zawsze, ale był szczęśliwy jak nigdy przedtem ani potem. W tłumie wiwatującym na cześć wyzwolicieli zobaczył dziewczynkę, machającą chorągiewką z czerwonego papieru. Miał trzydzieści lat, a ona zbliżała się do dwunastu, a jednak Angel Sanchez, patrząc na jej mocne, alabastrowe ciało i łapiąc jej spojrzenia, odgadł, że oto w utajeniu rośnie wielka piękność. Przyglądał się jej z dachu samochodu, gotów uznać, że to jakieś urojenie zrodzone z bagiennej gorączki i euforii zwycięstwa. Kiedy jednak nocą nie znalazł ukojenia w ramionach kolejnej przelotnej narzeczonej, zrozumiał, że powinien ruszyć na poszukiwanie dziewczynki, choćby po to, by upewnić się, że była tylko ułudą. Nazajutrz, gdy ucichła uliczna wrzawa radosnego świętowania i można było zabrać się do robienia porządków i usuwania śladów dyktatury, Sanchez wyszedł, żeby przemierzyć miasteczko. Najpierw wpadł na pomysł, by szukać jej w szkołach, ale dowiedział się, że od czasu ostatniej bitwy pozostają zamknięte, musiał więc pukać do wszystkich drzwi po kolei. Po kilku dniach cierpliwej wędrówki, gdy już myślał, że dziewczynkę uroiło sobie jego wycieńczone serce, dotarł do maleńkiego, pomalowanego na niebiesko domku, z fasadą podziurawioną od kul. Jedyne okno wychodziło na ulicę, a osłaniały je tylko kwieciste firanki. Zapukał kilka razy, lecz nikt mu nie odpowiedział, postanowił więc wejść. Wewnątrz było tylko jedno, skromnie umeblowane pomieszczenie, chłodne i zacienione. Przeszedł przez pokój, otworzył drzwi i znalazł się na obszernym patio, zawalonym gratami i rupieciami, z hamakiem zawieszonym pod drzewem mango, balią do prania, kurnikiem w głębi i z wielką liczbą blaszanych garnków i glinianych naczyń, w których rosły zioła, jarzyny i kwiaty. Znalazł tam wreszcie tę, o której już sądził, że jest tylko snem. Ester Lucero, bosa, w sukience ze zwykłego płótna, z włosami związanymi na karku sznurowadłem od butów, pomagała babce rozwieszać bieliznę na słońcu. Gdy go ujrzały, obie cofnęły się odruchowo, bo nauczyły się nie ufać nikomu, kto nosi buty.

- Nie bójcie się, jestem przyjacielem - przedstawił się, mnąc w rękę zatłuszczony берет.

Począwszy od tamtego dnia Angel Sanchez zaczął skrycie pożądać Ester Lucero, wstydząc się tej nieprzyzwoitej namiętności do nieletniej. Z jej to powodu, gdy dzielono się zdobytą właśnie władzą, odmówił wyjazdu do stolicy. Wolał zostać w tym zapomnianym miasteczku jako szef jedyne go tu szpitala. Nie dążył do tego, żeby dopełnić swej miłości w inny sposób aniżeli tylko w wyobraźni. Cieszył się najdrobniejszymi rzeczami: tym, że mógł podpatrywać ją, gdy szła do szkoły, opiekować się nią, gdy zapadła na odrę, przynosić jej witaminy w czasach, gdy mleka, jaj i mięsa wystarczało tylko dla najmłodszych, a pozostali musieli zadowalać się bananem i kukurydzą. Odwiedzał ją na patio i wtedy rozsiadał się na krześle i uczył małą tabliczki mnożenia pod czujnym okiem babki. Ester Lucero zaczęła w końcu nazywać go wujem, z braku lepszej nazwy, a staruszka wytłumaczyła sobie jego obecność jako jeszcze jeden dziw rewolucji.

- Co ciekawego może znajdować człowiek wykształcony, lekarz, szef szpitala i bohater ojczyzny w gadaniu starej kobiety i milczeniu jej wnuczki? - zastanawiali się mieszkańcy miasteczka.

Minęło kilka lat, dziewczynka rozkwitła, jak to zwykle bywa, ale Angel Sanchez wierzył, że w tym przypadku zdarzył się swoisty cud i że tylko on jeden dostrzegł piękno dojrzewające pod niewinnymi sukienkami uszytymi przez babkę na domowej maszynie do szycia. Żył w przeświadczeniu, że na jej widok powinny się burzyć zmysły każdego, kto ją ogląda, tak jak to działo się w jego przypadku, i dlatego dziwił się, że wokół nie kłębi się tłum pretendentów do ręki Ester Lucero. Żył udręczony przez mieszane uczucia: właściwą

wszystkim mężczyznom zazdrość, bezustanną melancholię wynikającą z rozpacz i piekielną gorączkę, która dopadała go w porze sjesty, gdy wyobrażał sobie, jak naga i mokra daje mu nieprzyzwoite znaki, skryta wśród mroków pokoju. O burzy jego uczuć nikt nie wiedział. Samokontrola stała się jego drugą naturą i w ten sposób zdobył sobie opinię dobrego człowieka. Miejscowe swatki zdzudziły się wreszcie wyszukiwaniem mu narzeczonej i uznały, że lekarz jest dziwakiem.

- Nie wygląda na pedala - zawyrokowały. - Może to malaria albo ta kula, co to trafiła go między nogi, pozbawiły raz na zawsze zainteresowania dla kobiet.

Angel Sanchez przeklinał matkę, że wydała go na świat dwadzieścia lat za wcześnie, przeklinał też własny los, że nazaczył jego ciało i duszę tyloma bliznami. W skrytości ducha błagał, żeby przez jakiś kaprys natury zaburzona została doskonałość Ester Lucero, żeby coś przyćmiło jej blask i nikt już nie mógł się domyślić, że ma do czynienia z najpiękniejszą istotą na tym i na każdym innym świecie. Dlatego w ów feralny czwartek, gdy przyniesiono ją do szpitala na noszach, przed którymi szła babka, a za którymi posuwała się cała procesja gapiów, doktor wydał z siebie krzyk dobiegający z samych trzewi. Zdejmując przykrywającą ją prześcieradło i widząc dziewczynę ze straszliwą, otwartą raną, pomyślał, że to on sprowokował to nieszczęście swoim uporczywym pragnieniem, by nigdy nie należała do innego mężczyzny.

- Włzła na drzewo mango na naszym patio, noga jej się obsunęła i spadła prosto na pal, do którego przywiązujemy gęsi - wyjaśniła babka.

- Przebił biedulkę jak jakiegoś wampira. Wcale nie było łatwo ją z niego ściągnąć - dodał sąsiad, który pomagał dźwigać nosze.

Ester Lucero zamknęła oczy i cichutko jęknęła.

Od tej chwili Angel Sanchez rozpoczął swój pojedynek ze śmiercią. Robił wszystko, żeby ocalić dziewczynę. Przeprowadził operację, dawał zastrzyki, dokonał kilku transfuzji własnej krwi i nafaszerował Ester antybiotykami, ale po dwóch dniach stało się jasne, że przez ziejącą ranę życie uchodzi z niej niepowstrzymanym strumieniem. Wycieńczony z napięcia i smutku siedział na krześle przy łóżku umierającej. Na kilka minut zdrzemnął się snem sprawiedliwego. Podczas gdy jemu śniły się olbrzymie muchy, ona osuwała się w koszmarny agonii. W taki oto sposób spotkali się na ziemi niczyjej i w tym wspólnym śnie ona uchwyciła się jego ręki, błagając, by nie pozwolił śmierci odnieść zwycięstwa i by jej nie opuszczał. Angel Sanchez zbudził się otrzeźwiony zniemacka jasnym wspomnieniem Murzyna Rivasa i niedorzecznego cudu, jaki przywrócił mu życie. Rzucił się biegiem przed siebie i wpadł w korytarzu na babkę, pogrążoną w monotonnych i niekończących się modlitwach.

- Niech się pani dalej modli! Wracam za piętnaście minut! - krzyknął do niej w przelocie.

Dziesięć lat wcześniej, kiedy to Angel Sanchez maszerował z towarzyszami broni przez puszcę, gęste trawy sięgały im do kolan, a komary i upał przysparzały nieznośnych tortur, kiedy to sami ścigani, przemierzali kraj we wszystkich kierunkach, wciągając w zasadzki żołnierzy, kiedy byli zaledwie garstką szalonych marzycieli, ze skózanymi pasami amunicyjnymi, plecakami, w których na dnie spoczywały tomiki wierszy, i z głowami nabitymi szczytnymi ideałami, kiedy spędzali długie miesiące, zapominając o zapachu kobiety, kiedy głód i strach stały się ich drugą skórą i tylko rozpacz utrzymywała ich w ciągłym ruchu, gdy wszędzie widzieli wrogów i bali się nawet własnych cieni, wtedy właśnie Murzyn Rivas wpadł w przepaść, osiem metrów w dół, uderzając o dno wąwozu niczym szmaciana kukła. Koledzy potrzebowali dwudziestu minut, żeby spuścić się tam na linach, lawirując wśród ostrych kamieni i powykręcanych pni drzew i odnaleźć go w gąszczu zarośli. Potem trzeba było niemal dwóch godzin, by wyciągnąć go na górę, broczącego krwią.

Murzyn Rivas, zawsze taki odważny i wesoły, skory do śpiewu i gotowy wesprzeć ramieniem słabszego kolegę, był poszarpany, żebra wystawały mu na zewnątrz, a głęboka rana w plecach otwierała się niemal na wylot. Sanchez miał wprawdzie podręczną apteczkę, ale sytuacja całkowicie przerastała te skromne środki. Bez najmniejszej nadziei zaszył mu ranę, owinął go płachtami płótna i podał lekarstwa, jakie miał na podorzędziu. Ułożyli rannego na brezencie rozpiętym między dwoma kijami i w ten sposób go nieśli, zmieniając się co jakiś czas. Szybko stało się jasne, że każdy wstrząs skraca mu życie, z rany Murzyna Rivasasączało się coraz więcej ropy, a on sam majaczył coś o iguanach z kobiecymi piersiami i o słonych huraganach.

Zamierzali rozbić się obozem, by mógł spokojnie umrzeć, kiedy ktoś dostrzegł na brzegu zagłębienia wypełnionego czarną wodą dwóch Indian, którzy nawzajem iskali sobie wszy. Troszkę dalej leżała zanurzona w gęstwinie puszczy wioska. Zamieszkiwało ją plemię żyjące jak przed wiekami i nie mające żadnej styczności z cywilizacją, oprócz kontaktu z jakimś bardzo zuchwałym misjonarzem, który odważył się głosić tam słowo boże, bez większego zresztą powodzenia. W dodatku, co było dużo gorsze, ludzie ci nie mieli pojęcia o rewolucji, nigdy też nie słyszeli okrzyku: ojczyzna albo śmierć! Pomimo to Indianie uznali, nie wiedzieć czemu, że wycieńczeni mężczyźni nie przedstawiają sobą większego niebezpieczeństwa i przyjęli ich ufnie. Partyzanci wskazali umierającego. Ten, który wyglądał na wodza, poprowadził ich do ukrytego w półmroku szałasu, spowitego odorem moczu i stęchlizny. Położyli tam Murzyna Rivasas na plecionej macie, a jego towarzysze i mieszkańcy wioski zebrali się wokół. Wkrótce nadszedł czarownik w ceremonialnym stroju. Dowódca oddziału nie przekonał widok naszyjników z czerwonych nasion, oczu, z których wyzierało jakieś szaleństwo, ani skorupy brudu na ciele, ale Angel Sanchez wytłumaczył mu, że bardzo niewiele można już zrobić dla rannego i cokolwiek uczyni czarownik - choćby tylko pomógł mu umrzeć - i tak będzie lepsze. Dowódca rozkazał swoim ludziom zdjąć z ramion broń i zachować ciszę, żeby ten dziwny, półnagi mędrzec mógł wykonać swą posługę bez przeszkód.

Dwie godziny później ustąpiła gorączka i Murzyn Rivas mógł napić się wody. Następnego dnia znachor przyszedł znowu i powtórzył swoje zabiegi. O zmierzchu chory jadł w pozycji siedzącej gęstą papkę z kukurydzy, po dwóch dniach próbował stawiać pierwsze kroki po okolicy, a jego rana goiła się znakomicie. Gdy reszta partyzantów towarzyszyła koledze, Angel Sanchez chodził po okolicy z czarownikiem i zbierał wskazane rośliny do torby. Wiele lat później Murzyn Rivas został komendantem stołecznej policji i tylko wówczas, gdy ściągał koszulę, a jakaś nowa kobieta zadawała mu pytanie, skąd się wzięła ta długa blizna, dzieląca mu ciało na pół, przypominał sobie o tym, że był o włos od śmierci.

- Jeśli Murzyna Rivasas uratował jakiś nagi Indianin, to i ja uratuję Ester Lucero, choćbym musiał zawrzeć pakt z diabłem - uznał Angel Sanchez, miotając się po domu w poszukiwaniu schowanych tyle lat temu ziół, o których zdążył już całkiem zapomnieć. Znalazł je zawinięte w gazetę, wysuszone i pokruszone, w głębi jakiegoś rozwalającego się kufra, obok zeszytu z wierszami, beretu i innych pamiątek z wojny.

Wrócił do szpitala, pędząc, jakby go ktoś gonił, mając za nic ciężki niczym ołów upał, od którego topił się asfalt. Wielkimi susami pokonał schody i wpadł mokry od potu do pokoju Ester Lucero. Babka i dyżurna pielęgniarka widziały go, jak przybiegł, i podeszły do szybki w drzwiach. Patrzyły, jak zdejmuje z siebie biały fartuch, bawełnianą koszulę, ciemne spodnie, skarpetki kupione od przemytników i buty na gumowej podeszwie, które zawsze nosił. Z przerażeniem zobaczyły, że pozbywa się także kałesonów i zostaje nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

- Panienko Przenajświętsza! - wykrzyknęła babka.

Przez okienko w drzwiach przyglądały się, jak przesuwają łóżko na środek pokoju,

kładzie na kilka sekund obie dłonie na głowie Ester Lucero, a potem rozpoczyna wokół chorej jakiś obłąkany taniec. Unosi kolana aż do piersi, pochyla się głęboko, potrząsa ramionami i robi różne groteskowe miny, ani przez chwilę nie wypadając z tego wewnętrznego, pełnego uniesienia transu. Tańczył tak przez pół godziny niczym szaleniec, omijając butle z tlenem i flakoniki z surowicą. Potem z kieszeni fartucha wyciągnął jakieś suche liście, włożył je do miski, rozgniół pięścią na gruby proszek, napluł na nie obficie, urobił z tego wszystkiego masę i zbliżył się do umierającej. Kobiety ujrzały, jak zdejmuje jej bandaż i - co zaznaczyła potem pielęgniarka w swoim raporcie - smaruje ranę tą obrzydliwą mazią, całkowicie lekceważąc zasady higieny, nie wspominając już, że miał obnażone swoje wstydlive części ciała. Zakończywszy zabieg, doktor opadł ciężko na podłogę, całkowicie wycieńczony, ale z twarzą rozjaśnioną anielskim uśmiechem.

Gdyby doktor Angel Sanchez nie był dyrektorem szpitala i uznanym bohaterem rewolucji, wpakowaliby go w kaftan bezpieczeństwa i bez większych ceregieli odesłali do domu wariatów. Nikt jednak nie odważył się wyważyć drzwi, które zamknął na zasuwkę, a gdy wreszcie burmistrz postanowił to zrobić przy pomocy strażaków, minęło już czternaście godzin i Ester Lucero siedziała na łóżku, miała otwarte oczy i rozbawiona patrzyła na swego wujka Angela, który ponownie zrzucił z siebie ubranie i rytualnym tańcem rozpoczynał drugi etap kuracji. Kiedy w dwa dni później przyjechała przysłana specjalnie ze stolicy komisja z Ministerstwa Zdrowia, chora spacerowała po korytarzu pod rękę ze swoją babką, korowód ludzi z miasteczka przewijał się przez trzecie piętro, by ujrzeć zmartwychwstałą dziewczynę, a dyrektor szpitala, ubrany z nienaganną elegancją, przyjmował kolegów, siedząc za biurkiem. Komisja powstrzymała się od szczegółowych pytań o niezwykle tańce lekarza i skupiła swe zainteresowanie na cudownych roślinach czarownika.

Minęło kilka lat od upadku Ester Lucero z drzewa mango. Dziewczyna wyszła za mąż za młodego inspektora policji i zamieszkała z nim w stolicy, gdzie urodziła córeczkę o alabastrowej skórze i ciemnych oczach. Od czasu do czasu wysyła do wujka Angela pocztówki, jeżące się od straszliwych błędów ortograficznych. Ministerstwo Zdrowia zorganizowało cztery ekspedycje w głąb puszczy w poszukiwaniu niezwykłych ziół, jednak wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Roślinność pochłonęła indiańską wioskę, a wraz z nią nadzieję na odkrycie naukowego środka zaradczego pozwalającego leczyć, zdawałoby się niemożliwe do wyleczenia, następstwa nieszczęśliwych wypadków.

Doktor Angel Sanchez został sam, towarzyszy mu tylko wizerunek Ester Lucero, która w porze sjeisty odwiedza go w pokoju i rozpala w sercu niesłabnącą namiętność. Bardzo wzrósł autorytet lekarza w całym regionie, bo ludzie słyszeli, jak rozmawia z gwiazdami w językach tutejszych plemion.

## **Głupia Maria**

Głupia Maria wierzyła w miłość. Dzięki temu stała się żywą legendą. Na jej pogrzeb przyszli wszyscy z okolicy, nawet policjanci i ślepiec z kiosku, który bardzo rzadko opuszczał swoje miejsce pracy. Ulica Republica opustoszała, a na znak żałoby spuszczone z balkonów czarne wstążki i pogaszono czerwone latarnie przy domach. Każdy ma tutaj swoją własną historię, a w tej dzielnicy niemal wszystkie są smutne. To historie nieszczęść, niesprawiedliwości i krzywd, dzieci zmarłych przed przyjściem na świat i kochanków odchodzących w siną dal, ale historia Marii była odmienna, promieniowała jakimś eleganckim blaskiem, który uskrzydlał wyobraźnię tych, co ją znali. Zdołała samodzielnie prowadzić własne interesy i wykonywała swój zawód dyskretnie. W najmniejszym stopniu nie pociągał ją alkohol ani narkotyki, nie wzbudzały jej ciekawości porady, jakie za pięć pesos sprzedawały wróżki i jasnovidze z sąsiedztwa. Wydawała się wolna od udręk nadziei,



chroniła się w świecie miłości urojonej. Była kobietą o nierzucającym się w oczy wyglądzie, drobną, niskiego wzrostu, o delikatnych rysach twarzy i miękkich gestach, po prostu chodząca potulność i łagodność. Ale ilekroć jakiś sutener usiłował ją sobie podporządkować, zmieniała się w furię gotową oddać każde uderzenie, w rozwścieczoną bestię, same kły i pazury, nigdy inaczej. Nauczyli się zostawiać ją w spokoju. Kiedy inne kobiety całe życie ukrywały siniaki pod grubą warstwą taniego makijażu, ona, otoczona ogólnym szacunkiem, starzała się w nimbie królowej w łachmanach. Nie zdawała sobie sprawy z prestiżu, jakim się cieszy, ani z legendy, jaka wokół niej narosła. Była starą prostytutką o duszy niewinnej dziewczyny.

W jej wspomnieniach przewijał się uporczywie jakiś kufer-morderca i pachnący morzem śniady mężczyzna. Koleżanki poskładały cierpliwie fragmenty jej życia, sztukując za pomocą wyobraźni brakujące części, aż wreszcie odbudowały jej przeszłość. Z całą pewnością nie przypominała innych pracujących tu kobiet. Pochodziła z dalekiego świata, gdzie ludzie mają bledszą skórę, a język hiszpański ma trochę inne brzmienie i bardziej twarde spółgłoski. Z jej wyszukanego sposobu wyrażania się i dziwnych manier sąsiadki wywnioskowały, że chciała być wielką damą i nawet jeśli ktoś miał jakieś wątpliwości, to jej śmierć je rozwiązała. Odeszła z godnością. Nie chorowała w ostatnich dniach swego życia, nie była przestraszona ani nie męczyła się w agonii, jak to się często zdarza, oznajmiła po prostu, że dość ma już nudy życia, włożyła świąteczną sukienkę, pomalowała sobie usta na czerwono, rozsunała ceratowe zasłonki, żeby widać było wewnątrz jej pokoju i żeby wszyscy mogli jej towarzyszyć.

- Już czas, żebym umarła - powiedziała, ograniczając się do takiego tylko wyjaśnienia.

Położyła się na łóżku, wsparta na trzech poduszkach, obleczonej w specjalnie wykrochmalone na tę okazję powłoczki, i wypila duszkiem wielki dzban gęstej czekolady. Inne kobiety śmiały się, ale gdy po czterech godzinach nie zdołały Marii w żaden sposób ocucić, zrozumiały, że jej decyzja była ostateczna i rozpuściły po dzielnicy wieść o tym, co się dzieje. Niektórzy przyszli wyłącznie z ciekawości, ale większość zjawiała się prawdziwie zmartwiona i została, by być przy niej. Koleżanki Marii parzyły kawę i częstowały gości. Nie uważały za stosowne podawać alkohol, bo można by wtedy pomylić tę okazję z jakimś świętem. Około szóstej po południu ciałem Marii targnął nagły spazm, uniosła powieki, powiodła wokół nieobecny wzrokiem i w tej samej chwili odeszła z tego świata. To było wszystko. Ktoś domniemywał, że może razem z czekoladą połknęła truciznę, a w takim razie wszyscy ponosiliby odpowiedzialność za to, że nie odwieźli jej na czas do szpitala, jednak nikt nie potraktował tych przypuszczeń poważnie.

- Jeśli Maria postanowiła odejść, to jej prawo: nie miała ani dzieci, ani rodziców, którymi powinna się opiekować - orzekła właścicielka domu.

Nie chcieli kłaść jej na marach w jakimś domu pogrzebowym, bo jej zaplanowana z takim spokojem śmierć stała się podniosłym wydarzeniem na ulicy Republica i zwykła uczciwość wymagała, żeby ostatnie godziny przed spuszczeniem do grobu spędziła w miejscu, w którym żyła, a nie jak jakaś obca, po której nikt nie chce płakać. Pojawiły się głosy, że czuwanie przy zmarłej w takim domu ściągnie nieszczęście na duszę nieboszczki lub na dusze klientów, więc na wszelki wypadek stłukli lustro i kawałkami szkła obłożyli trumnę oraz przynieśli wody święconej z kaplicy w seminarium, żeby skropić nią kąty pokoju. Tej nocy w lokalu nie pracowano, nie słychać było muzyki ani śmiechów; ale nikt też nie szlochał. U stawili skrzynię na stole w pokoju, krzesła pożyczili od sąsiadów i na nich usadzili gości, żeby mogli napić się kawy i rozmawiać ściszym głosem. Na środku leżała Maria z głową wspartą na satynowym jaśku, ze skrzyżowanymi rękoma i zdjęciem swego zmarłego dziecka na piersi. W miarę upływu nocy ulegał zmianie kolor jej skóry, aż stał się ciemny niczym czekolada.

Historię Marii poznałam podczas długich godzin czuwania przy trumnie. Jej koleżanki

opowiedziały mi, że urodziła się w czasach pierwszej wojny światowej, w pewnej prowincji na południu kontynentu, gdzie drzewa tracą w połowie roku liście, a chłód przenika kości. Pochodziła z rodziny dumnych hiszpańskich emigrantów. Przeszukując jej pokój, znalazły w puszcze po herbatnikach jakieś stare, pożółkłe papiery, a wśród nich świadectwo urodzenia, zdjęcia i listy. Jej ojciec był właścicielem hacjendy, a matka - jak informował wyblakły ze starości wycinek z gazety - występowała przed zamążpójściem jako pianistka. Gdy Maria miała dwanaście lat, weszła przez nieuwagę na kolejowy rozjazd i potracił ją towarowy pociąg. Zabrano ją z torów bez żadnych widocznych obrażeń, miała tylko kilka zadrapań i zgubiła kapelusz. Wkrótce jednak wszyscy się przekonali, że uderzenie pociągu przeniosło dziewczynkę w stan umysłowego infantylizmu, z którego nigdy już nie miała się wydobyć. W jej głowie zatarły się nawet elementarne wiadomości nabyte w szkole przed wypadkiem, pamiętała pierwsze lekcje pianina i zachowała umiejętność posługiwania się igłą do szycia, ale gdy się do niej mówiło, sprawiała wrażenie osoby nieobecnej. Nie zapomniała natomiast zasad dobrego wychowania i do ostatniej chwili przestrzegała ich skrupulatnie.

Wypadek na torach sprawił, że Maria straciła rozum, nie potrafiła skupić uwagi, ale nie umiała także przechowywać urazy. Miała więc usposobienie, jakie zapewnia człowiekowi szczęście, choć nie taki los był jej pisany. Gdy skończyła szesnaście lat, rodzice, spragnieni, żeby ktoś inny przejął na siebie ciężar opieki nad opóźnioną w rozwoju córką, postanowili wydać ją za męża, póki jest w pełnym rozkwicie urody. Wybrali niejakiego doktora Guevarę, mężczyznę na emeryturze i mało skorego do żeniaczki, ale dłużnego im pewną sumę pieniędzy. Nie mógł więc odmówić, gdy złożyli mu swoją propozycję. Tego samego roku odbył się ślub w wąskim gronie, co nie powinno dziwić, zważywszy, że narzeczona była nieco lunatyczna, a pan młody starszy od niej o kilkadziesiąt lat.

Maria weszła do małżeńskiego łóża z umysłem dziecka, choć jej ciało było już ciałem dojrzałej kobiety. Pociąg zabił w niej naturalną ciekawość świata, lecz nie pozbawił zmysłowości. Wiedziała tylko tyle, ile sama się dowiedziała, podpatrując zwierzęta w hacjendzie. Wiedziała, że zimna woda pomaga rozdzielić spółkujące psy i że kogut stroszy pióra i pieje, kiedy chce wskoczyć na kurę, ale nie znajdowała właściwego zastosowania dla tych wiadomości. W noc poślubną zobaczyła, jak zbliża się w jej kierunku trzęsący się staruch w rozchylonym, flanelowym szlafroku i ujrzała też coś nieoczekiwanego poniżej jego pępka. Z tego zdumienia dostała wzdęcia, o którym nie odważyła się nikomu wspomnieć, a kiedy zaczęła puchnąć niczym balon, wypila cały flakonik naparu z ziół, który w większej ilości wywoływał przeczyszczenie. Dwadzieścia dwa dni siedziała na nocniku z takim rozwolnieniem, że o mało nie straciła wewnętrżności, ale mimo to nie pozbyła się obrzęku. Wkrótce nie mogła już dopiąć sukienek, a we właściwym czasie powiła jasnowłosego chłopczyka. Spędziła cały miesiąc w łóżku, odżywiając się rosółem z kury i pijąc po dwa litry mleka dziennie, po czym wstała tak silna i z tak jasnym umysłem jak nigdy dotąd. Zdawało się, że została uleczona ze swego przewlekłego somnambulizmu, miała nawet tyle animuszu, by kupić sobie eleganckie sukienki. Nie zdołała jednak nigdzie wystąpić w nowych strojach, bo pan Guevara doznał nagle ataku apopleksji i zmarł, siedząc w jadalni z łyżką do zupy w dłoni. Jej świat stał się światem żałobnych sukienek oraz kapeluszy z woalką. Chodziła dwa lata w czerni, robiąc na drutach kamizelki dla biedaków, zajmując się swymi pokojowymi pieskami i synem, któremu szczotkowała loki i wkładała dziewczęce sukienki, jak można zauważyć na jednym ze zdjęć znalezionych w puszcze po herbatnikach. Mały siedzi tam na niedźwiedziej skórce, a oświetla go jakieś nadprzyrodzone światło.

Dla wdowy czas stanął w miejscu, charakter domowych wnętrz pozostał niezmienny, nadal unosił się w nich stary zapach jej męża. Mieszkała w tym samym domu, pod opieką oddanych służących i pod czujnym nadzorem rodziców i braci, którzy odwiedzali ją na zmianę codziennie, kontrolowali jej wydatki i podejmowali za nią nawet najbardziej błahe decyzje. Zmieniały się pory roku, w ogrodzie opadały liście z drzew, a potem znowu

pojawiły się letnie kolibry, a tok jej życia nie ulegał zmianom. Czasami zastanawiała się, dlaczego nosi czarne stroje. Zdążyła już bowiem zapomnieć o swym zniedołężniałym mężu, który ledwie kilka razy przysunął się do niej nieśmiało w płóciennej pościeli, by zaraz potem, wyrzucając sobie lubieżność, upaść do stóp Najświętszej Pani i chlostać się furmańskim biczem. Od czasu do czasu otwierała szafę, żeby wytrześć ubrania i nie mogła się wtedy oprzeć pokusie, by zrzucić z siebie ponure szmaty i przymierzyć w ukryciu sukienki wyszywane szlachetnymi kamieniami, etole z futer, satynowe pantofelki i rękawiczki z kozłej skórki. Przeglądała się w trzyczęściowym lustrze i kłaniała tej wystrojonej na bal kobiecie, w której z trudem rozpoznawała samą siebie.

Po dwóch latach samotności coraz trudniej znosiła pulsowanie rozpalonej krwi. W niedziele zwlekała przy wychodzeniu z kościoła, by patrzeć na wychodzących mężczyzn. Pociągał ją chropawy ton ich głosów, zapach tytoniu, świeżo ogolone policzki. Unosiła dyskretnie woalkę kapelusza i uśmiechała się do nich. Ojciec i bracia szybko to odkryli i w przekonaniu, że amerykańska ziemia deprawuje nawet uczciwe wdowy, postanowili po rodzinnej naradzie wysłać ją do wujostwa w Hiszpanii, gdzie z całą pewnością nie będzie narażona na frywolne pokusy, bo chronić ją będą solidne tradycje i moc Kościoła. Tak rozpoczęła się podróż, która miała odmienić los głupiej Marii.

Rodzice umieścili ją na pokładzie transatlantyku wraz z synem, służącą i pokojowymi pieskami. Wiozła ze sobą wielki i skomplikowany bagaż, bo oprócz mebli oraz pianina w ładowni statku jechała krowa, która miała dostarczać dziecku świeżego mleka. Wśród licznych walizek i pudeł z kapeluszami, znajdował się ogromny kufer zdobiony okuciami i nitami z brązu, zawierający wyciągnięte z naftaliny wyjściowe stroje. Rodzina nie spodziewała się, żeby w domu wujostwa Maria miała okazję używania tych ubrań, ale nie chcieli jej się sprzeciwić. Przez trzy pierwsze dni podróży nie mogła opuścić swej kajuty, złożona nudnościami, jednak w końcu przyzwyczała się do kołysania statku i zdołała wstać z łóżka. Wezwała wówczas służącą, by ta pomogła jej wypakować ubrania potrzebne podczas długiego rejsu.

Życie Marii znaczone było nagłymi nieszczęściami, jak tamten wypadek z pociągiem, który zmałował jej duszę i cofnął nieodwołalnie w dzieciństwo. Porządkowała właśnie ubrania w szafie swej kajuty, gdy synek włożył główkę do otwartego kufra. W tej samej chwili nagły wstrząs statku gwałtownie zatrzęsł ciężką pokrywą i metalowa krawędź uderzyła dziecko w szyję, gruchocząc mu kark. Trzech marynarzy odciągało matkę od przeklętego kufra. Trzeba jej było także podać środek uspokajający w dawce zdolnej powalić atletę, żeby przestała wrywać sobie garściami włosy i rozdrapywać paznokciami twarz. Wiele godzin wyła z rozpacz, a potem popadła w stan zamroczenia, kołysała się jednostajnie jak w czasach, gdy przyłgnęła do niej opinia kretyńki. Kapitan statku obwieścił przez głośnik ponurą nowinę, odczytał krótką modlitwę, a potem rozkazał owinąć małe zwłoki sztandarem i wyrzucić za burtę, bo znajdowali się już na środku oceanu i trudno byłoby dowieźć ciało w dobrym stanie do najbliższego portu.

Kilka dni po tragedii Maria wyszła niepewnym krokiem zaczerpnąć powietrza na pokładzie. Noc była ciepła, z morza dolatywał niepokojący zapach alg, skorupiaków, zatopionych okrętów. Wciągnęła nosem powietrze, a morski zapach rozszedł się po jej żyłach, wywołując wstrząs niczym trzęsienie ziemi. Stała, wpatrując się w horyzont, z pustką w głowie i ciałem napiętym niczym struna. Nagle usłyszała natarczywe gwizdanie, a odwróciwszy się w bok, dostrzegła dwa poziomy niżej oświetloną przez księżyc sylwetkę kogoś, kto dawał jej znaki. Zeszła szybko po schodkach, podeszła do ciemnowłosego mężczyzny, który ją wołał. Pozwoliła bez słowa sprzeciwu unieść sobie woalkę i zdjąć żałobne okrycie, a potem poszła z mężczyzną za wielki zwój lin. Powalona z siłą równą uderzeniu pociągu, nie potrzebowała nawet trzech minut, by pojąć, jaka jest różnica między starym mężem, umęczonym obawą przed boskim gniewem, a nienasyconym greckim

marynarzem, rozpalonym do białości po kilku tygodniach żalosnego, oceanicznego postu. Kobieta odkryła olśniona własne możliwości, przestała szlochać i poprosiła o więcej. Część nocy spędzili, poznając się nawzajem, i rozstali się dopiero wtedy, gdy usłyszeli syrenę pokładową, straszliwe, zakłócające spokój morskich stworzeń wycie, które zwiastowało czyjeś utonięcie. To służąca podniosła alarm przekonana, że nieutulona w żalu matka rzuciła się do morza. Szukała jej cała załoga oprócz Greka.

Każdej nocy Maria spotykała się z kochankiem za zwojami lin, aż transatlantyk zbliżył się do wybrzeża karaibskiego. Słodkawa woń kwiatów i owoców, niesiona morską bryzą, całkiem zmała jej zmysły i przyjęła propozycję swego towarzysza, by razem z nim opuścić statek, nad którym ciążyło wspomnienie zmarłego dziecka i gdzie szpiegowało ją tyle par oczu. W fałdach halek ukryła pieniądze, jakie dostała na podróż, i porzuciła raz na zawsze dotychczasową kondycję szacownej damy. Spuścili na wodę szalupę i zniknęli o świcie, zostawiając na pokładzie służącą, pieski, krowę i kufer-mordercę. Mężczyzna wiosłował potężnymi ramionami żeglarza w stronę wspaniałego portu, który w świetle poranka wynurzył się przed ich oczyma, wraz ze swymi budynkami, palmami i wielobarwnymi ptakami, niczym zjawisko nie z tego świata. Tam zatrzymali się uciekinierzy, dopóki starczyło im pieniędzy.

Marynarz okazał się kłótliwym pijakiem. Jego mowa była niezborna, niezrozumiała dla Marii i dla mieszkańców tego miejsca, ale udawało mu się jakoś porozumiewać za pomocą żartów i uśmiechów. Ona ożywiała się tylko wtedy, gdy wracał do domu, żeby ćwiczyć z nią akrobatyczne sztuczki, jakich wyuczył się we wszystkich domach publicznych od Singapuru po Valparaiso, a przez resztę dnia tkwiła pogrążona w śmiertelnej apatii. Rozgorączkowana upalnym klimatem wymyśliła sobie wreszcie miłość bez swego kompana i wypuszczała się samotnie w olśniewające podróże z zuchwałością osoby nie znającej niebezpieczeństw. Grek nie był na tyle czujny, by odgadnąć, że otworzył służę, że stał się narzędziem objawienia i nie potrafił docenić daru, jaki dawała mu kobieta. Miał obok siebie istotę pozostającą w stanie radosnej niewinności, gotową odkrywać świat zmysłów z figlarnością małego szczeniaka, ale nie umiał za nią podążyć. Maria nie знаła przedtem niosącej ulgę rozkoszy, nawet jej sobie nie wyobrażała, choć zawsze miała ją w sobie, niczym zarodek palącej gorączki. Gdy odkryła rozkosz, domyśliła się, że jest tym niebiańskim szczęściem, które zakonnice w szkole obiecywały w zaświatach dobrym dziewczynom. Bardzo mało wiedziała o świecie, nie potrafiła posłużyć się mapą, więc nie umiała także zlokalizować swego miejsca pobytu, ale patrząc na prawoślaz i papugi doszła do przekonania, że oto znajduje się w raju i chciała się nim rozkoszować. Nikt jej tam nie znał, była po raz pierwszy całkiem swobodna, daleko od domu, od nieubłaganego nadzoru rodziców i braci, od społecznych nacisków i od zapachu kościelnych gromnic. Nareszcie czuła się wolna, chętna do zakosztowania emocji, jakie rodziły się na jej skórze, by przeniknąć potem w głąb, do najgłębszych jaskiń, gdzie nabierały potęgi kaskady, pozostawiając ją potem wyczerpaną i szczęśliwą.

Jej pogodna dobroć, siła odporności na wszelkie zło czy przeciwności losu wprawiały marynarza w coraz większe przerażenie. Przerwy między miłosnymi uściskami wydłużały się, mężczyzna coraz częściej stawał się nieobecny, narastała między nimi cisza. Grek starał się wyzwolić od tej kobiety o twarzy dziecka, która bezustannie go przyzywała, wilgotna, obrzmiała, rozpalona, bo doszedł do przekonania, że wdowa, którą uwiódł na otwartym morzu, przemieniła się w perwersyjnego pajaka, gotowego pożreć go jak muchę podczas łózkowej szamotaniny. Na próżno szukał ratunku dla swej stłamszonej męskości, dokazując z prostytutkami, wdając się w bójki na noże i pięści z sutenerami i przepuszczając resztki pieniędzy na walkach kogutów. Kiedy został bez grosza, użył tej okoliczności jako wymówki, żeby zniknąć na dobre. Przez kilka tygodni Maria czekała na niego cierpliwie. Czasem słyszała z radia, że jakiś francuski marynarz, dezerterski z brytyjskiego statku, albo jakiś

Holender, uciekinier z okrętu portugalskiego, zostali zasztyletowani w jednej z zakazanych części portu, ale przyjmowała te wiadomości spokojnie, bo czekała przecież na Greka, który uciekł z włoskiego transatlantyku. Kiedy nie mogła już dłużej znieść palącego jej ciała ognia i niepokoju targającego duszą, wyszła z domu i zwróciła się o pocieszenie do pierwszego napotkanego mężczyzny. Wzięła go za rękę i poprosiła najuprzejmiej i najgrzeczniej, by wyświadczył jej przysługę i rozebrał się do naga. Nieznajomy zawahał się przez chwilę, bo dziewczyna w niczym nie przypominała kobiet trudniących się popularnym w tej okolicy zawodem. Jednak propozycja była jednoznaczna, mimo niezwyklej formy, w jakiej została wyrażona. Pomyślał, że warto się chwilę zabawić i zgodził się, nie podejrzewając, że wkrótce porwie go burza namiętności. Wszedł zdumiony i poruszony, zdecydowany opowiedzieć o niezwyklej dziewczynie wszystkim dookoła, a przed wyjściem zostawił Marii banknot na stole. Wkrótce pojawili się inni, zwabieni plotką o kobiecie, która potrafi sprzedać złudzenie prawdziwej miłości. Wszyscy klienci wychodzili zadowoleni. Tak oto Maria stała się najznakomitszą prostytutką w porcie. Marynarze tatuowali sobie jej imię na ramionach, by stało się znane na wszystkich morzach. Jej sława obiegła całą kulę ziemską.

Mijający czas, ubóstwo i ciągły wysiłek, by nie dać do siebie dostępu rozczarowaniu, odcisnęły ślady na urodzie jednak eleganckie maniery i niezmienny entuzjazm wobec każdego mężczyzny, bo nie były to dla niej schadzki z anonimowym klientem, lecz chwile, gdy mogła zobaczyć samą siebie w objęciach wyimaginowanego kochanka. U kolejnych mężczyzn nie dostrzegała wyłącznie pilnej potrzeby zaspokojenia chuci i za każdym razem oddawała się z nieskończoną miłością i niczym najbardziej wyuzdana kochanka uprzedzała ich najskrytsze pragnienia. Z wiekiem pomieszało jej się trochę w głowie, mówiła czasem od rzeczy, a kiedy przeprowadziła się do stolicy i zamieszkała na ulicy Republica, zdążyła już zapomnieć, że była niegdyś muzą żeglarzy ze wszystkich stron świata i nie mogła wyjść ze zdumienia, ilekroć ktoś przyjeżdżał z odległego portu tylko po to, by przekonać się, czy nadal istnieje ta, o której słyszał w jakimś zakątku Azji. Widząc nędzną, szarą myszkę, skórę i kości, mizerną kobiecinę, wielu odwracało się na pięcie i odchodziło w zakłopotaniu, myśląc o tym, jak przemijają legendy. Niektórzy jednak zostawali z litości. Tych spotykała niespodziewana nagroda. Maria zaciągała ceratową zasłonkę i nastrój w pomieszczeniu zmieniał się natychmiast. Mężczyzna wychodził potem zachwycony i zamiast obrazu budzącej litość staruszki, jaką zdawało mu się, że widział na początku, zabierał ze sobą wspomnienie legendarnej kochanki.

W głowie Marii zacierała się przeszłość - jako jedyne realne wspomnienie pozostał jej lęk przed pociągami i kuframi. Gdyby nie dociekliwość koleżanek po fachu, nikt nie poznałby jej historii. Żyła w oczekiwaniu na chwilę, w której odchyli się zasłona w pokoju i w progu pojawi się grecki marynarz albo jakaś inna zjawazrodzona w jej wyobraźni, weźmie mocno w ramiona i da rozkosz, jaką przeżyli wspólnie na pokładzie statku na otwartym morzu. Opromieniona wyimaginowaną miłością wytrwale poszukiwała dawnego złudzenia, zwodziła cienie ulotnymi uściskami, płomieniem uczuć, które wygasają, nim zdążyły się rozpalić na dobre. Kiedy znużyło ją wreszcie daremne oczekiwanie i poczuła, że dusza w niej kamienieje, postanowiła ten świat porzucić. Z właściwą sobie dyskrecją i rozważą sięgnęła po dzban czekolady.

## Najskrytsza tajemnica

Do pępka spłynęła jej kropla potu. Jej nieruchome ciało pachniało karmelem. Pozwoliła się pieścić, nie mówiąc ani słowa, jakby odgadła, że najmniejszy nawet dźwięk może rozgrzebać wspomnienia i wszystko zepsuć, zetrzeć w pył tę krótką chwilę, w której on był tylko jednym z wielu, poznanym rano przypadkowym kochankiem, jeszcze jednym

mężczyzną zwabionym jej włosami jak kłosa zboża, piegowatą skórą albo pobrzękiwaniem cygańskich bransoletek, kolejnym mężczyzną, który zagadnął ją na ulicy i ruszył z nią przed siebie bez wyraźnego celu, gapiąc się na tłum i gadając coś o pogodzie albo o ruchu ulicznym z tą nieco wysiloną poufałością, właściwą rodakom spotykającym się na obcej ziemi. Człowiekiem bez problemów, kompleksów, win, czystym jak łąka, który pragnie po prostu spędzić z nią dzień, włócząc się po księgarniach i parkach, pijąc kawę, radując się z powodu ślepego trafu, jaki zetknął ich ze sobą, rozmawiając o tym, co było - oboje dorastali w tym samym mieście i w tej samej dzielnicy - jak wyglądało tu życie, kiedy miał czternaście lat, pamiętasz te zimy, gdy buty wilgotniały od szronu, piece były na parafinę, lata pełne brzoskwiń, tam, daleko, w utraconym kraju. Może czuła się trochę samotna albo uważała, że nadarza się szansa, by kochać się bez zadawania pytań, w każdym razie pod wieczór, gdy nie było już sensu dalej spacerować, wzięła go za rękę i zaprowadziła do domu. Dzieliła z innymi emigrantami obskurne mieszkanie w żółtym budynku na końcu uliczki pełnej pojemników ze śmieciami. Jej pokój był wąski: na podłodze materac przykryty pasiastą narzutą, półki z desek opartych na dwóch rzędach cegieł, książki, afisze, ubranie na krzesło, walizka w rogu pokoju. Rozebrała się bez żadnych wstępów, jak uczynna dziewczynka.

Starał się ją kochać. Cierpliwie przemierzał jej ciało, ześlizgując się ze wzniesień i wślizgując w zagłębienia, zbliżając się niespiesznie do portu, ugniatając ją w pościeli niczym delikatną glinkę aż do chwili, gdy była gotowa, otwarta. Wtedy wycofał się z niema powściągliwością. Odwróciła się i zwinęła w kłębek na brzuchu mężczyzny, schowała twarz, jakby ze wstydu, a równocześnie dotykała go, lizała, smagała. Leżąc z zamkniętymi oczami, chciał się zatracić w pieszczocie, więc przez chwilę pozwalał jej na wszystko, lecz wkrótce wzięło w nim górę przygnębienie albo wstyd i odsunął ją od siebie. Zapalili następnego papierosa, już nie czuli się współnikami, zniknęła gdzieś nagle potrzeba bliskości, która połączyła ich tego dnia. Na łóżku leżało dwoje bezradnych ludzi, ludzi bez pamięci, zawieszonych w pustce niewypowiedzianych słów. Poznali się tego ranka i nie spodziewali się po tej znajomości niczego niezwykłego, nie robili żadnych planów, chcieli trochę pobycć ze sobą, spędzić kilka miłych chwil, nic więcej. Ale rozpacz okazała się silniejsza. Jesteśmy zmęczeni, powiedziała z uśmiechem, przepraszając za ten smutek, który zaległ między nimi. Jakby chcąc zyskać na czasie, ujął twarz kobiety w dłonie i pocałował jej powieki. Położyli się obok siebie i trzymając się za ręce, rozmawiali o tym, jak wygląda ich życie w kraju, w którym znaleźli się przypadkiem, w miejscu pełnym zieleni i bardzo gościnnym, gdzie jednak zawsze pozostaną obcy. Chciał się ubrać i pożegnać, nim jad jego koszmarów zatruje wszystko dookoła, ale ona zdała mu się taka młoda i wrażliwa, że zapragnął być jej przyjacielem. Przyjacielem, pomyślał, nie kochankiem, przyjacielem, z którym można czasem dzielić spokojne chwile, bez wymagań i zobowiązań, przyjacielem, by nie czuła się samotna i mogła pokonywać lęk. Nie puścił jej ręki ani nie wyszedł. Ogromne współczucie dla siebie samego i dla niej napełniło mu oczy łzami. Podmuch wiatru wydał zasłonkę niczym żagiel. Wstała, żeby zamknąć okno, bo uważała, że ciemność może ich znowu zachęcić do czułego uścisku. Ale tak się nie stało. Potrzebował smugi ulicznego światła, bo inaczej wpadał znowu w otchłań bezterminowych dziewięćdziesięciu centymetrów celi, gdzie tkwił ogłupiały w fetorze własnych ekskrementów. Zostaw odślonięte okno, chcę na ciebie patrzeć, skłamał, nie ośmielił się wyznać jej swego strachu przed nocą, gdy znowu zaczynało go palić pragnienie, bandaż wrzynał się w głowę niczym cierniowa korona, przed oczy wracały obrazy piwnic i pojawiało się tyle upiórów. Nie mógł z nią o tym rozmawiać, bo jedna sprawa prowadzi do następnej i człowiek kończy, mówiąc to, czego nigdy jeszcze nie powiedział. Wróciła do łóżka, zaczęła go pieścić bez zapału, przesunęła badawczo palcami po maleńkich znakach na jego ciele. Nie przejmuj się, to

nic groźnego, to tylko blizny, roześmiał się tak, jakby szlochał. Dziewczyna wyczuła udrękę w jego głosie i zatrzymała się w pół gestu, napięta i czujna. Powinien powiedzieć jej w tej chwili, że to nie jest początek nowej miłości, ani nawet przelotnej namiętności, że to tylko chwilowe zawieszenie broni, krótka minuta niewinności i że wkrótce, gdy ona usnie, on odejdzie. Powinien powiedzieć, że nie mają przed sobą przyszłości, nie będzie ukradkowych telefonów, nie będą włożyć się z dłonią w dłoń po ulicach, nie połączą ich gry miłosne, ale nie mógł się odezwać, głos uwiązł mu w gardle. Wiedział, że się pograża. Usiłował zatrzymać wymykającą mu się rzeczywistość, znaleźć zaczepienie w czymkolwiek, w rozrzuconym na krześle ubraniu, w książkach ułożonych kupkami na ziemi, w plakacie o Chile na ścianie, w świeżości tej karaibskiej nocy, w głuchym dudnieniu ulicy: chciał się skupić na ciele dziewczyny i myśleć wyłącznie o jej włosach i ich słodkawym zapachu. Błagał ją bez słów, by pomogła mu ocalić te sekundy, gdy tymczasem ona przyglądała mu się z najdalszego skrawka łóżka, siedząc w pozycji fakira, ze zwróconymi w jego stronę jasnymi sutkami i zerkającą w jego stronę żrenicą pępka. Zauważyła jego dygot, szczykowanie zębami, jęk. Czuł, jak wewnątrz narasta w nim cisza, wiedział, że dusza pęka mu na kawałki, jak tyle już razy wcześniej, i przestał walczyć, pękła nić łącząca go z teraźniejszością i zaczął staczać się w przepaść bez dna. Rzemienie wbijają mu się w kostki u nóg i w nadgarstki, wstrząsy elektryczne, zerwane ścięgna, obelżywe głosy domagają się nazwisk, niemożliwe do zapomnienia krzyki Anny, katowanej tuż obok niego, i krzyki innych, powieszonych na patio.

Co z tobą, co ci jest, na Boga?! Dobiegł go z oddali głos Anny. Nie, Annę pochłonęły mokradła na południu. Zdało mu się, że dostrzega jakąś nagą nieznaną, która nim potrząsa i woła go po imieniu, ale nie zdołał uwolnić się od mroku, w którym mieszały się ze sobą baty i sztandary. Zgięty w pół starał się powstrzymać wymioty. Zaczął płakać z powodu Anny i z powodu pozostałych. Co ci jest? Znowu ta dziewczyna, wołająca skądś do niego. Nic, obejmij mnie ... ! poprosił, a ona zbliżyła się nieśmiało i otuliła go ramionami, ukołysała jak dziecko, pocałowała w czoło, pozwoliła mu płakać, ułożyła go na plecach na łóżku, a sama położyła się na nim z rozrzuconymi szeroko ramionami, jak ukrzyżowana.

Trwali w takim uścisku tysiąc lat, dwoje ludzi skazanych na samotność. Wreszcie skończyły się halucynacje, a on wrócił z podróży, by odkryć, że mimo wszystko jest nadal żywy, oddycha, bije mu serce. Czuł na sobie jej ciężar, ramiona na swoich ramionach i nogi na swoich nogach. A wtedy ona, jakby wiedziała o nim wszystko, powiedziała, że strach jest silniejszy od pożądania, miłości, nienawiści, winy, wściekłości, że jest silniejszy niż lojalność. Strach to coś totalnego, dodała na koniec, a łzy spływały jej po szyi. Dla mężczyzny wszystko się zatrzymało, bo dotknęła jego najgłębiej ukrytej rany. Wyczuł, że nie jest tylko dziewczyną gotową kochać się z nim przez litość, ale że zna sekrety głębsze niż milczenie, głośniejsze niż całkowita samotność, owa czeluść, w której krył się przed pułkownikiem i przed własną zdradą, przed wspomnieniem Anny Diaz i innych wydanych towarzyszy, przywożonych, jeden za drugim, z zawiązanymi oczyma. Skąd ona to wszystko wie?

Kobieta wstała. Wyciągnęła szczupłe ramię w stronę jasnej poświaty padającej z okna, szukając po omacku kontaktu. Zapaliła światło i zdejmując po kolei wszystkie metalowe bransoletki, pozwoliła, by spadły bezgłośnie na łóżko. Gdy wyciągnęła rękę w jego stronę, twarz miała w połowie przesłoniętą włosami. Jej nadgarstki były poprzecinane białymi bliznami. Przez jedną nieskończoną chwilę wpatrywał się w te blizny nieruchomo, aż wszystko pojął, kochanie, i ujrzał ją przywiązaną rzemieniami do rozpalonego elektrycznego grzejnika i wówczas mogli się już do siebie przytulić i płakać, złąknieni porozumienia i wyznań, zakazanych słów, obietnic poranka, dzieląc się wreszcie swoją najskrytszą tajemnicą.

## Mały Heidelberg

Kapitan i panienska Eloisa tańczyli ze sobą tyle lat, że osiągnęli doskonałość. Każde potrafiło przewidzieć kolejny ruch partnera, nieomylnie odgadnąć chwilę następnego obrotu, bezbłędnie zinterpretować najlżejszy uścisk dłoni lub odchylenie stopy. W ciągu czterdziestu lat ani razu nie zmylili kroku, poruszali się z precyzją dwojga ludzi przyzwyczajonych do uprawiania miłości i zasypiania w mocnym uścisku i trudno było sobie wyobrazić, że nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa.

Mały Heidelberg to sala taneczna położona za miastem, na wzgórzu otoczonym plantacjami bananów. Powietrze jest tam rześkie, można też zawsze liczyć na dobrą muzykę i zamówić do jedzenia niezwykłą, pobudzającą zmysły i pachnącą przyprawami potrawę, może nazbyt ciężką, jak na upalny klimat tych okolic, ale za to doskonale zgodną z tradycjami, jakie inspirowały właściciela, don Ruperta. Przed kryzysem naftowym, czyli w czasach, kiedy żyło się w złudnym przeświadczeniu o obfitości wszelkich dóbr i kiedy sprowadzano egzotyczne owoce z innych szerokości geograficznych, specjalnością firmy był strudel jabłkowy. Gdy po ropie naftowej zostały tylko wspomnienia oraz góra niezniszczalnych odpadków, zaczęli robić ten strudel z owoców mango lub gwajawy. Obszerny krąg taneczny otaczały stoły przykryte obrusami w biało-zieloną kratkę, a na ścianach wisiały malowidła przedstawiające sielskie sceny z życia: pasterki o złotych warkoczach, krzepkich młodzieńców i nieskazitelnie czyste krowy. Muzycy - ubrani w skórzane, krótkie spodnie, wełniane skarpety, szelki i tyrolskie filcowe kapelusze, które straciły kształt od potu i z daleka wydają się zielonkawymi perukami - sadowią się na podium zwieńczonym wypchanym orłem, któremu, jak powiada don Rupert, od czasu do czasu wyrastają nowe pióra. Jeden gra na akordeonie, drugi dmie w saksofon, a trzeci dwoi się i troi przy perkusji i talerzach. Akordeonista to prawdziwy mistrz, instrument nie ma przed nim żadnych tajemnic. W dodatku śpiewa ciepłym, tenorowym głosem z lekkim akcentem andaluzyjskim. Mimo swego niedorzecznego stroju jest ulubieńcem dam, licznie odwiedzających to miejsce. Niektóre z nich oddają się nawet skrytym marzeniom o tym, by razem z akordeonistą stać się ofiarą jakiegoś śmiertelnie niebezpiecznego zdarzenia, na przykład osunięcia się ziemi albo bombardowania. Chętnie wydałyby wtedy nawet ostatnie tchnienie, byle tylko obejmowały je silne ramiona, które potrafią wydobyć tak rozdzierające łkanie z instrumentu. Fakt, że średnia wieku tych dam sięga siedemdziesiątki, nie przeszkadza śpiewakowi wytwarzać zmysłowej atmosfery, naznacza ją, co najwyżej, słodkim tchnieniem śmierci. Orkiestra zaczyna grać zaraz po zachodzie słońca, a kończy o północy, z wyjątkiem sobót i niedziel, kiedy to lokal zapelniają turyści i trzeba grać do wyjścia ostatniego gościa o świcie. Orkiestra gra tylko polki, mazurki, walce i europejskie tańce ludowe, jakby Mały Heidelberg znajdował się nad brzegiem Renu, a nie w sercu Karaibów.

W kuchni króluje doña Burgel, żona don Ruperta, dostojna matrona: niewielu tylko gości zna ją osobiście, bo życie upływa jej wśród garnków i gór warzyw, a cała uwaga skupia się na przyrządzaniu zamorskich potraw z lokalnych składników. To właśnie ona wymyśliła strudel z owoców tropikalnych oraz potrawę rozgrzewającą zmysły, zdolną przywrócić animusz największemu gamoniowi. Do stołów podają córki gospodarzy, dwie postawne kobiety, pachnące cynamonem, goździkami, wanilią i cytryną, a także kilka innych miejscowych dziewcząt o rumianych policzkach. Stali bywalcy to emigranci z Europy, ci, którzy przybyli do tego kraju, uciekając przed wojną lub przed nędzą - kupcy, rzemieślnicy, ludzie mili i prostolinijni; być może nie zawsze tacy byli, lecz z upływem lat złagodnieli i nauczyli się życzliwej uprzejmości, właściwej dziarskim staruszkom. Mężczyźni przychodzą tu ubrani w marynarki i muszki, ale gdy taneczny wir i piwo rozgrzeją im dusze, zdejmują z



siebie zbędny przyodziewek i zostają tylko w koszulach. Kobiety ubierają się w wesołe kolory i na staroświecką modłę, jakby swoje stroje wyciągnęły z kufrów przywiezionych wiele lat temu, gdy przybyły na ten ląd. Od czasu do czasu pojawia się jakaś grupka hałaśliwych i zaczepnych młodych ludzi. Ich przybycie poprzedza zawsze ogłuszający ryk motorów, tupot ciężkich butów, pobrzękiwanie kluczy i łańcuchów. Młodzi przychodzą tu tylko po to, żeby wyśmiewać się ze starych, ale nigdy nie dochodzi do niczego poza wymianą zdań, bo perkusista i saksofonista zawsze są gotowi zakasać rękawy i zaprowadzić porządek.

W sobotnie wieczory około dziewiątej, gdy wszyscy już skosztują pobudzającej zmysły potrawy i mają za sobą pierwszy taniec, pojawia się Meksykanka i siada na uboczu. To atrakcyjna pięćdziesięciolatka z ciałem jak galeon - wydatny kil, pękaty kadłub, szeroka rufa, twarz maskarona na dziobie. Obnosi się z dojrzałym wprawdzie, lecz nadal apetycznym dekoltem, we włosy za uchem wpina kwiat. Nie ona jedna nosi tu strój tancerki flamenco, ale na niej wygląda on dużo naturalniej niż na starszych paniach o siwych włosach i mizernej talii, które nawet nie mówią przyzwoicie po hiszpańsku. Gdy Meksykanka tańczy polkę, przypomina dryfujący wśród wzburzonych fal okręt, a posuwając się w takcie walca, ledwie muska spokojną toń. Taką właśnie widywał ją w snach Kapitan i budził się wówczas z zapomnianym już niepokojem młodzieńczych lat. Podobno Kapitan pochodził z jakiegoś skandynawskiego statku, którego nazwy nikt nie potrafił rozszyfrować. Był znawcą starych okrętów i morskich szlaków, ale cała ta wiedza spoczywała w zakamarkach jego pamięci bez najmniejszej szansy na spożytkowanie w tym gorącym regionie, gdzie morze jest przyjemnym akwariem o zielonkawych, krystalicznych wodach, zupełnie nieodpowiednim dla żeglugi zuchwałych okrętów z Morza Północnego. Był wysokim, chudym mężczyzną, przypominał drzewo bez liści, miał proste plecy i silne jeszcze mięśnie karku, ubierał się w marynarkę ze złotymi guzikami, spowijała go smutna aura emerytowanych marynarzy. Nikt nigdy nie usłyszał, by powiedział jakieś słowo po hiszpańsku ani w innym znanym języku. Trzydzieści lat wcześniej don Rupert orzekł, że Kapitan z pewnością jest Finem ze względu na lodowy kolor oczu i niezaprzeczną prawość spojrzenia, a ponieważ nikt nie mógł temu zaprzeczyć, więc wszyscy w końcu uwierzyli. Poza tym w Małym Heidelbergu język nie ma żadnego znaczenia, bo nie chodzi się tam dla rozmowy.

Dla ogólnej wygody i pożytku zmieniono niektóre reguły zachowania. I tak, na przykład, każdy może wyjść na parkiet sam albo poprosić do tańca kogoś siedzącego przy innym stoliku. Kobiety także wykazują inicjatywę i mogą prosić do tańca mężczyzn, jeśli sobie życzą. To sprawiedliwe rozwiązanie w przypadku wdów bez stałego towarzystwa. Nikt tylko nie prosi do tańca Meksykanki, bo rozumie się samo przez się, że poczułaby się obrażona, więc panowie, drżąc z emocji, muszą cierpliwie czekać, aż to ona do nich podejdzie. Kobieta odkłada papierosa do popielniczki, wyprostowuje zwaliste nogi, poprawia gorset, podchodzi do wybrańca i staje przed nim bez jednego spojrzenia. Zmienia partnera po każdym tańcu. Przedtem rezerwowała dla Kapitana przynajmniej cztery kawałki. On chwycił ją w pasie mocną dłonią sternika i prowadził pewnie po parkiecie z zadziwiającą w jego podeszłym wieku inwencją.

Najstarszą bywalczynią sali tanecznej, która przez pół wieku nie opuściła żadnej sobotniej potańcówki, była panienska Eloisa, drobniutka, delikatna i łagodna staruszka, o skórze jak z ryżowej bibułki i z koroną przezroczytych włosów. Tyle lat zarabiała na życie, wyrabiając w swej kuchni cukierki, że przesiąknęła na wylot aromatem czekolady i urodzinowego przyjęcia. Mimo swoich lat zachowała jeszcze niektóre młodzieńcze gesty i potrafiła spędzić całą noc, wirując na parkiecie, przy czym upięty na głowie kok nie tracił swego kształtu, a serce biło miarowo. Przyjechała do tego kraju w początkach wieku z niewielkiej miejscowości na południu Rosji, wraz z matką, wówczas kobietą olśniewającej urody. Mieszkały razem i wspólnie wyrabiały cukierki, niewiele sobie robiąc z klimatu i z czasów, w jakich przyszło im żyć, i nie zaprzatając sobie głowy własną samotnością. Żyły

bez mężów, bez rodziny, bez zbędnych ekstrawagancji i bez żadnych rozrywek, jeśli nie liczyć cotygodniowych wyjść do Małego Heidelbergu. Po śmierci matki panienska Eloisa przychodziła sama. Don Rupert witał ją w drzwiach z wielkim szacunkiem i odprowadzał do stolika, podczas gdy orkiestra grała jej na powitanie pierwsze takty ulubionego walca. Przy niektórych stolikach ludzie unosili w jej kierunku kufle z piwem, bo była tu najstarszą i niewątpliwie najbardziej lubianą osobą. Cechowała ją nieśmiałość, nigdy nie odważyła się poprosić mężczyzny do tańca, ale przez te wszystkie lata nie było też takiej potrzeby, bo każdy poczytywał sobie za przywilej możliwość uchwycenia jej dłoni, delikatnego - by nie uszkodzić żadnej kruchej kosteczki - objęcia w talii i poprowadzenia na parkiet. Tańczyła z wielkim wdziękiem i rozsiewała wokół siebie słodki zapach, który każdemu przywodził najlepsze wspomnienia z dzieciństwa.

Kapitan zasiadał samotnie, zawsze przy tym samym stoliku, pił umiarkowanie i nigdy nie wykazał żadnego entuzjazmu dla pobudzającej zmysły potrawy dońi Burgel. Wystukiwał jedną stopą rytm melodii, a gdy panienska Eloisa była akurat wolna, prosił ją do tańca, stając przed nią z dyskretnym stuknięciem obcasów i lekko skłaniając głowę. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, patrzyli tylko na siebie i uśmiechali się wśród galopad, szybkich przejść i mijań po przekątnej, w jakimś starym tańcu.

Pewnej grudniowej soboty, mniej wilgotnej niż pozostałe, zjawili się w Małym Heidelbergu dwaj turyści. Tym razem nie byli to zdyscyplinowani Japończycy, a wysocy Skandynawowie, ze skórą ogorzałą od słońca i jasnymi włosami. Zasiadli przy jednym ze stolików i zafascynowani przyglądali się tańczącym. Byli weseli i hałaśliwi, stukali się kufkami piwa, śmiali się z ochotą i głośno rozmawiali. Słowa cudzoziemców dobiegły siedzącego przy swoim stoliku Kapitana i z daleka, z innych czasów i z innego krajobrazu dotarł do niego dźwięk własnego języka, donośnego i świeżego, jakby dopiero został wymyślony, słowa, których nie słyszał od dziesięciolecia, które tkwiły nienaruszone w jego pamięci. Twarz starego żeglarza złagodniała, a on sam wahał się przez kilka minut, czy zachować maskę wygodnej dla siebie powściągliwości, czy też oddać się zapomnianej niemal rozkoszy rozmowy. Wreszcie wstał i podszedł do nieznanym. Don Rupert zza baru widział, jak lekko pochylony, z rękami założonymi na plecach, mówi coś do nowo przybyłych. Cała reszta, klienci, kelnerki i muzycy szybko zdali sobie sprawę, że przemówił po raz pierwszy, odkąd go znają, i wszyscy ucichli, chcąc słyszeć jego słowa. Mówił powoli zgrzybiałym głosem pradziadka, ale każde zdanie wymawiał z wielkim zdecydowaniem. Gdy skończył mówić to, co skrywał w piersi, w sali zaległa taka cisza, że doña Burgel wyszła z kuchni, żeby sprawdzić, czy ktoś nie umarł. Wreszcie, po długim milczeniu, jeden ze Skandynawów otrząsnął się ze zdumienia i zawołał don Ruperta, po czym poprosił go łamaną angielszczyzną, żeby pomógł przetłumaczyć wypowiedź Kapitana. Obaj Skandynawowie podeszli ze starym marynarzem do stołu, przy którym siedziała panienska Eloisa, podszedł tam także don Rupert, zdejmując po drodze fartuch, bo przeczuwał, że szykuje się jakieś podniosłe zdarzenie. Kapitan wypowiedział kilka słów w swoim języku, jeden z cudzoziemców przetłumaczył je na angielski, a don Rupert, czerwieniąc się po uszy i z drżącym wąsem, powtórzył koślawą hiszpańszczyzną.

- Panienko Eloiso, Kapitan zapytuje, czy pani zechce wziąć ślub.

Krucha staruszka siedziała, wpatrując się w niego okrągłymi ze zdumienia oczyma i ustami zasłoniętymi batystową chusteczką. Wszyscy czekali, wstrzymując oddech, aż wreszcie zdołała wydobyć z siebie głos.

- Nie wydaje mi się, że to trochę pospieszna propozycja?

Jej słowa przeszły przez usta karczmarza i turystów, a odpowiedź odbyła tę samą drogę w drugą stronę.

- Kapitan mówi, że czeka już czterdzieści lat, by to pani powiedziec i że nie mógłby dłużej czekać, aż znowu pojawi się ktoś, kto mówi w jego języku. Prosi, żeby teraz mu pani

odpowiedziała.

- Zgadzą się - odpowiedziała cicho panienka Eloisa i nie trzeba było tłumaczyć tej odpowiedzi, bo wszyscy ją od razu zrozumieli.

Don Rupert uniósł w euforii ramiona i ogłosił zaręczyny, Kapitan pocałował narzeczoną w policzki, turyści uścisnęli wszystkim ręce, muzycy uderzyli w instrumenty, tak że huknął triumfalny marsz, a wszyscy obecni otoczyli parę kołem. Kobiety ocierały łzy, ożywieni mężczyźni wznosili toasty, don Rupert usiadł przy barze i wzruszony ukrył głowę w ramionach, podczas gdy dona Burgel i jej dwie córki otwierały butelki najlepszego rumu. Natychmiast muzycy zagrali walca *Nad pięknym modrym Dunajem* i wszyscy usunęli się z parkietu.

Kapitan ujął za rękę delikatną kobietę, którą od tak dawna kochał bez słów, i poprowadził ją na środek sali, gdzie zatańczyli z wdziękiem dwóch czapli, wirujących w tańcu godowym. Kapitan podtrzymywał ją z taką samą czułą troską, z jaką w młodości kierował swoim okrętem. Prowadził partnerkę po parkiecie, jakby łagodnie kołysali się na falach zatoki, a równocześnie mówił jej w swym języku ze śnieżnych krain to wszystko, co do tej pory chował w sercu. Wirując w tańcu, Kapitan czuł, jak ubywa im lat i jak z każdym krokiem stają się bardziej weseli i lżejsi. Obrót za obrotem, coraz bardziej wibrują muzyczne akordy, stopy posuwają się coraz szybciej, jej talia staje się coraz cieńsza, ciężar drobnej dłoni w jego ręce coraz mniej wyczuwalny, jej obecność coraz mniej cielesna. I wtedy spostrzegł, że panienkę Eloisę zaczyna spowijać koronka, biała pianka, mgła, a potem jej postać staje się coraz mniej wyraźna, aż wreszcie znika całkowicie, a on wiruje i wiruje z pustymi ramionami, mając za jedyne towarzystwo leciutki aromat czekolady.

Tenor szepnął muzykom, żeby się przygotowali do grania tego samego walca w nieskończoność, bo zrozumiał, że wraz z ostatnią nutą Kapitan obudzi się ze swego snu, a wspomnienie panieki Eloisy ulotni się raz na zawsze. Wzruszeni bywalcy Małego Heidelbergu trwali bez ruchu na swoich krzesłach, aż wreszcie Meksykanka, której arogancja tymczasem zmieniła się w miłosierną czułość, wstała ze swego miejsca i zbliżyła się powoli, dotykając drżących rąk Kapitana, żeby z nim zatańczyć.

## **Żona sędziego**

Nicolás Vidal wiedział od zawsze, że zginie przez kobietę. Przepowiedziano mu to w dniu narodzin, a potem potwierdziła tę przepowiednię właścicielka sklepu, gdy jeden jedyny raz pozwolił powróżyć sobie z fusów po kawie. Nie sądził jednak, że przyczyną jego zguby okaże się Casilda, żona sędziego Hidalgo. Po raz pierwszy zobaczył ją w dniu, w którym przyjechała do miasteczka, żeby wyjść za mąż. Nie dostrzegł niczego pociągającego, wołał kobiety bezwstydne i o śniadej cerze, a ta przezroczysta niemal młódka w stroju podróżnym, ze spłoszonym wzrokiem i delikatnymi palcami, które na pewno nie umiały dać rozkoszy mężczyźnie, zdała mu się eteryczna niczym garść popiołu. Znając dobrze swoje przeznaczenie, wystrzegał się kobiet i przez całe życie uciekał od wszelkich związków uczuciowych, oduczył serce miłości i ograniczał się wyłącznie do szybkich schadzek, by oszukać samotność. Casilda sprawiła na nim wrażenie całkiem niegroźnej i dalekiej, więc nie podjął wobec niej żadnych środków ostrożności, a gdy nadeszła rozstrzygająca chwila, zapomniał o przepowiedni, którą zawsze miał na uwadze przy podejmowaniu wszelkich decyzji. Ukrywając się z dwoma swoimi kompanami na dachu budynku, patrzył na miastową panienkę, jak w dniu swego ślubu wysiada z samochodu. Przyjechała w towarzystwie pół tuzina równie śniadych i delikatnych jak ona krewniaków. Uczestniczyli oni w uroczystości, wachlując się z niepewnymi minami, a potem odjechali, by nigdy już nie wrócić.

Vidal, podobnie jak reszta mieszkańców wioski, pomyślał, że panna młoda nie

wytrzyma tutejszego klimatu i niezadługo kumy będą ją musiały ubierać do trumny. A nawet gdyby zdarzyło się to, co niemożliwe, i dałaby sobie radę z upałem i kurzem, który wnika poprzez pory i osadza się w duszy, pokonają ją złe humory i starokawalerskie nawyki męża. Sędzia Hidalgo był od niej dwa razy starszy i od tylu już lat sypiał sam, że nie wiedział, od czego zacząć, by zaspokoić kobietę. Jego surowy sposób bycia i upór w egzekwowaniu prawa, nawet kosztem sprawiedliwości, wzbudzały postrach w całej prowincji. Przy wykonywaniu swych powinności nie kierował się nigdy współczuciem i z równą stanowczością karał kradzież kury, co zabójstwo z premedytacją. Ubierał się wyłącznie na czarno, żeby wszyscy mieli świadomość dostojności jego funkcji, i nosił wypastowane pszczelim woskiem buty, które zawsze lśniły mimo tumanów kurzu, jakie unosiły się w tym miasteczku bez złudzeń. Taki człowiek nie nadaje się na męża, krakały sąsiadki. Ponure przepowiednie weselne jednak się nie spełniły, a Casilda zniosła dzielnie trzy porody i sprawiała wrażenie zadowolonej. W niedzielę chodziła wraz z mężem na sumę, niewzruszona pod hiszpańską mantylką, odporna na bezlitosne działanie wiecznego lata, bezbarwna i milcząca niczym cień. Nikt nigdy nie usłyszał z jej ust ani słowa poza cichym pozdrowieniem, nie zobaczył odważniejszego gestu niż skinienie głowy lub przelotny uśmiech. Wydawało się, że unosi się nad ziemią, że przy byle nieuwadze rozplynie się w powietrzu. Sprawiała wrażenie, jakby jej nie było, dlatego wszyscy się dziwili, obserwując jej wpływ na sędziego, u którego zauważono znaczne zmiany.

Hidalgo wyglądał co prawda nadal na oschłego ponuraka, jednak zmieniły się zasadniczo decyzje, jakie podejmował w sądzie. Ku powszechnemu osłupieniu pozostawił na wolności młodego człowieka, który okradł swego pracodawcę, argumentując, że przez trzy poprzednie lata chlebodawca płacił mu mniej niż powinien, więc zabrane pieniądze stanowiły rodzaj rekompensaty. Odmówił także skazania niewiernej żony, uzasadniając to tym, że mąż nie miał moralnego prawa domagać się od niej uczciwości, skoro sam utrzymywał kochankę. Miasteczko aż huczało od plotek, że sędzia Hidalgo zmienia się nie do poznania, gdy przekracza próg swego domu i zdejmuje urzędowy garnitur. Mówiono, że bawi się z dziećmi, śmieje się beztrudnie i sadza sobie Casildę na kolanach, jednak te pogłoski nigdy nie zostały potwierdzone. Żonie przypisywano w każdym razie pożyteczne uczynki, więc podniosło to prestiż kobiety, ale takie sprawy wcale nie interesowały Nicolasa Vidala, bo żył poza prawem i miał pewność, że nie byłoby dla niego litości, gdyby zaprowadzono go w kajdankach przed oblicze sędziego. Nie zwracał uwagi na plotki o doñi Casildzie, a gdy kilka razy miał sposobność zobaczyć ją z oddali, utwierdził się w pierwszym wrażeniu, że żona sędziego jest tylko niewyraźną ektoplazmą.

Vidal urodził się trzydzieści lat wcześniej w ślepych pokojach jedynej w miasteczku domu publicznego, jako syn Smutnej Juany i nieznanego ojca. Matka dobrze wiedziała, że nie ma dla niego miejsca na świecie, dlatego starała się wyrwać go sobie z brzucha, używając w tym celu ziół, ogarków świec, płynów do mycia naczyń i innych brutalnych środków, ale dziecko uparło się, żeby przeżyć. Wiele lat później, gdy Smutna Juana zobaczyła swego tak już odmienionego syna, zrozumiała, że te rozpaczliwe metody prowokujące aborcję nie tylko nie zdołały go unicestwić, ale zahartowały jego ciało i duszę, aż stały się twarde jak stal. Gdy się urodził, akuszerka podniosła niemowlę do góry, żeby przyjrzeć mu się w świetle lampy naftowej, i od razu zauważyła, że ma cztery brodawki sutkowe.

- Zginie przez kobietę, biedaczynka - przepowiedziała wiedzioną doświadczeniem.

Te słowa zaciążyły na chłopcu niczym jakaś skaza. Być może jego życie nie byłoby takie nędzne, gdyby zaznał kobiecej miłości. Jego matka, by wynagrodzić mu liczne próby pozbawienia go życia, nim jeszcze się urodził, wybrała mu piękne imię i porządne nazwisko, znalezione na chybił trafił. Książęce imię nie zdołało jednak odpędzić złych uroków i zanim chłopiec skończył dziesięć lat, miał już twarz naznaczoną cięciami noża otrzymanymi w bójkach, a niewiele później musiał zacząć się ukrywać. W wieku dwudziestu lat był

przywódcą bandy młodych desperatów. Nawyk uciekania się do przemocy sprawił, że wyrobił sobie silne mięśnie, życie na ulicy nauczyło go nie mieć litości, a samotność, na jaką się skazywał z obawy przed miłością, przydała jego oczom szczególnego wyrazu. Widząc go każdy mieszkaniec miasteczka mógł natychmiast przysiąc, że jest synem Smutnej Juany, bo tak samo jak ona miał oczy pełne łez, które nie chciały popłynąć. Ilekroć w okolicy popełniono jakiś występki, żandarmi ruszali z psami w pościg za Nicolasem Vidalem, żeby uspokoić oburzonych obywateli, ale pokręciwszy się po wzgórzach, wracali z pustymi rękami. W gruncie rzeczy nie chcieli go znaleźć, bo nie chcieli z nim walczyć. Banda zyskała sobie taką złą sławę, że okoliczne osady i hacjendy płaciły mu haracz, byle tylko trzymała się od nich z daleka. Dzięki tym opłatom jego ludzie mogliby żyć spokojnie, ale Nicolas Vidal zmuszał ich do ciągłego tkwienia w siodle, nawet podczas burz i zawieruchy, by nie stracili upodobania do bitki ani złej sławy. Nikt nie miał odwagi stawić im czoła. Dwa razy sędzia Hidalgo zwrócił się do rządu, żeby wysłał oddziały wojska dla wzmocnienia miejscowej policji, ale po odbyciu kilku daremnych wycieczek żołnierze wracali do koszar, a bandyci do swoich sprawek.

Tylko raz Nicolas Vidal o mało nie wpadł w pułapkę, ale uratował go właśnie brak uczuć i jego kamienny spokój. Sędzia Hidalgo dosyć już miał przyglądania się, jak szargane jest prawo, i postanowił dać spokój skrupułom i przygotować zasadzkę na bandytę. Zdawał sobie sprawę, że broniąc sprawiedliwości, musi uciec się do jakiegoś niehumanitarnego postępcu, ale wybierał mniejsze zło. Jako przynęta przyszła mu do głowy tylko Smutna Juana, bo Vidal nie miał innych krewnych, nikt także nie słyszał, żeby miał kochanki. Wyciągnął kobietę z burdelu, gdzie zmywała podłogi i myła latryny, nie mając klientów gotowych zapłacić za jej usługi. Wsadził ją do klatki zrobionej na miarę i ustawił tę klatkę na środku Plaza de Armas, a obok tylko dzbanek z wodą jako jedyną pociechę.

- Jak jej się skończy woda, zacznij wrzeszczeć. Wtedy pojawi się jej syn, a ja będę na niego czekał z żołnierzami - powiedział sędzia.

Wiść o tej wymierzonej matce karze, stosowanej w przeszłości w przypadku zbiegłych więźniów, dotarła do Nicolasa Vidala na krótko, zanim jego matka wypila z dzbanka ostatni łyk wody. Jego ludzie widzieli, że przyjął tę wiadomość w milczeniu, na jego twarzy samotnika nie pojawił się żaden grymas, nie przestał też spokojnie ostrzyć noża o skórzany popręg. Od wielu już lat nie utrzymywał kontaktów ze Smutną Juaną, nie zachował też ani jednego miłego wspomnienia z dzieciństwa. W grę nie wchodziły jednak kwestie sentymentalne, lecz honor. Żaden mężczyzna nie zniesie podobnej obelgi, myśleli jego ludzie, gotując broń i konie, gotowi w każdej chwili odpowiedzieć na podstępne wyzwanie i umrzeć, gdyby to okazało się konieczne. Jednak ich dowódca nie wykazywał żadnego pośpiechu.

Czas płynął, a w grupie rosło napięcie. Mokrzy od potu spoglądali jeden na drugiego, nie ważąc się czynić uwag, czekali tylko niecierpliwie z rękoma na kolbach rewolwerów, przy końskich grzywach, ściskając w dłoniach lassa. Nadeszła noc i jedyną osobą, jaka zasnęła w obozowisku, był Nicolas Vidal. O brzasku zdania wśród jego ludzi były podzielone. Jedni uważali, że jest dużo bardziej bezduszny, niż sobie wyobrażali, inni byli przekonani, że szef przygotowuje jakąś szaleńczą akcję, by uwolnić matkę. Nikomu nie przyszło na myśl, że może mu brakować odwagi, bo wielokrotnie udowadniał, że na odwadze mu nie zbywa. W południe nie wytrzymali już tego dłużej i poszli do niego zapytać, co zamierza.

- Nic - powiedział.

- A twoja matka?

- Zobaczmy, kto okaże się facetem z jajami: sędzia czy ja - odpowiedział niewzruszony Nicolas Vidal.

Trzeciego dnia Smutna Juana nie błagała już o litość ani nie prosiła o wodę, język wysechł jej na wiór i słowa więzły w gardle jeszcze przed wymówieniem, leżała zwinięta w

kłębek na podłodze klatki z obłąkanym wzrokiem i spuchniętymi wargami, wyjąc jak zwierzę w chwilach przeblysków świadomości i pograżając się w sennych koszmarach o piekle przez resztę czasu. Czterech uzbrojonych strażników pilnowało uwięzionej, by nie dopuścić, żeby sąsiedzi dali jej coś do picia. Jej szloch wypełniał całe miasteczko, przedostawał się przez zamknięte okiennice, wpadał razem z wiatrem przez drzwi, wbijał się w każdy zakamarek. Psy powtarzały go w przeciągłym skowycie, zarażały się nim noworodki, kto go usłyszał, czuł, że nerwy napinają mu się jak postronki. Sędzia nie mógł powstrzymać ludzi przychodzących z litości dla staruszki na plac, nie udało mu się także zapobiec solidarnościowemu strajkowi prostytutek, który zbiegł się akurat z wypłatą w kopalni. W sobotę ulice wypełniły się brudnymi górnikami z kopalni, którzy koniecznie chcieli wydać pieniądze, zanim wrócą znowu do sztolni, ale w miasteczku nie mogli znaleźć żadnej rozrywki, jeśli nie liczyć klatki i szmeru współczującego szeptu, jaki niósł się z ust do ust od rzeki aż po szosę nad brzegiem morza. Do sędziego Hidalgo przyszła grupa wiernych pod przewodnictwem księdza, żeby przypomnieć mu o chrześcijańskim miłosierdziu i prosić o uwolnienie biednej, niewinnej kobiety od męczeńskiej śmierci, ale sędzia zamknął drzwi na zasuwkę i nie chciał ich słuchać, zakładając, że Smutna Juana wytrzyma jeszcze jeden dzień, a jej syn wpadnie w zastawioną zasadzkę. Co znaczniejsi mieszkańcy miasteczka postanowili wówczas udać się do doñi Casildy.

Żona sędziego przyjęła ich w cieniastym salonie swego domu i wysłuchiwała argumentów w milczeniu i ze spuszczonej oczyma, jak miała w zwyczaju. Od trzech dni jej męża nie było w domu, siedział zamknięty w swoim biurze, czekając z niedorzeczną zaciekłością na Nicolasa Vidala. Nie wyglądając przez okno i tak wiedziała o wszystkim, co działo się w miasteczku, ponieważ do obszernych pokoi jej domu przedostawały się także odgłosy długiej męki. Dona Casilda poczekała, aż goście odejdą, ubrała dzieci w świąteczne ubranka i wyszła z nimi z domu, kierując się w stronę placu. Niosła koszyk z jedzeniem i dzbanek świeżej wody dla Smutnej Juany. Strażnicy spostrzegli ją, gdy wyszła zza rogu, i odgadli jej zamiary. Mieli jednak wyraźne rozkazy, więc zagroździ jej drogę, krzyżując karabiny, a gdy chciała przejść, obserwowana przez wyczekujący tłum, chwycili ją za ramiona, by do tego nie dopuścić. Wtedy dzieci zaczęły płakać.

Sędzia Hidalgo siedział u siebie w gabinecie naprzeciwko placu. Był jedynym mieszkańcem miasteczka, który nie zatkał sobie uszu woskiem, bo musiał być czujny i nasłuchiwał stukotu kopyt koni Nicolasa Vidala. Przez trzy dni i trzy noce znosił szloch swej ofiary i wyzwiska miotane przez zgromadzonych przed budynkiem mieszkańców, ale gdy dobiegły go głosy własnych dzieci, zrozumiał, że dotarł już do kresu wytrzymałości. Wyszedł z sądu wycieńczony, z trzydniowym zarostem na twarzy, z rozgorączkowanymi z bezsenności oczyma, przygnieciony ciężarem porażki. Przeszedł na drugą stronę ulicy, wszedł w czworobok placu i podszedł do żony. Popatrzyli na siebie ze smutkiem. Ona sprzeciwiła mu się po raz pierwszy od siedmiu lat i postanowiła to zrobić w obecności całego miasteczka. Sędzia Hidalgo wziął koszyk i dzbanek z rąk doñi Casildy i własnoręcznie otworzył klatkę, żeby uwolnić uwięzioną kobietę.

- Przecież wam mówiłem, że pęknie - roześmiał się Nicolas Vidal na wiadomość o tym, co się stało.

Ale nazajutrz jego triumfalny śmiech nabrał smaku goryczy, gdy powiadomili go, że Smutna Juana powiesiła się na lampie burdelu, w którym zmarnowała życie, bo nie mogła znieść wstydu z powodu tego, że jej jedyny syn zostawił ją bez pomocy w klatce na środku Plaza de Armas.

- Wybiła godzina sędziego - powiedział Vidal. Zamierzał wjechać nocą do miasteczka, zaskoczyć sędziego, zadać mu śmierć w jakiś wyszukany sposób i wrzucić do tej samej przeklętej klatki, żeby wszyscy, zbudziwszy się następnego dnia, mogli zobaczyć jego

zhańbione zwłoki. Dowiedział się jednak, że rodzina Hidalgo wyjechała do nadmorskiego uzdrowiska, żeby tam sędzia mógł przetrwać gorycz porażki.

Wiadomość o tym, że ścigają ich, żeby wziąć odwet, dotarła do sędziego Hidalgo w połowie drogi, w zajeździe, gdzie rodzina zatrzymała się na odpoczynek. Miejsce to nie zapewniało żadnej ochrony, chyba że stawiliby się w nim oddział żandarmerii. Sędzia wiedział jednak, że ma kilka godzin przewagi, a samochód jest szybszy od koni. Obliczył, że uda mu się dotrzeć do następnego miasteczka i uzyskać pomoc. Kazał żonie wsiadać z dziećmi do samochodu, docisnął pedał gazu i ruszył szosą. Powinien dojechać do celu z dużym zapasem czasu, było jednak zapisane, że tego właśnie dnia Nicohis Vidal spotka kobietę, przed którą uciekał całe życie.

Serce sędziego Hidalgo, wycieńczone nocami bez snu, wrogością mieszkańców, panującą duchotą i napięciem wywołanym ucieczką dla ocalenia rodziny, szarpnęło się w piersi i bezgłośnie pękło. Samochód wypadł z szosy, przekoziołkował kilka razy i zatrzymał się na boku. Minęło kilka minut, nim dona Casilda zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Często wyobrażała sobie, że może zostać wdową, bo przecież mąż był już niemal starcem, nie sądziła jednak, że zostawi ją na łasce nieprzyjaciół. Myśl ta nie zaprzętnęła jej na długo, kobieta rozumiała, że musi działać bezzwłocznie, żeby uratować dzieci. Przebiegła wzrokiem okolicę, w jakiej się znajdowała, i o mało nie wybuchnęła niepoczonym płaczem, bo na tym rozległym pustkowiu, spalonym przez niemiłosierne słońce, nie widać było żadnych ludzkich śladów, wyłącznie dzikie pagórki i wypłowiałe od słońca niebo. Gdy jednak rozejrzała się po raz drugi, na jednym ze zboczy dostrzegła ciemny wylot groty i tam właśnie rzuciła się biegiem z dwojgiem dzieci w ramionach i trzecim uczepionym matczynej spódnicy.

Casilda obróciła trzy razy, wnosząc dzieci jedno po drugim na wierzchołek wzniesienia. Była tam jaskinia, jakich wiele w okolicznych górach. Obejrzała wnętrze, żeby upewnić się, że nie ma tu swego legowiska żadne zwierzę, umieściła w środku dzieci i pocałowała je bez jednej łzy.

- Za kilka godzin przyjdą tu po was żandarmi. Do tego czasu nie wychodźcie pod żadnym pozorem, nawet gdybyście słyszeli, że krzyczę. Zrozumieliście? - przykazała.

Dzieci skuliły się przerażone, a matka zesłała w dół zbocza, rzucając im ostatecznie pożegnalne spojrzenie. Wróciła do samochodu, zamknęła mężowi oczy, otrzepała ubranie, poprawiła włosy i usiadła, żeby czekać. Nie wiedziała, z ilu ludzi składa się banda Nicolasa Vidala, ale modliła się, żeby było ich wielu, bo dłużej wtedy potrwa, nim się nią nasycą. Zebrała wszystkie siły i zastanawiała się, jak długo będzie umierać, jeśli dołoży wszelkich starań, by umierać powoli. Modliła się, aby jej ciało nie odmówiło posłuszeństwa, żeby wytrzymać jak najdłużej i zyskać na czasie.

Nie musiała długo czekać. Wkrótce dostrzegła tuman kurzu na horyzoncie, usłyszała galop konia i mocno zacisnęła zęby. Ze zdziwieniem zobaczyła, że zjawił się tylko jeden jeździec, który zatrzymał się kilka metrów przed nią z bronią w ręku. Twarz miał naznaczoną bliznami po ostrzu noża i dzięki temu rozpoznała Nicolasa Vidala. Postanowił ruszyć w pościg za sędzią Hidalgo bez swoich kompanów, bo to sprawa osobista, którą powinni załatwić we dwóch. Rozumiała, że będzie musiała zdobyć się na coś dużo trudniejszego niż powolne umieranie.

Bandycie wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że jego wróg umknął kary i spał spokojnie śmiertelnym snem, ale była tam jeszcze jego żona, zanurzona w połyskującym świetle. Zeskoczył z konia i zbliżył się do niej. Nie spuściła oczu ani nie poruszyła się, a on zatrzymał się zdumiony, bo po raz pierwszy ktoś rzucił mu wyzwanie bez cienia strachu. Przez kilka długich jak wieczność sekund mierzyli się wzrokiem w milczeniu, oceniając nawzajem swoje siły i własną wytrwałość, aż zgodzili się, że każde ma przed sobą godnego siebie przeciwnika. Nicolas Vidal schował rewolwer, a Casilda uśmiechnęła się.

Żona sędziego znośnie nizała chwilę za chwilą z tych kilku następnych godzin. Użyła wszystkich sposobów, znanych od zarania ludzkości, oraz innych jeszcze, jakie wymyśliła na oczekaniu, wiedzona koniecznością, a wszystko po to, żeby dać temu mężczyźnie największą rozkosz. Nie tylko zajmowała się jego ciałem niczym doświadczona kurtyzana, mając na uwadze każde włókno spragnione błogich doznań, użyła też w służbie sprawy całej subtelności swej duszy. Oboje pojęli, że grają o życie i ta świadomość przydała ich spotkaniu niebywałego napięcia. Nicolas Vidal uciekał przed miłością od chwili narodzin, nie wiedział, co to zażyłość, czułość, uśmiech posłany ukradkiem, uczta zmysłów, radosne zadowolenie kochanków. Z każdą minutą oddział żandarmerii był bliżej, a wraz z nim pluton egzekucyjny. Każda minuta zbliżała jednak Nicolasa Vidala do tej cudownej kobiety i dlatego dawał jej czas z ochotą w zamian za dary, jakie ona mu ofiarowywała. Casilda była wstydliva i nieśmiała. Żyła dotąd u boku surowego starca, przed którym nigdy nie stanęła naga. W trakcie tego niezapomnianego popołudnia cały czas pamiętała, że chce zyskać na czasie, jednak nadszedł moment, w którym się zatraciła, olśniona własną zmysłowością, i poczuła do tego mężczyzny coś na kształt wdzięczności. Gdy usłyszała z daleka zbliżających się żandarmów, poprosiła go więc, by uciekał i skrył się w górach. Ale Nicolas Vidal wolał wziąć ją po raz ostatni, aby przepowiednia się spełniła.

## Droga na północ

Droga z wioski do stolicy zajęła Claveles Picero i jej dziadkowi Jesusowi Dionisio Picero aż trzydzieści osiem dni. Przeszli na piechotę przez podmokłe równiny, gdzie roślinność kisiła się w wilgoci niczym w wiecznej zupie z błota i potu, wspinali się pod górę i schodzili po zboczach wzniesień między nieruchomymi iguanami i pochylonymi palmami, przemierzali plantacje kawy, wymijając zarządców, jaszczurki i węże, wędrowali pod liśćmi tytoniu pośród fosforyzujących moskitów i gwiazdnych motyli. Szli prosto do miasta, trzymając się skraju szosy, ale kilka razy musieli nadłożyć spory kawał drogi, żeby ominąć obozowiska żołnierzy. Czasami mijający ich kierowcy ciężarówek zwalniali, zapatrzeni w plecy metyskiej królowny i jej długie czarne włosy, ale wzrok starca natychmiast wybijał im zamiar zaczepki z głowy. Dziadek i wnuczka nie mieli pieniędzy, a nie umieli żebrać. Gdy skończyły im się zapasy jedzenia w koszyku, szli dalej, karmiąc się tylko gniewem. Nocami owijali się w chusty i kładli spać pod drzewami ze zdrowaśką na ustach, żeby myśli lepiej skupić na czekającym ich zadaniu i nie bać się pum ani jadowitych jaszczurek. Budzili się cali pokryci niebieskimi żukami. Z nastaniem pierwszego brzasku, gdy okolicę spowijały jeszcze ostatnie mgiełki snu, a ludzie i zwierzęta nie zdążyli jeszcze zacząć swoich dziennych spraw, oni znowu ruszali w drogę, by wykorzystać poranny chłód. Do stolicy weszli Hiszpańską Drogą, pytając napotkanych na ulicach ludzi, gdzie znajdą Sekretarza do spraw Społecznego Dobrobytu. Jesusowi Dionisio grzechotały już wówczas wszystkie stare kości, a na sukience Claveles wypłwiały kolory, miała twarz lunatyczki, na którą ktoś rzucił zły urok, a stuletnie zmęczenie przyćmiło blask jej dwudziestu lat.

Jesus Dionisio był najbardziej znanym rzemieślnikiem w okolicy, podczas długiego życia wyrobił sobie sławę, którą się nie chepił, bo uważał, że talent jest darem bożym i Bóg jest jego jedynym zarządcą. Zaczynał jako garncarz i nadal lepił garnki z gliny, ale sławę zawdzięczał drewnianym świątkom i małym figurkom w butelkach. Świętych kupowali wieśniacy do domowych kapliczek, a figurki turyści w stolicy. Praca była żmudna, wymagała dobrego oka, czasu i serca, jak tłumaczył dzieciakom, które tłoczyły się wokół niego, żeby podpatrywać, jak pracuje. Szczypcami wkładał do butelek pomalowane patyczki, z odrobiną



kleju na końcach, które sklejał ze sobą i cierpliwie czekał, aż przyschną, a dopiero potem wsuwał następną część. Specjalizował się w Drogach Krzyżowych: pośrodku wielki krzyż, na którym wisiał wyrzeźbiony w drewnie Chrystus, z gwoździami wbitymi w ciało, ciernistą koroną i aureolą ze złożonego papieru, a po jego dwóch stronach dwa inne krzyże, bardziej zwyczajne, dla łotrów, którzy zawisli na Golgocie. Na Boże Narodzenie wyrabiał kołyski z Dzieciątkiem Jezus, z gołębiami wyobrażającymi Ducha Świętego oraz gwiazdami i kwiatami, które symbolizowały Chwałę. Nie umiał czytać ani podpisać się imieniem, bo w jego dzieciństwie nie było w tych stronach szkół. Potrafił jednak skopiować z mszału kilka zdań po łacinie, żeby ozdabiać nimi cokoły swoich świętych figurek. Mówił, że rodzice nauczyli go przestrzegać praw kościelnych i ludzkich, co jest cenniejsze niż wykształcenie. Ze swej sztuki nie mógł utrzymać domu, więc dorabiał hodując rasowe koguty, odpowiednie do walki. Koguty wymagały dużej troski, karmił je podając wprost do dziobów papkę składającą się z rozgniecionych ziaren zbóż zmieszanych ze świeżą krwią, jaką dostawał z rzeźni, musiał je iskać własnymi rękami, wietrzyć im pióra, polerować grzebienie i trenować je codziennie, by nie zabrakło im odwagi w godzinie próby. Czasami wybierał się do innych wiosek, żeby popatrzeć, jak walczą, nigdy jednak nie obstawiał, bo uważał, że łatwo zarobione pieniądze to diabelska sprawka. W sobotnie wieczory chodził z wnuczką Claveles posprzątać kościół przed niedzielną ceremonią. Ksiądz, który objeżdżał okoliczne osady na rowerze, nie zawsze docierał w porę, ale wierni i tak się gromadzili, żeby modlić się i śpiewać. Jesus Dionisio zajmował się także zbieraniem i przechowywaniem datków rzucanych na tacę, a przeznaczonych na utrzymanie świątyni i pomoc dla księdza.

Picero miał ze swoją żoną, Amparo Medina, trzynaścioro dzieci, z których pięcioro przetrwało w dzieciństwie wszystkie choroby i wypadki. Gdy oboje myśleli, że wreszcie skończyli wychowywanie dzieci, bo wszystkie już dorosły i poszły z domu, najmłodszy syn przyjechał na przepustkę z wojska z paczuszką owiniętą gałganami i położył ją na kolanach Amparo. Gdy rozwinęli gałgany, zobaczyli noworodka - dziewczynkę ledwie żywą po trudach podróży i z braku matczynego mleka.

- Skądęś ją wziął, synu? - spytał Jesus Dionisio Picero.

- Zdaje się, że to moja krew - odpowiedział młodzieniec, nie odważając się spojrzeć na ojca i ugniatając spoconymi palcami czapkę od munduru.

- A jeśli wolno zapytać, to gdzie się podziała matka?

- Nie wiem. Zostawiła maleńką przy bramie koszar razem z karteczką, że to ja jestem ojcem. Sierżant kazał mi ją zanieść do zakonnicy, bo niby nie można udowodnić, że ona moja. Ale mnie jej szkoda, nie chcę, żeby była sierotą ...

- Kto to widział, żeby matka porzuciła niemowlę.

- Tak to jest w mieście.

- Widać tak musi być. A jak się biedactwo nazywa?

- Tak, jak ją ojciec ochrzci, ale gdyby mnie miał ojciec pytać, to mnie się podoba Claveles\*, bo jej matka najbardziej lubiła ten kwiat.

Jesus Dionisio poszedł wydoić kozę, a Amparo wzięła się do mycia małej oliwą, modląc się przy tym do Madonny, by dała jej siły potrzebne na wychowanie następnego dziecka. Gdy najmłodszy syn zobaczył, że niemowlę zostaje w dobrych rękach, pożegnał się pełen wdzięczności, zarzucił torbę na ramię i wrócił do koszar, żeby odsłużyć czas, jaki mu jeszcze pozostał.

Claveles wyrastała w domu dziadków. Była sprytną i krnąbrną dziewczynką, nie można jej było opanować, na nic zdawały się próby przemawiania jej do rozsądku albo egzekwowania surowej władzy rodzicielskiej, ulegała jednak natychmiast, gdy odwoływano się do jej uczuć. Wstawała o świcie i szła pięć mil na piechotę do szopy na pastwiskach, w

---

\* *Clavel* znaczy po hiszpańsku goździk (przyp. tłum.).

której nauczycielka zbierała okoliczne dzieci, by wpoić im podstawy wiedzy. Pomagała babci w zajęciach domowych, a dziadkowi w warsztacie, chodziła w góry po fajansową glinę i myła mu pędzle, ale nigdy nie wykazała zainteresowania jego sztuką. Któregoś dnia o świcie, gdy Claveles miała dziewięć lat, okazało się, że Amparo Medina, która od dawna kurczyła się coraz bardziej i zmalała do rozmiarów dziecka, leży w łóżku całkiem już zimna. Zmarła wycieńczona wielokrotnymi porodami i latami ciężkiej pracy. Jej mąż wymienił najlepszego koguta na kilka desek i zrobił dla niej trumnę ozdobioną scenami biblijnymi. Wnuczka ubrała ją do trumny w habit świętej Bernadety, białą tunikę z błękitnym sznurem w pasie, tym samym, który miała na sobie podczas Pierwszej Komunii, a który świetnie pasował na wychudzone ciało staruszki. Jesus Dionisio i Claveles wyruszyli z domu w stronę cmentarza, ciągnąc wózek, na którym jechała ozdobiona papierowymi kwiatami trumna. Po drodze przyłączali się do nich sąsiedzi, mężczyźni i kobiety z przykrytymi głowami, którzy towarzyszyli trumnie w milczeniu.

Stary rzeźbiarz i jego wnuczka zostali w domu sami. Na znak żałoby namalowali na drzwiach wielki krzyż i długie lata nosili przyszytą do rękawa czarną wstążkę. Dziadek starał się zastąpić żonę w codziennych zajęciach, jednak nic już nie było tak jak dawniej. Nieobecność Amparo Mediny powaliła go w środku niczym złośliwa choroba, poczuł, jak rzadnie mu krew, zacierają się wspomnienia, kości stają się miękkie jak bawełna, a duszę napęniają wątpliwości. Po raz pierwszy w życiu zbuntował się przeciw przeznaczeniu, pytając, dlaczego zabrano ją z tego świata bez niego. Od tej chwili nie mógł już rzeźbić szopek, z jego rąk wychodziły tylko Drogi Krzyżowe i ubrani w żałobne stroje święci męczennicy, do których Claveles przyklejała napisy ze wzniosłymi suplikacjami do Opatrzności Boskiej, dyktowanymi przez dziadka. Te figurki nie cieszyły się takim samym wzięciem wśród turystów w mieście, którzy woleli wyzywające kolory, jakie - nie wiedząc czemu - były przez nich kojarzone z temperamentem tubylczej ludności, nie miały też wzięcia wśród miejscowych, którzy woleli adorować wesołe święte postacie, bo jedynym dla nich pocieszeniem na ziemskie smutki była myśl, że w niebie zawsze jest święto. Jesus Dionisio Picero nie mógł prawie nic sprzedać, a mimo to nadal rzeźbił drewniane figurki, bo przy tym zajęciu godziny upływały mu bez zmęczenia, jakby ciągle było rano. Jednak ani praca, ani wnuczka nie były dla niego pociechą i zaczął pić po kryjomu, żeby nikt nie dowiedział się o tym wstydzie. Gdy się upijał, wzywał żonę i czasami nawet udawało mu się ją zobaczyć przy palenisku w kuchni. Bez troskliwego oka Amparo Mediny dom stawał się coraz bardziej zaniedbany, pochorowały się kury, trzeba było sprzedać kozę, wysechł ogród warzywny i wkrótce dziadek i wnuczka stali się najbiedniejszą rodziną w okolicy. Niedługo potem Claveles poszła do pracy do sąsiedniego miasteczka. W wieku czternastu lat jej ciało było już dorosłe i całkowicie ukształtowane, a ponieważ nie miała skóry miedzianego koloru ani mocno wystających kości policzkowych jak pozostali członkowie rodziny, Jesus Dionisio Picero doszedł do wniosku, że jej matka musiała być białą kobietą, co tłumaczyło ów niesłychany fakt, że porzuciła niemowlę pod bramą koszar.

Po upływie półtora roku Claveles Picero wróciła do domu z plamami na twarzy i wydatnym brzuchem. Zastała dziadka z nieobecny wzrokiem, mówiącego do siebie i zarośniętego brudem. Za jedyne towarzystwo służyła mu sfora wygłodniałych psów i dwa nędzne koguty, błakające się po patio. Wokół panował straszny bałagan. Starzec przestał się zajmować swoim kawałkiem ziemi i całymi godzinami rzeźbił figurki z obłąkańczym uporem, choć dawnego talentu zostało mu już bardzo niewiele. Rzeźby były powykoślawiane i posępne, trudno było się przy nich modlić i trudno je było sprzedać. Całe ich sterty leżały w różnych kątach domu niczym kupy chrustu do spalenia. Jesus Dionisio Picero tak bardzo się zmienił, że nawet nie usiłował wygłosić do wnuczki mowy o tym, jaki to grzech wydawać na świat dzieci z nieznanego ojca, a prawdę powiedziawszy, zdawał się nie dostrzegać jej ciąży. Objął ją, drżąc ze wzruszenia, i nazwał Amparo.

- Przyjrzyj mi się, dziadku, jestem Claveles i przyszłam, żeby tu zostać, bo jest dużo do zrobienia - powiedziała dziewczyna i zabrała się do rozpalania pod kuchnią, by ugotować trochę ziemniaków i zagrzać wodę na kąpiel dla staruszka.

W ciągu paru miesięcy Jesus Dionisio Picero powrócił do życia, wydobył się z rozpacz, przestał pić, znowu pielęgnował ogród, zajmował się kogutami i sprzątał w kościele. Ciągłe jeszcze rozmawiał ze swoją zmarłą żoną i czasami mylił wnuczkę z babką, ale znowu potrafił się śmiać. Obecność Claveles i miła sercu świadomość, że wkrótce pojawi się w domu nowa istota, sprawiły, że wróciło mu upodobanie do kolorów i powoli przestał malować swoich świętych na czarno i stroił ich w szaty bardziej odpowiednie na ołtarz. Syn Claveles opuścił brzuch matki za dnia, o szóstej po południu, i spoczął w spracowanych rękach pradziadka, który miał w tych sprawach wielkie doświadczenie, bo pomagał przy porodach trzynaściora dzieci.

- Będzie się nazywał Jan - postanowił nieoczekiwany położnik, gdy tylko przeciął pępowinę i zawiązał swego potomka w pieluchę.

- Dlaczego Jan? W naszej rodzinie nie ma żadnego Jana, dziadku.

- Dlatego że Jan był najlepszym przyjacielem Jezusa, a on będzie moim przyjacielem.

A jak miał ojciec na nazwisko?

- Niech dziadek wbije sobie do głowy, że ojca nie ma!

- Więc Picero. Jan Picero.

Dwa tygodnie po narodzinach prawnuka Jesus Dionisio Picero zaczął zbierać drewno na szopkę, pierwszą od śmierci Amparo Mediny.

Claveles i jej dziadek szybko zdali sobie sprawę, że dziecko nie jest normalne. Spojrzenie miało bystre i poruszało się jak każde inne niemowlę, ale nie reagowało, kiedy się do niego mówiło, potrafiło leżeć godzinami nieruchomo, mając otwarte oczy. Odbyli wyprawę do szpitala i tam uzyskali potwierdzenie, że chłopiec jest głuchy, a więc nie będzie także mówił. Lekarz dodał jeszcze, że dziecko nie ma przed sobą dobrych widoków, chyba że miałoby szczęście i zostało umieszczone w pewnej instytucji w mieście, gdzie wychowaliby je i przyuczyli do zawodu, by mogło na siebie uczciwie zarobić i nie być na zawsze ciężarem dla innych.

- Mowy nie ma, Jan zostanie z nami - postanowił Jesus Dionisio Picero, nie spoglądając nawet na Claveles, która szlochała z głową przykrytą szalem.

- Co my teraz zrobimy, dziadku? - spytała, gdy wychodzili.

- Wychowamy go.

- Ale jak?

- Cierpliwie, tak samo jak się trenuje koguty do walki albo robi się Drogi Krzyżowe w butelkach. Trzeba mu trochę uwagi, czasu i serca.

I tak zrobili. Nie zważając na to, że chłopiec nie mógł ich usłyszeć, mówili do niego bez przerwy, śpiewali mu, kładli przy nastawionym na cały regulator radiu. Dziadek chwycił dziecięcą rączkę i przyciskał ją mocno do swojej piersi, żeby mały poczuł wibrację jego głosu podczas mówienia, zachęcał go do pokrzykiwania i przy każdym mruknięciu dziecka okazywał swoją radość gwałtowną gestykulacją. Gdy tylko malec nauczył się siedzieć, umieścił go w szufladzie obok siebie, dookoła położył patyczki, orzechy, kostki, kawałki materiału i kamyczki do zabawy, a trochę później, gdy nauczył się nie wkładać sobie wszystkiego do buzi, podawał mu glinianą kulę do lepienia. Claveles wychodziła do miasteczka, ilekroć udało jej się zdobyć jakąś pracę, i zostawiała wtedy dziecko po opieką Jezusa Dionisio. Mały chodził za starcem krok w krok, niczym cień, rzadko się rozstawali. Wytworzyła się między nimi mocna przyjaźń, która usunęła w cień ogromną różnicę wieku i barierę milczenia. Jan przyzwyczał się do odczytywania zamiarów pradziadka z jego min i gestów i nabrał w tym takiej wprawy, że w chwili gdy nauczył się chodzić, potrafił już czytać w jego myślach. Jesus Dionisio opiekował się malcem jak matka. Gdy jego dłonie wprawnie rzeźbiły najdrobniejsze

szczegóły, instynktownie śledził każdy krok dziecka, zwracając uwagę na najmniejsze niebezpieczeństwo, choć interweniował tylko w ostateczności. Nie podchodził, żeby pocieszyć, gdy malec się przewrócił, ani nie biegł mu z pomocą, gdy miał jakieś kłopoty i w ten sposób przyzwyczaił go do tego, by sam sobie radził. Gdy jego rówieśnicy stąpali jeszcze niepewnie niczym szczenięta, Jan Picero potrafił już sam jeść, ubrać się i umyć, nakarmić ptactwo, przynieść wodę ze studni, umiał też wystrugać najprostsze kawałki drewnianych figurek, mieszać kolory i przygotowywać butelki na Drogę Krzyżową.

- Trzeba go posłać do szkoły, żeby nie był takim prostakiem jak ja - powiedział Jesus Dionisio Picero, gdy zbliżały się siódme urodziny chłopca.

Claveles zaczęła się rozpytywać, ale poinformowano ją, że jej syn nie może chodzić do normalnej szkoły, bo żadna nauczycielka nie zechce zgłębiać przepastnych otchłani samotności, w jakich jest zanurzony.

- Trudno, dziadku, będzie zarabiał na życie wyrabiając figurki, tak jak dziadek - poddała się Claveles.

- Z tego nie można wyżyć.

- Nie wszyscy mogą się uczyć, dziadku.

- Jan jest głuchy, ale nie głupi. Jest całkiem rozgarnięty i może stąd wyjechać. Życie na wsi jest dla niego za ciężkie.

Claveles była przekonana, że dziadek do reszty stracił rozum albo też miłość do dziecka sprawiała, że nie dostrzega jego upośledzenia. Kupiła elementarz i podjęła wysiłek, by przekazać synkowi swoją niewielką wiedzę, jednak nie udało jej się wytłumaczyć małemu, że te czarne robaczki przedstawiają dźwięki i w końcu straciła cierpliwość.

W tym czasie pojawili się wolontariusze od pani Dermoth. Byli to młodzi, pochodzący z miasta ludzie, którzy przemierzali najodleglejsze rejony kraju, mówiąc o projekcie pomocy humanitarnej dla biednych. Tłumaczyli, że w jednych miejscach rodzi się za dużo dzieci, których rodzice nie potrafią wyżywić, podczas gdy gdzie indziej żyje wiele małżeństw bezdzietnych. Ich organizacja stawiała sobie za cel złagodzenie tej nierównowagi. Przyjechali do chatki Picerów z mapą Ameryki Północnej i kolorowymi broszurami, w których można było obejrzeć fotografie śniadych dzieci u boku jasnowłosych rodziców w luksusowym otoczeniu, z palącym się na kominku ogniem, wielkimi, kudłatymi psami, bożonarodzeniowymi choinkami ozdobionymi srebrnym szronem i bombkami. Po szybkim sporządzeniu inwentarza biedy u Picerów opowiedzieli im o dobroczynnej akcji pani Dermoth, która wyszukuje najbardziej potrzebujące dzieci i oddaje je do adopcji bogatym rodzinom, by ocalić biedactwa od życia w nędzy. W odróżnieniu od innych instytucji stawiających sobie ten sam cel pani Dermoth zajmuje się wyłącznie dziećmi upośledzonymi od urodzenia albo okaleczonymi w wyniku wypadków lub chorób. Na Północy mieszka wiele małżeństw - dobrych chrześcijan, ma się rozumieć - gotowych takie dzieci przyjąć. Mają wszelkie niezbędne środki, żeby im pomóc. Tam, na Północy, są kliniki i szkoły, w których dokonuje się cudów, głuchoniemych na przykład uczy się czytać z ruchów ust i mówić, potem posyła do specjalnych szkół, gdzie otrzymują pełne wykształcenie, a niektórzy zapisują się nawet na uniwersytet i kończą jako adwokaci albo lekarze. Organizacja pomogła wielu dzieciom. Picerowie mogli obejrzeć fotografie, proszę spojrzeć, jakie są zadowolone, jakie zdrowe, widać je tu pośród zabawek, w tych domach bogaczy. Ochotnicy niczego nie mogą obiecać, ale gotowi są zrobić wszystko, co w ich mocy, żeby jedno z tych małżeństw wzięło do siebie Jana i stworzyło mu szansę, jakich matka dać mu nie może.

- Nie należy pozbywać się dzieci, choćby nie wiem co - powiedział Jesus Dionisio Picero, przytulając główkę chłopca do swej piersi, żeby po wyrazie twarzy przybyszów nie domyślił się powodu rozmowy.

- Nie bądź egoistą, człowieku, pomyśl, proszę, o tym, co dla niego jest lepsze. Nie widzi pan, że tam będzie miał wszystko? Pan nie ma na lekarstwa dla niego, nie może go pan

posłać do szkoły. Co z niego będzie? Biedaczek nie ma nawet ojca.

- Ale ma matkę i pradiadka – odpalił stary.

Goście wyszli, zostawiwszy na stole broszurki pani Dermoth. W ciągu następnych dni Claveles oglądała je i dziwiła się ciągle, porównując te obszerne i pięknie urządzone domy ze swoją skromną chatką z desek, przykrytą słomą, i z klepiskiem zamiast podłogi. Porównywała też tych miłych i dobrze ubranych ludzi ze sobą, wiecznie zmęczoną i bosą, porównywała tamte otoczone zabawkami dzieci ze swoim synkiem ugniatającym glinę.

Tydzień później Claveles spotkała wolontariuszy na targu, gdzie poszła sprzedawać rzeźby dziadka, i usłyszała znowu te same argumenty, że taka szansa nie powtórzy się po raz drugi, że ludzie adoptują zwykle zdrowe dzieci, nigdy opóźnione w rozwoju, że ludzie z Północy kierują się szlachetnymi pobudkami, niech się nad tym dobrze zastanowi, bo będzie całe życie żałować, że pozbawiła syna tylu dobrodziejstw, skazując go w zamian na cierpienie i nędzę.

- Dlaczego biorą tylko chore dzieci? - spytała Claveles. – Bo to prawie święci Jankesi. Nasza organizacja zajmuje się tylko najcięższymi przypadkami. Nam byłoby łatwiej umieszczać w rodzinach zdrowe dzieci, ale chcemy pomagać tym opuszczonym przez wszystkich.

Claveles Picero widziała jeszcze wolontariuszy kilka razy. Zawsze zjawiali się, kiedy dziadka nie było akurat w domu. Pod koniec listopada pokazali jej portret pary w średnim wieku, stojącej przed drzwiami białego domu, otoczonego parkiem i powiedzieli, że pani Dermoth znalazła właśnie idealnych rodziców dla jej syna. Pokazali jej na mapie miejsce, gdzie mieszkają, wyjaśnili, że w zimie leży tam śnieg i dzieci lepią bałwany, jeżdżą na łyżwach i na nartach, że jesienią lasy sprawiają wrażenie złocistych i że latem można pływać w jeziorze. Małżeństwo tak się cieszyło możliwością adopcji małego, że już mu nawet kupili rower. Pokazali także zdjęcie roweru. A do tego trzeba jeszcze dodać, że dają Claveles dwieście pięćdziesiąt dolarów, dzięki czemu będzie mogła wyjść za mąż i mieć zdrowe dzieci. Szaleństwem byłoby to odrzucić.

Dwa dni później, korzystając z tego, że Jesus Dionisio wyszedł, żeby posprzątać w kościele, Claveles Picero ubrała syna w najlepsze spodnie, na szyi zawiesiła mu medalik od chrztu i wytłumaczyła mu w języku gestów, wymyślonym specjalnie dla chłopca przez dziadka, że nie zobaczą się przez długi czas, może już nigdy więcej, ale że to wszystko dla jego dobra, że pojedzie w takie miejsce, gdzie codziennie będzie miał jedzenie i będzie dostawał prezenty na urodziny. Zaprowadziła go pod adres wskazany przez wolontariuszy, podpisała jakiś papier, zlecając opiekę nad Janem pani Dermoth, i szybko wybiegła, żeby syn nie widział jej łez i sam nie zaczął też płakać.

Kiedy Jesus Dionisio Picero dowiedział się, co się stało, poszarzał na twarzy i zaniemówił z wrażenia. Chwytał i ciskał na ziemię wszystko, co znalazło się w jego zasięgu, nie wyłączając świętych figur w butelkach, a potem rzucił się na Claveles, bijąc ją z siłą nieoczekiwaną u kogoś w jego wieku i o tak spokojnym charakterze. Jak tylko odzyskał mowę, powiedział, że jest taka sama jak jej matka, pozbyła się własnego dziecka, czego nie robią nawet dzikie zwierzęta i błagał ducha Amparo Mediny, żeby dokonał zemsty na swej niegodziwej wnuczce. W następnych miesiącach nie odezwał się do Claveles ani słowem, otwierał usta tylko do jedzenia i żeby miotać przekleństwa, podczas gdy jego dłonie zręcznie posługiwały się narzędziami do obróbki drewna. Picerowie przyzwyczaili się do życia w ponurym milczeniu, każde zajmowało się tym, co do niego należało. Ona gotowała i stawiała mu jedzenie na stole, on jadł ze wzrokiem utkwionym nieruchomo w talerzu ... Razem dbali o ogród warzywny i o zwierzęta, każde wykonywało zwykłe, codzienne czynności w doskonałej zgodzie z drugim, bez żadnych zgrzytów. W dni targowe ona brała butelki i drewniane figurki, wychodziła, żeby je sprzedać, wracała z jakimiś zakupami, a resztę pieniędzy wkładała do dzbanka. Ale w niedziele chodzili oddzielnie na mszę, jak nieznajomi.

Może spędziliby resztę życia, nie rozmawiając ze sobą, gdyby w połowie lutego nazwisko pani Dermoth nie pojawiło się znowu. Dziadek usłyszał wiadomość w radiu, kiedy Claveles prała ubrania na patio: najpierw komentarz lektora, a potem potwierdzenie wiadomości przez Sekretarza do spraw Społecznego Dobrobytu we własnej osobie. Z rozdartym sercem wychylił się przez drzwi i zaczął głośno wzywać Claveles. Dziewczyna odwróciła się, a zobaczywszy go tak roztrzęsionego, pomyślała, że umiera i pobięła go ratować.

- Zabili go, dobry Jezu, na pewno go zabili! - jęczał starzec, padając na kolana.

- Kogo, dziadku?!

- Jana ... - i dusząc się od szloch, powtórzył jej słowa

Sekretarza do spraw Społecznego Dobrobytu, że przestępcza organizacja, kierowana przez niejaką panią Dermoth, handlowała indiańskimi dziećmi. Brali chore dzieci albo takie z bardzo ubogich rodzin, obiecując, że oddadzą je do adopcji. Przez jakiś czas poddawali je dożywianiu, a gdy ich stan ogólny się poprawiał, zabierali do nielegalnej kliniki, gdzie były operowane. Dziesiątki niewinnych istot stało się ofiarami banku organów, wycinali im oczy, nerki, wątrobę i inne części ciała, które potem wysyłano do transplantacji do Nowego Jorku. Dodał, że w jednym z domów, gdzie dożywiano ofiary, odnaleziono dwadzieścioro ośmiorgo dzieci czekających na swoją kolej, że interweniowała policja i że rząd nadal prowadzi dochodzenie w celu zlikwidowania tego przerażającego handlu ludzkim towarem.

W ten sposób zaczęła się długa podróż Claveles i Jesusa Dionisio Picero do stolicy, żeby porozmawiać z Sekretarzem do spraw Społecznego Dobrobytu. Chcieli go z całą pokorą zapytać, czy między ocalałymi dziećmi jest ich chłopiec i czy nie mogliby go odzyskać. Z tamtych pieniędzy zostało im bardzo mało, ale są gotowi pracować jak niewolnicy dla pani Dermoth tak długo, jak to będzie konieczne, aż spłacą te dwieście pięćdziesiąt dolarów do ostatniego centa.

## Gość nauczycielki

Kiedy nauczycielka Ines weszła do Perły Wschodu, było tam jeszcze zupełnie pusto. Podeszła do sklepowej lady, na której Riad Halabi związał właśnie barwną tkaninę w kwiaty, i oświadczyła, że przed chwilą w swoim pensjonacie poderżnęła gardło jednemu z gości. Sklepiarz wyciągnął z kieszeni spodni białą chusteczkę i przykrył nią sobie usta.

- Co powiedziałaś, Ines?

- To, co słyszałeś, Turku.

- Nie żyje?

- Jasna sprawa.

- I co zamierzasz zrobić?

- Właśnie ciebie chciałam o to spytać - powiedziała, poprawiając sobie kosmyk włosów.

- Lepiej zamknę sklep - westchnął Riad Halabi.

Żadne z nich nie pamiętało, jak długo się znali, choć obojgu wrył się w pamięć dzień, w którym się zaprzyjaźnili. On był wówczas jednym z tych wędrownych sprzedawców, którzy przemierzają drogi, oferując swoje towary, pielgrzymem bez busoli ani ustalonego kierunku podróży, arabskim imigrantem z fałszywym paszportem tureckim, zmęczonym samotnikiem, z zajęczą wargą, wypatrującym miejsca, by przysiąść gdzieś w cieniu. Ona była jeszcze młodą kobietą, z jędrnymi pośladkami i silnymi ramionami, jedyną nauczycielką w miasteczku, matką dwunastoletniego syna, owocu przelotnej namiętności. Syn był dla nauczycielki pępkiem świata, troszczyła się o niego z czułością, lecz powstrzymywała się przed rozpieszczaniem, strofując małego tak samo jak inne dzieci w szkole, żeby nikt nie

mógł powiedzieć, że źle go wychowuje i żeby wykorzystać odziedziczoną po ojcu krnąbrność i uczynić z niego chłopca o jasnej myśli i dobrym sercu. Tego wieczoru, gdy Riad Halabi pojawił się w Agua Santa, grupka chłopców przyniosła ciało syna nauczycielki Ines na skleconych naprędce noszach. Chłopak wszedł na teren cudzej posiadłości, żeby zebrać owoce mango, a właściciel, człowiek nie pochodzący z tych stron i przez nikogo tu nie znany, wypalił ze strzelby. Chciał napędzić mu strachu, a zrobił dziurę w czole, przez którą uciekło z chłopca życie. W tamtym właśnie dniu wędrowny handlarz odkrył w sobie skłonności przywódcze i w zaskakujący dla siebie samego sposób znalazł się nagle w samym środku wydarzeń. Pocieszał matkę, organizował pogrzeb, jakby był członkiem rodziny, i powstrzymywał ludzi, żeby nie rozszarpali winnego na kawałki. Zabójca zrozumiał tymczasem, że jeśli zostanie w miasteczku, trudno mu będzie ocalić własną skórę, więc uciekł z mocnym postanowieniem, by nigdy już tu nie wracać.

Nazajutrz Riad Halabi stanął na czele tłumu, który wprost z cmentarza ruszył do miejsca, gdzie zginął chłopiec. Mieszkańcy Agua Santa poszli tam, niosąc ze sobą owoce mango, które wrzucali przez okna, aż wypełnili nimi cały dom, od podłogi po sufit. W kilka tygodni słońce doprowadziło do fermentacji i pęknięcia owoców, z których wypływał gęsty sok, nasączając ściany złocistą krwią, słodkawym miąższem, zmieniając budynek w ja-kaś prahistoryczną skamielinę, ogromną, gnijącą bestię, umęczoną bezustanną, skwapliwą pracą larw i robaków gnilnych.

Śmierć chłopca, rola, jaką przyszło kupcowi odegrać w owych dniach, oraz serdeczne przyjęcie, z jakim spotkał się w Agua Santa rozstrzygnęły o jego dalszym życiu. Zapomniał o swoim losie nomady, został w miasteczku i otworzył sklep Perła Wschodu. Ożenił się, owdowiał, ożenił się po raz drugi i mieszkał tam nadal, ciesząc się autorytetem człowieka sprawiedliwego. Ines natomiast wykształciła kilka pokoleń dzieci z tą samą czułą troską, z jaką wychowywałyby własnego syna, aż wreszcie przygniotło ją zmęczenie i odeszła na emeryturę, ustępując miejsca innym nauczycielkom, które przybyły z miasta z całkiem nowymi podręcznikami. Zostawiwszy szkolne mury, poczuła, że dopada ją starość, a czas bardzo przyspiesza, dni gnają jeden za drugim, a ona nawet nie może spamiętać, na czym mijają jej godziny.

- Popadam w otępienie, Turku. Umieram, nie zdaję sobie z tego sprawy - zauważyła.

- Jesteś zdrowa jak ryba, Ines, tylko nie masz nic do roboty. Musisz znaleźć sobie jakieś zajęcie - odpowiedział Riad Halabi i podsunął jej pomysł, żeby w domu dobudować kilka pokoi i urządzić pensjonat.

- W miasteczku nie ma żadnego hotelu.

- Turystów też nie ma - odparła.

- Czyste łóżko i ciepłe śniadanie byłyby błogosławieństwem dla przyjeżdżających.

I tak też się stało, a z błogosławieństwa korzystali głównie kierowcy ciężarówek Kompanii Naftowej, bo gdy zmogło ich zmęczenie, a monotonia jazdy po szosie przyprawiała o halucynacje, zatrzymywali się na noc w pensjonacie.

Nauczycielka Ines była najbardziej szanowaną matroną w Agua Santa. Po kilkudziesięciu latach pracy w szkole zdobyła sobie moralne prawo, by wtrącać się w życie swoich uczniów i nawet ciągnąć ich za uszy, ilekroć uznała to za konieczne. Dziewczyny przedstawiały jej narzeczonych, żeby ich zaakceptowała, skłócone małżeństwa prosiły ją o pomoc, we wszystkich sprawach była doradczynią, sędzią i wyrocznią, z jej zdaniem liczono się bardziej niż ze zdaniem księdza, aptekarza albo komisarza policji. Nie było takich przeszkód, które by jej uniemożliwiły sprawowanie tej władzy. Kiedyś wpadła do więzienia, przedelfowała bez słowa przed nosem porucznika, zdjęła klucze z gwoździa wbitego w ścianę i wyciągnęła z celi jednego ze swoich uczniów, zamkniętego za burdy po pijanemu. Oficer chciał jej przeszkodzić, ale go odepchnęła i wyprowadziła chłopca z celi, trzymając mu rękę na karku. Gdy znaleźli się na ulicy, wymierzyła mu dwa siarczyste policzki i

zapowiedziała, że następnym razem własnoręcznie ściągnie mu spodnie i przetrzepie tyłek tak, że popamięta. Kiedy więc oświadczyła, że właśnie zabiła jednego ze swoich gości hotelowych, Riad Halabi nie wątpił ani przez chwilę, że mówi poważnie. Znali się zbyt dobrze. Wziął ją pod ramię, wyszli razem z Perły Wschodu i poszli dwie ulice dalej, do jej domu. Był to jeden z najokazalszych budynków w miasteczku, wzniesiony z drewna i suszonej na słońcu cegły, z obszernym daszkiem, pod którym wieszano hamaki w upalne sjeisty. Miał łazienki z bieżącą wodą i wentylatory we wszystkich pomieszczeniach. O tej porze wydawał się opustoszały, w salonie odpoczywał tylko jeden gość, popijając piwo i gapiąc się w telewizor.

- Gdzie on jest? - spytał szeptem arabski sklepikarz.

- W jednym z pokoi od tyłu - odpowiedziała, nie zniżając głosu.

Poprowadziła go długim, biegnącym wokół patia korytarzem, mijając drzwi wynajmowanych pokoi. Z przywiązanych do stropowych belek doniczek zwieszały się paprocie, a po kamiennych kolumnach piął się powojnik. Otworzyła ostatnie drzwi i Riad Halabi wszedł do tonącego w mroku pokoju. Żaluzje były spuszczone, więc potrzebował kilku chwil, by przyzwyczaić wzrok do ciemności i dostrzec ciało na łóżku. Był to jakiś zniedołężniały starzec, w pościeli poplamionej krwią, ze spodniami brudnymi od ekskrementów, z głową zwisającą na pasku sinej skóry i ze strasznym, niepoczonym wyrazem twarzy, jakby przeproszał za cały zamęt spowodowany tym, że dał się zamordować. Riad Halabi usiadł na jedynym krześle w pokoju i wbił oczy w ziemię, starając się zapanować nad nagłymi skokami żołądka. Ines stała z rękoma zaplecionymi na piersi, szacując, że potrzebne jej będą dwa dni, żeby sprać wszystkie plamy i co najmniej jeszcze dwa, żeby wywietrzyć pokój i pozbyć się odoru strachu i ekskrementów.

- Jak to zrobiłaś? - spytał w końcu Riad Halabi, ocierając sobie pot z twarzy.

- Maczetą do nacinania orzechów kokosowych. Podeszłam od tyłu i uderzyłam tylko raz. Ten biedny sukinsyn niczego się nie spodziewał.

- Dlaczego?

- Musiałam to zrobić, takie jest życie ... Popatrz tylko, jakiego ten stary miał pecha. Nie zamierzał zatrzymać się w Agua Santa, przejeżdżał przez miasteczko, gdy nagle pękła mu przednia szyba w samochodzie. Wynajął pokój jedynie na kilka godzin, dopóki Włoch z warsztatu nie wstawi mu nowej. Bardzo się zmienił, wszyscy się chyba zestarzeliliśmy, ale rozpoznałam go od razu. Czekałam na niego wiele lat, byłam pewna, że wcześniej czy później przyjedzie. To ten od owoców mango.

- Niech Allah ma nas w swojej opiece - wyszeptał Riad Halabi.

- Uważasz, że powinniśmy wezwać porucznika?

- Mowy nie ma, co też ci przyszło do głowy.

- Miałam prawo. On zabił moje dziecko.

- Porucznik by tego nie zrozumiał, Ines.

- Oko za oko, ząb za ząb, Turku. Czy nie tak mówi twoja religia?

- Prawo nie działa w taki sposób, Ines.

- No, to możemy trochę to upozować i powiedzieć, że popełnił samobójstwo.

- Nie dotykaj go. Ilu masz gości w pensjonacie?

- Tylko kierowcę ciężarówki. Odjedzie, jak ochłodzi się na zewnątrz. Musi dotrzeć aż do stolicy.

- Dobrze, nikogo więcej nie przyjmuj. Zamknij ten pokój na klucz i czekaj na mnie.

Wróć w nocy.

- Co chcesz zrobić?

- Chcę to załatwić na swój sposób.

Riad Halabi miał sześćdziesiąt pięć lat, ale zachował jeszcze młodzieńczy wigor i tego samego ducha, który kazał mu stanąć na czele tłumu w dniu, w którym przyjechał do Agua



Santa. Wszedł z domu nauczycielki Ines i ruszył szybkim krokiem w pierwsze z kilku miejsc, jakie chciał tego popołudnia odwiedzić. W ciągu następnych godzin miasteczko obiegła niosąca się z ust do ust wiadomość, która wyrwała wszystkim z wieloletniego odrętwienia. Powtarzano ją sobie szeptem jak jakąś niewiarygodną historię. Nowina domagała się, by ją głośno wykrzyzczyć, ale konieczność przekazywania jej ściszym głosem przydawała całej sprawie dodatkowej wagi. Nim zaszło słońce, wszystkim przenikał już radosny niepokój. W następnych latach miał się on stać czymś charakterystycznym dla nastroju tego miejsca, ale przybysze z zewnątrz wcale nie wyczuwali wibracji, nie umieli dostrzec tu niczego nadzwyczajnego, ot po prostu zapadła miejscina, jakich wiele na skraju puszczy. Od wczesnych godzin popołudniowych do gospody zaczęli schodzić się mężczyźni, kobiety wystawiły krzesła z kuchni na chodnik, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, młodzi gromadnie przyszedli na plac, jakby to była niedziela. Porucznik i jego ludzie zrobili rutynowy obchód, a potem zwyczajowo przyjęli zaproszenie pańienek z burdelu, które tym razem oznajmiły, że wyprawiają właśnie czyjeś urodziny. O zmierzchu na ulicach było więcej ludzi niż w dzień Wszystkich Świętych, a wszyscy tak skwapliwie zajęci swoimi sprawami, jakby pozowali do filmu. Jedni grali w domino, inni pili rum, jeszcze inni wystawiali na rogach ulic i palili papierosy, kilka par spacerowało, trzymając się za ręce, matki uganiały się za dziećmi, babki zerkały czujnym okiem przez uchylone drzwi. Ksiądz zapalił światła w kościele i zaczął bić w dzwony, przywołując na nowennę do świętego Izydora Męczennika, ale nikt nie miał głowy do modlitwy.

O pół do dziesiątej w domu nauczycielki Ines zebrali się Arab, miejscowy lekarz i czterech młodzi ludzie, dawni uczniowie nauczycielki, którzy przy niej poznawali abecadło, a teraz byli już dorosłymi mężczyznami po odbyciu służby wojskowej. Riad Halabi zaprowadził ich do pokoju, gdzie leżały zwłoki, na których roiło się od owadów, bo pora była po temu, a okno w pokoju zostało otwarte. Wpakowali nieszczęśnika do brezentowego worka i bez większych ceregieli wrzucili worek na tył samochodu Riada Halabiego. Przejechali główną ulicą wzdłuż całego miasteczka, pozdrawiając po drodze wszystkich, jak było w zwyczaju. Niektórzy odwzajemniali pozdrowienia z nadmiernym entuzjazmem, podczas gdy inni udawali, że ich nie zauważają i śmiali się sztucznie jak niektóre dzieci przyłapane na psocie. Furgonetka skierowała się w stronę miejsca, gdzie syn nauczycielki Ines pochylił się po raz ostatni, żeby chwycić owoc. W blasku księżyca zobaczyli posiadłość porośniętą zielskiem zapomnienia, zrujnowaną zaniebdaniem i złymi wspomnieniami, całe to pokryte gęstwiną wzniesienie, gdzie rosły zdziczałe drzewa mango. Ich owoce spadały i gnily na ziemi, dając początek nowym roślinom, które z kolei spleływały się z innymi, aż powstała z tego nieprzenikniona puszcza, a ta zaczęła pochłaniać już ogrodzenie, ścieżkę, a nawet resztki domu, po którym został ledwie zauważalny fetor marmolady. Mężczyźni zapalili lampy naftowe i zaczęli przedzierać się przez gąszcz, torując sobie drogę cięciami maczety. Gdy ocenili, że zaszli już dostatecznie daleko, jeden z nich wskazał na ziemię i tam, u stóp olbrzymiego, uginającego się od owoców drzewa, wykopali głęboki dół, do którego wrzucili brezentowy worek. Nim przysypali go ziemią, Riad Halabi odmówił krótką modlitwę muzułmańską, bo innych nie znał. Do miasteczka wrócili o północy i zobaczyli, że nikt jeszcze nie poszedł spać. We wszystkich oknach nadal paliły się światła, a ludzie spacerowali po ulicach.

Tymczasem nauczycielka Ines umyła wodą z mydłem ściany i meble w pokoju, spaliła pościel, wywietrzyła dom i czekała na przyjaciół z gotową kolacją i dzbankiem rumu z sokiem ananasowym. Zjedli, rozprawiając wesoło o ostatnich walkach kogutów, o tym barbarzyńskim, wedle słów nauczycielki, sporcie, jednak według mężczyzn mniej barbarzyńskim niż korrida, podczas której pewien kolumbijski matador niedawno stracił wątrobę. Ostatni pożegnał się Riad Halabi. Tej nocy po raz pierwszy w życiu poczuł się stary. W drzwiach nauczycielka Ines chwyciła jego ręce i przez chwilę zatrzymała w swoich.

- Dziękuję, Turku - powiedziała.  
- Dlaczego przyszłaś do mnie, Ines?  
- Bo jesteś osobą, którą najbardziej kocham na świecie i to ty powinieneś być ojcem mego syna.

Nazajutrz mieszkańcy Agua Santa wrócili do swoich codziennych zajęć. Przez tak niebagatelny współudział w przestępstwie czuli się jakby ważniejsi. Posiedli sąsiedzką tajemnicę, której zazdrośnie strzegli przez wiele lat, aż do chwili, gdy śmierć nauczycielki Ines wyzwoliła nas z obowiązku dotrzymania sekretu i teraz mogą to wszystko opowiedzieć.

## **Z całym należnym szacunkiem**

To była para cwaniaków. On miał twarz ogorzałą jak pirat, a włosy i wąsy ufarbowane na mocny czarny kolor, choć z czasem zmienił styl i przestał ukrywać siwiznę, bo łagodziła mu rysy twarzy i przydawała statecznego wyglądu. Ona była mocno zbudowana i wzorem rudych Anglosaksonek miała mleczną skórę, która w młodości opalizuje w słońcu jasnymi smugami, a w wieku dojrzałym przypomina poplamiony papier. Mimo wielu lat przeżytych w obozowiskach nacierzy i w granicznych miejscach nie straciła wigoru, odziedziczonego po swych szkockich przodkach. Ani Moskity, ani upał, ani surowe warunki życia nie wyczerpały jej sił witalnych, nie zmniejszyły też skłonności do komenderowania. Gdy miała czternaście lat, opuściła ojca, który w środku puszczy nauczał Biblii, co było pracą całkiem bezużyteczną, bo nikt nie rozumiał jego jeremiad wygłaszanych po angielsku, a poza tym w tych szerokościach geograficznych słowa, nawet słowa o Bogu, gubią się w jazgocie ptaków. W tym wieku dziewczynka miała już dorosłą sylwetkę i sama o sobie decydowała. Nie była sentymentalnym stworzeniem. Jednego po drugim odrzuciła wszystkich mężczyzn, którzy - zwabieni rozpalonym płomieniem jej tak niezwykłych w tropikach włosów - ofiarowali jej swoją opiekę. Nigdy nie słyszała o miłości, a rodzaj wyobraźni, jaką była obdarzona, nie pozwalał jej miłości wymyślić, umiała natomiast zrobić znakomity użytek ze skarbów, w jakie wyposażyła ją natura, i kończąc dwadzieścia pięć lat, miała już garść diamentów zaszytych w zakładce halki. Oddała je bez wahania Domingo Bykowi, jedyńemu mężczyźnie, jaki zdołał ją ujarzmić, awanturnikowi, który przemierzał okolice, polując na kajmany i zajmując się nielegalnym handlem bronią i fałszywą whisky. Był to łajdak bez skrupułów, doskonały towarzysz dla Abigail McGovern.

Na początku musieli robić trochę dziwaczne interesy, żeby powiększyć swój kapitał. Za jej diamenty i trochę jego pieniędzy uzyskanych z przemytu, szulerskich sztuczek i ze sprzedaży jaszczurczych skórek Domingo kupił żetony do kasyna. Wiedział, że po drugiej stronie granicy, gdzie pieniądze mają dużo większą wartość, w kasynie używa się identycznych żetonów. Nappełnił nimi walizkę i pojechał wymienić je na monety. Udało mu się powtórzyć tę operację dwukrotnie, nim ktokolwiek się zorientował, ale i wtedy okazało się, że nie można go oskarżyć o nic nielegalnego. Abigail tymczasem handlowała garnkami z gliny. Kupowała je od wieśniaków, a sprzedawała Jankesom z Kompanii Naftowej jako znaleziska archeologiczne. Robiła to z takim powodzeniem, że wkrótce mogła rozszerzyć ofertę o fałszywe obrazy z epoki kolonialnej, malowane przez pewnego studenta w zaułku za katedrą i postarzane za pomocą wody morskiej, sadzy i kociego moczu. W owym czasie pozbyła się już manier koniokrada i przestała kłąć, obcięła włosy i ubierała się w kosztowne sukienki. Chociaż miała bardzo szczególny styl - nosiła się z wymuszoną elegancją i bez polotu - to jednak mogła uchodzić za damę, co ułatwiało jej nawiązywanie kontaktów

towarzyskich i przyczyniło się do sukcesu w interesach. Umawiała się z klientami w salonach Hotelu Angielskiego i nalewając herbatę pracownicy wyuczonymi, powściągliwymi ruchami, rozprawiała o wyprawach na polowania i mistrzostwach tenisowych w wymyślonych miejscach o brytyjskich nazwach, których nikt nie potrafił znaleźć na mapie. Przy trzeciej filiżance herbaty informowała ściszym głosem o celu spotkania, pokazywała zdjęcia rzekomych antyków i dawała jasno do zrozumienia, że kieruje nią pragnienie ocalenia skarbów niszczących z powodu miejscowego bałaganu i niedbalstwa. Rząd nie ma środków na ochronę tych wspaniałych przedmiotów, mówiła, więc wywiezienie ich z kraju, choćby nielegalne, jest zasługą, z czego zdawać sobie sprawę powinien każdy, kto jest obdarzony choć odrobiną zmysłu historycznego.

Kiedy Bykowie zgromadzili już niewielki majątek, Abigail postanowiła założyć rodzinę i zaczęła przekonywać Dominga o korzyściach, jakie płyną z posiadania dobrego nazwiska.

- A co ci się w naszym nie podoba?

- Nikt nie nazywa się Byk, chyba tylko oberżyci - odpowiedziała Abigail.

- To nazwisko mego ojca i nie zamierzam go zmieniać.

- W takim razie wszyscy muszą wiedzieć, że jesteśmy bogaci.

Zaproponowała, by kupili ziemię i założyli plantację bananów albo kawy, jak na starą rodzinę przystało, ale jemu nie uśmiechało się życie na odludziu, w ciągłym strachu przed wojskiem i bandami partyzantów, na pustkowiu pełnym żmij i plag wszelkiego rodzaju. Poszukiwanie lepszej przyszłości w głębi puszczy uważał za skrajną głupotę, bo przecież można się nieźle urządzać i w samym środku stolicy. Lepiej i bezpieczniej będzie zatem zająć się handlem, tak jak tysiące Arabów i Żydów, którzy przyjeżdżali z nędznym węzełkiem na plecach i w kilka lat dorabiali się majątku.

- Wybierz sobie z głowy handlowanie na straganach. Ludzie mają nas szanować, mają nam się kłaniać.

On jednak nalegał, więc w końcu musiała uszanować jego decyzję. Potrafił wszystko na niej wymusić, bo ilekroć mu się sprzeciwiała, karał ją długimi okresami seksualnej wstrzeźliwości i milczenia. Znikał wtedy z domu na kilka dni, wracał wymęczony pokątnymi miłośkami, zmieniał ubranie i znowu wychodził, doprowadzając z początku Abigail do furii, a potem utwierdzając ją w strachu, że może wreszcie zniknąć na dobre. Abigail była osobą praktyczną, zupełnie pozbawioną skłonności romantycznych i nawet jeśli kiedyś tliła się w niej iskierka czułości, to lata łajdackiego życia zgasiły ją całkowicie. Domingo był jedynym mężczyzną, jakiego tolerowała u swego boku i nie zamierzała pozwolić mu odejść. Gdy tylko Abigail ustępowała, on znowu zaczynał sypiać we własnym łóżku. Nie dochodziło do burzliwych pojednań, wracali po prostu do zwykłego rytmu życia i znowu wspólnie planowali kolejne oszustwa. Domingo Byk założył sieć tanich sklepów w biednych dzielnicach i sprzedawał towar po bardzo niskich cenach, ale w dużych ilościach. Te sklepy były pralnią brudnych pieniędzy i służyły mu za zasłonę dymną dla innych, mniej legalnych interesów. Pieniądzy wciąż przybywało i stać ich już było na różne ekstrawagancje ludzi bogatych, jednak Abigail nie czuła się zadowolona, bo rozumiała, że życie w luksusie nie oznacza jeszcze uznania w towarzystwie.

- Gdybyś mnie posłuchał, nie braliby nas teraz za arabskich handlarzy. Zachciało ci się sprzedawać szmaty! - wyrzucała mężowi.

- Nie wiem, na co tak narzekasz, przecież niczego nam nie brak.

- Prowadź dalej swoje kramy dla biedoty, jeśli tego właśnie chcesz. Ja zamierzam kupić konie wyścigowe.

- Konie? A co ty wiesz o koniach, kobieto?

- Wiem, że są eleganckie. Wszyscy ważni ludzie mają konie.

- To nas zrujnuje!

Tym razem jednak Abigail udało się postawić na swoim i wkrótce przekonali się, że to nie był zły pomysł. Zwierzęta stanowiły świetny pretekst, by nawiązać kontakty ze starymi rodzinami hodowców koni, a ponadto okazały się dochodowe. Nazwisko Byków zaczęło często gościć na szpaltach dzienników poświęconych wyścigom konnym, nigdy jednak nie pojawiło się w kronice towarzyskiej. Rozdrażniona tym Abigail zachowywała się z coraz większą ostentacją. Zamówiła serwis stołowy zdobiony jej ręcznie malowanymi portretami, kieliszki ze szlifowanego kryształu i meble, których nogi zdobiły okropne maskarony. Nabyła też stary fotel z wytartą tapicerką, rozpowiadając wokół, że to kolonialny zabytek i że należał do Wyzwolicielea. Przewiązała fotel z przodu czerwonym sznurkiem, żeby nikt nie umieścił siedzenia w miejscu, w którym sadzał je Ojciec Narodu. Wyszukała niemiecką guwernantkę dla dzieci i holenderskiego wólcę, którego przebrała za admirała, żeby dowodził rodzinnym jachtem. Wkrótce jedynymi śladami po niezbyt szlachetnej przeszłości były pirackie tatuaże u Dominga, a u Abigail uraz kręgosłupa, jakiego nabawiła się w swych młodszych latach od ciągłego leżenia z szeroko rozłożonymi nogami. Domingo przykrywał tatuaże długimi rękawami koszul, a jego żona zamówiła dla siebie gorset z jedwabnymi poduszczkami, żeby ból nie uraził jej poczucia własnej godności. Była już wówczas grubym babskiem, obwieszonym biżuterią i podobnym do Nerona. Niepohamowana ambicja zaszkodziła jej urodzie znacznie bardziej niż dawne lata spędzone w puszczy.

Każdego roku w karnawale Bykowie urządzali bal maskowy w nadziei na przyciągnięcie do swego domu miejscowej socjety. Raz był to bal wyprawiony niby to na dworze sułtańskim w Bagdadzie, ze słoniem i wielbłędami wypożyczonymi z ogrodu zoologicznego oraz zastępem kelnerów przebranych za Beduinów. Innym razem bal wersalski, na którym wystrojeni w brokatowe stroje i przypudrowane peruki goście tańczyli menueta wśród kryształowych lusterek. Organizowali też inne hulanki, które bezustannie dostarczały tematów do plotek i stały się powodem gwałtownych diatrib w lewicowych gazetach. Musieli wystawić przed domem strażników, bo oburzeni ich rozrzutnym stylem życia studenci wypisywali obraźliwe napisy na murach i wrzucali przez okna nieczystości, wykrzykując, że bogacze opijają się szampanem, podczas gdy biedacy muszą polować na koty, żeby mieć co włożyć do garnka. Te huczne przyjęcia zwiększyły jednak ich prestiż, ponieważ w tamtych czasach zacierały się już ostre podziały na klasy społeczne, do kraju napływali przybysze ze wszystkich zakątków świata, przyciągnięci zapachem ropy, stolica rozbudowywała się w sposób niekontrolowany, można było w okamgnieniu fortunę zbić i utracić i pochodzenie przestało już być takie ważne. Stare rodziny trzymały jednak Byków na dystans, choć same także wywodziły się od imigrantów, cała różnica sprowadzała się do tego, że ich przodkowie dobili do tych wybrzeży pół wieku wcześniej. Uczestniczyli w bankietach wydawanych przez Dominga i Abigail, czasami też wypływali na przejażdżki po Morzu Karaibskim jachtem dowodzonym wprawną ręką holenderskiego kapitana, ale nie odwzajemniali zaproszeń. Może Abigail dałaby wreszcie za wygraną i usunęłaby się w cień, gdyby nie pewne nieoczekiwane zdarzenie, które całkowicie odmieniło ich los.

Tamtego sierpniowego popołudnia Abigail zbudziła się z poobiedniej drzemki spocona. Było parno i w powietrzu wisiała burza. Włożyła na gorset jedwabną sukienkę i kazała się zawieźć do salonu piękności. Samochód przemierzał zapchane ludźmi i pojazdami ulice ze szczelnie zamkniętymi szybami, żeby jakiś nienawistnik - a było takich coraz więcej - nie napluł przez okno. Kierowca zatrzymał się przed salonem punktualnie o piątą, Abigail poleciła mu przyjechać po siebie godzinę później i weszła do środka. Kiedy szofer wrócił o umówionej porze, nie zastał Abigail. Fryzjerki powiedziały, że pięć minut po przyjściu pani Bykowa wyszła załatwić jakąś pilną sprawę, obiecując zaraz wrócić, ale nie wróciła. W tym samym czasie Domingo Byk odebrał w swoim biurze pierwszy telefon od Czerwonych Pum,

nieznanej wcześniej grupy terrorystów, którzy oznajmili mu, że właśnie porwali jego żonę.

W ten sposób rozpoczęła się awantura, która umocniła na dobre prestiż rodziny Byków. Policja zatrzymała szofera i fryzjerki, dokonała drobiazgowych przeszukań w wielu dzielnicach i otoczyła kordonem posiadłość Byków, co było źródłem wielu niedogodności dla sąsiadów. Autobus należący do telewizji blokował przez wiele dni ulicę, a gromada dziennikarzy, detektywów i gapiów zadeptywała przydomowe trawniki. Domingo Byk pokazał się na ekranach telewizorów, siedząc w skórzanym fotelu w domowej bibliotece, między wielką mapą świata i zmumifikowaną ulubioną klaczą. Zwrócił się z błagalnym apelem do porywaczy, by wypuścili na wolność matkę jego dzieci. Magnat tandety, jak nazywała go prasa, był gotów wpłacić za żonę okup w wysokości miliona dolarów, co było grubym przebicciem stawki, bo pewnego ambasadora z Bliskiego Wschodu, uprowadzonego przez inną grupę terrorystyczną, uwolniono za połowę tej sumy. Mimo to Czerwone Pomy oznajmiły, że to za mało i zażądały drugie tyle. Kiedy prasa opublikowała zdjęcia Abigail, wielu czytelników pomyślało sobie, że Domingo zrobiłby najlepszy interes, płacąc tę sumę porywaczom, żeby na zawsze zatrzymali sobie jego żonę. W całym kraju rozległ się krzyk niedowierzania, gdy po konferencji z bankierami i adwokatami, mąż przystał na żądania terrorystów, bagatelizując ostrzeżenia policji. Na kilka godzin przed przekazaniem ustalonej kwoty, otrzymał pocztą kosmyk rudych włosów i informację, że cena wzrosła o następne ćwierć miliona. Tymczasem dzieci Byków rozpaczliwie apelowały w telewizji o uwolnienie matki. Makabryczna licytacja wznosiła się na coraz wyższy poziom, o czym szczegółowo donosiła prasa.

Cała sprawa zakończyła się pięć dni później, dokładnie w chwili, gdy zainteresowanie opinii publicznej zaczynało słabnąć. Odnaleziono Abigail związaną i zakneblowaną w samochodzie zaparkowanym w samym centrum. Była trochę zdenerwowana i rozczochrana, ale nie doznała żadnych widocznych obrażeń, a nawet odrobinę przytyła. Gdy Abigail wróciła wieczorem do domu, na ulicy zebrał się tłum, żeby zgotować owację mężowi, który dał takie dowody miłości.

Odpowiadając na natarczywe pytania dziennikarzy i policji, Domingo Byk zachowywał się z powściągliwą uprzejmością i odmawiał ujawnienia wysokości okupu, argumentując, że jego żona jest bezcenna. Ludzie, w swej skłonności do przesady, przypisali mu zapłacenie nieprawdopodobnej kwoty, dużo wyższej od tej, jaką mężczyzna gotów byłby zapłacić za kobietę, a tym bardziej za własną żonę. Bykowie stali się uosobieniem wielkiego bogactwa, mówiono, że są równie bogaci jak prezydent, który przez wiele lat zarabiał na krajowym eksporcie ropy, i szacowano, że jego majątek zalicza się do pięciu największych fortun świata. Domingo i Abigail dostali się do najlepszego towarzystwa, do którego wcześniej nie mieli wstępu. Nic nie zmąciło ich triumfu, nawet publiczne protesty lewaków, którzy na transparentach rozwieszonych na murach uniwersytetu oskarżali Abigail o uprowadzenie samej siebie, magnata tandety o przełożenie milionów z jednej kieszeni do drugiej, bez płacenia podatków, a policję o to, że przełknęła opowiastkę o Czerwonych Pumach, żeby nastraszyć ludzi i usprawiedliwić represyjne działania wymierzone w partie opozycyjne. Złe języki nie zdołały jednak zniweczyć efektu porwania i dziesięć lat później rodzina Byków-McGovernów stała się jedną z najbardziej szanowanych rodzin w kraju.

## Życie bez końca

Są historie najrozmaitsze. Niektóre rodzą się w trakcie opowiadania, biorą się z języka i nim ktoś ubierze je w słowa, są najwyżej emocją, kaprysem umysłu, trudną do uchwycenia reminiscencją. Inne rodzą się w całości, jak jabłka, i można powtarzać je w

nieskończoność bez obawy, że ich treść ulegnie zmianie. Istnieją historie wzięte z życia i przetworzone przez natchnienie, a znowu inne powstają z chwilowego natchnienia i zmieniają się w procesie opowiadania. Są też historie tajemne, co tkwią ukryte w mrokach pamięci, przypominają żywe organizmy, wypuszczają korzenie, macki, w zakamarkach ich ciał lęgną się pasożyty, a w miarę upływu czasu zmieniają się w materię sennych koszmarów. Czasami, żeby odprawić egzorcyzmy nad demonami, tkwiącymi w jakimś wspomnieniu, trzeba opowiedzieć to wspomnienie tak jak historię.

Anna i Robert Blaumowie zestarzelili się razem i byli ze sobą tak mocno złączeni, że pod koniec życia sprawiali wrażenie rodzeństwa: oboje mieli ten sam dobrotliwy wyraz zdziwienia na twarzy, takie same zmarszczki, gesty rąk, pochylenie ramion; oboje odznaczeni się podobnymi przyzwyczajeniami i pragnieniami. Wspólnie spędzali dni przez większość życia, a ciągle trzymając się za ręce i śpiąc w bliskim uścisku, nauczyli się nawet umawiać na spotkania w razem śnionym śnie. Nie rozstawali się nigdy, odkąd poznali się pół wieku wcześniej. W owym czasie Robert studiował medycynę i nosił już w sobie pasję, która miała określić jego życie, pasję, by obmyć świat z winy i odkupić bliźniego. Anna natomiast była jedną z tych czystych, młodych dziewczyn, które wszyskiemu przydają piękną swą niewinnością. Spotkali się dzięki muzyce. Ona była skrzypaczką w orkiestrze kameralnej, a on nie opuszczał żadnego koncertu, bo pochodził z rodziny muzyków i lubił grać na fortepianie. Dostrzegł na scenie ubraną w czarny aksamit i biały haftowany kołnierzyk dziewczynę, która grała z zamkniętymi oczyma, i zakochał się w niej na odległość. Minęły miesiące, nim ośmielił się do niej przemówić, i wystarczyło kilka zdań, by oboje zrozumieli, że są sobie przeznaczeni. Nim zdążyli się pobrać, zaskoczyła ich wojna i tak jak tysiące Żydów przerażonych widmem prześladowań musieli uciekać z Europy. Wsiedli na statek w jakimś holenderskim porcie, zabierając w charakterze bagażu tylko to, co mieli na sobie, kilka książek Roberta i skrzypce Anny. Statek dryfował przez dwa lata, bezskutecznie szukając portu, do którego mógłby zawinąć, bo narody tej półkuli nie chciały przyjąć złożonego z uchodźców ładunku. Pojawiał się na różnych morzach, aż w końcu przybił do wybrzeży Karaibów. Jego kadłub przypominał już wówczas wielki kalafior z pancerzy skorupiaków i porostów, z wnętrza sączyła się wilgoć niczym bezustanny katar, maszyny pokryły się zielonkawym nalotem, a cała załoga i wszyscy pasażerowie - z wyjątkiem Anny i Roberta, których miłość sprawiła, że nie poddali się rozpacz - zestarzelili się o dwieście lat. Kapitan, pogodzony już z myślą, że przyjdzie mu snuć się po morzach przez całą wieczność, zacumował cielsko transatlantyku w zakolu zatoki, naprzeciw plaży o fosforyzującym piasku i smukłych palmach zwieńczonych pióropuszcami, a marynarze przywieźli nocą z lądu słodką wodę do zbiorników na statku. Dalej już jednak nie popłynęli. Nazajutrz nie można było uruchomić maszyn, skorodowanych i przepracowanych, napędzanych już chyba tylko - z braku czegoś lepszego - słoną wodą i prochem. Przed południem zjawiała się łódź z władzami pobliskiego portu, czyli garstką wesołych i przyjaźnie usposobionych Mulatów w porozpinianych mundurach. Zgodnie z regulaminem nakazali im opuścić swoje wody terytorialne, ale dowiedziawszy się o ponurym losie podróżnych i oplakany stan okrętu, zaproponowali kapitanowi, żeby załoga i pasażerowie poopalali się kilka dni na plaży, bo może wtedy wszystkie kłopoty same się jakoś rozwiążą, jak to się zwykle dzieje. W nocy wszyscy mieszkańcy nieszczęsnego statku przeprawili się szalupami na brzeg i stanęli na ciepłym piasku kraju, którego nazwy nie umieli nawet wymówić, a potem zapuścili się w bujną, zmysłową roślinność, gotowi zgolić brody, zrzucić z siebie wilgotne szmaty i zapomnieć o podmuchach oceanicznego wiatru, hartującego ich dusze.

W ten sposób Anna i Robert Blaumowie rozpoczęli życie imigrantów. Aby zarobić na życie, pracowali najpierw jako robotnicy, a później, gdy już poznali zasady, jakimi rządziła się ta kapryśna społeczność, zapuścili głębiej korzenie i Robert ukończył przerwane przez wojnę studia medyczne. Za pożywienie służyły im banany i kawa, mieszkali w skromnym

pensjonacie, a okno ich niewielkiego pokoiku wychodziło wprost na uliczną latarnię. Robert korzystał nocami ze światła latarni przy nauce, Anna przy swoim szyciu. Gdy kończyli pracę, on siadał i wpatrywał się w gwiazdy nad dachami sąsiednich domów, a ona grała stare melodie na skrzypcach. Przyzwyczaili się tak właśnie kończyć dzień. Wiele lat później, gdy nazwisko Blaum stało się sławne, wspominali tamte ubogie lata we wstępach do książek albo w wywiadach dla gazet jako romantyczny okres w swoim życiu. Ich los się odmienił, oni jednak pozostali ludźmi skromnymi, bo w ich pamięci nie zatarły się obrazy dawnej biedy, nie mogli się także wyzbyć poczucia, że to miejsce jest równie przypadkowe jak każde inne. Oboje byli tego samego wzrostu, mocnej budowy ciała i mieli jasne oczy. Robert wyglądał jak uczony, głowę zwieńczała mu zmierzwiona czupryna, na nosie tkwiły okulary o grubych szklach w okrągłych, szylkretowych oprawkach, ubierał się zawsze w ten sam szary garnitur i zdobywał się na nowy dopiero wówczas, gdy Anna nie miała już siły dalej cerować rękawów. Chodził wspierając się na bambusowej lasce, którą przyjaciel przywiózł mu z Indii. Był człowiekiem małomównym, dobierał słowa z precyzją właściwą wszystkim innym jego poczynaniom. Natura obdarzyła go także subtelnym poczuciem humoru, które równoważyło akademicką powagę. Studenci będą go z pewnością wspominać jako najbardziej dobrodusznego z profesorów. Anna miała usposobienie pogodne i ufne, nigdy nikogo nie posądzała o złe zamiary i dlatego sama była także odporna, gdy przychodziły trudne chwile. Robert przyznawał, że żona miała podziwu godny zmysł praktyczny i chętnie godził się, by to ona podejmowała ważne decyzje i zarządzała pieniędzmi. Anna opiekowała się mężem jak najczulsza matka, obcinała mu włosy i paznokcie, dbała o jego zdrowie, sposób odżywiania i spokojny sen, była na każde jego wezwanie. Przebywanie ze sobą stało się dla nich tak nieodzowne, że Anna zrezygnowała z kariery muzycznej, bo ta skazywałaby ją na częste podróże. Grała więc na skrzypcach tylko w domowym zaciszu. Przyzwyczaiła się towarzyszyć Robertowi wieczorem, gdy udawał się do kostnicy albo do uniwersyteckiej biblioteki, w której długie godziny spędzał nad książkami. Oboje lubili samotność i ciszę przestronnych sal.

Wracali potem na piechotę opustoszałymi ulicami do dzielnicy biedaków, w której znajdował się ich dom. Niekontrolowana rozbudowa miasta sprawiła, że okolica ta zmieniała się w siedlisko handlarzy narkotyków, prostytutek i złodziei i nawet wozy policyjne nie odważały się tu zapuszczać, ale oni przemierzali tę dzielnicę o świcie, przez nikogo nie niepokojeni. Wszyscy ich tam znali. Gdy kogoś dręczyła jakaś dolegliwość albo kłopoty, zwracano się o radę do Roberta, każde dziecko znało też smak herbatników Anny. Zdziwionym wyjaśniano, że staruszkowie są nietykalni jako honorowi mieszkańcy dzielnicy. Dodawano też od razu, że Blaumowie są chlubą narodu, że prezydent osobiście odznaczył Roberta orderem i oboje cieszą się takim szacunkiem, że nawet żandarmeria zostawia ich w spokoju, gdy z hukiem i chrzęstem swej wojennej maszynarii robi nalot na okolicę, przeszukując dokładnie dom po domu.

Ja sama poznałam ich pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy moja owładnięta szaleństwem matka chrzestna podcięła sobie nożem gardło. Zawiozłyśmy ją wtedy do szpitala charkoczącą i broczącą krwią, ale na nasze szczęście był tam doktor Robert Blaum i z całkowitym spokojem przyszył jej głowę na właściwe miejsce. Ku zdziwieniu innych lekarzy matka chrzestna wyzdrowiała. Godzinami przesiadywałam przy szpitalnym łóżku podczas długich tygodni jej powrotu do zdrowia i przy różnych okazjach rozmawiałam z Robertem. Stopniowo zawiązała się między nami mocna przyjaźń. Blaumowie nie mieli dzieci, a myślę, że pragnęli je mieć, bo z biegiem czasu zaczęli mnie traktować tak, jakbym była ich córką. Często ich odwiedzałam, choć rzadko wieczorami, nie chcąc zapuszczać się samotnie w tamte okolice. Podejmowali mnie zawsze jakimś wymyślnym daniem. Lubiłam pomagać Robertowi w ogrodzie, a Annie w kuchni. Od czasu do czasu brała skrzypce i obdarowywała mnie kilkoma godzinami muzyki. Dali mi klucz do domu i kie-

dy wyjeżdżali w podróż, opiekowałam się ich psem i podlewałam kwiatki.

Robert Blaum zaczął wcześniej odnosić sukcesy w swoim zawodzie, mimo że wojna opóźniła rozwój jego kariery. Gdy był w wieku, w którym inni lekarze dopiero nabierają wprawy na salach operacyjnych, miał już na swoim koncie wiele wartościowych publikacji, ale sławę zdobył z chwilą wydania książki o prawie do godnej śmierci. Nie pociągała go prywatna praktyka lekarska, prywatnych porad udzielał tylko przyjaciołom lub sąsiadom. Wolał wykonywać zawód w szpitalach dla biedaków, gdzie mógł udzielać pomocy wielu ludziom i gdzie codziennie uczył się czegoś nowego. Długie dyżury na oddziałach nieuleczalnie chorych wzbudziły w nim współczucie dla kruchych ludzkich ciał, podłączonych do maszyn utrzymujących je przy życiu, skazanych na tortury wbijanych igieł i wciskanych rurek. Nauka odmawiała tym ludziom godnego końca pod pretekstem, że należy podtrzymywać ich za wszelką cenę przy życiu. Ubolewał nad tym, że zamiast pomóc im odejść z tego świata, jest zmuszony wydłużać ich cierpienia na łożu agonii. Czasami katusze, jakie przeżywali chorzy, stawały się dla niego takim ciężarem, że nie potrafił myśleć o niczym innym. W nocy Anna musiała go budzić, bo krzyczał przez sen. Zrozpaczony przytulał się do żony w bezpiecznym schronieniu pościeli, ukrywał twarz między jej piersiami.

- Dlaczego nie odłączysz tego nieszczęśnika od maszyny i nie ulżysz mu w cierpieniach? To byłby prawdziwie miłosierny uczynek. I tak przecież umrze, wcześniej czy później ...

- Nie mogę, Anno. Przepisy są w tym względzie jednoznaczne, nikt nie ma prawa decydować o życiu drugiego człowieka, ale dla mnie to także sprawa sumienia.

- Już wcześniej mieliśmy podobne doświadczenia i zawsze dopadają cię te same wątpliwości. Nikt się nie dowie, to kwestia dwóch minut.

Jeśli przy jakiejś okazji Robert tak postąpił, prawdę znała tylko Anna.

W książce pisał, że śmierć, której towarzyszy nieodłącznie uczucie strachu, polega tylko na porzuceniu zużytej powłoki, podczas gdy duch staje się ponownie częścią niezwyklej energii kosmosu. Zarówno agonია, jak i narodziny są tylko etapami w podróży i zasługują na takie samo miłosierdzie. Przedłużanie bicia serca i drżenia ciała poza naturalny kres nie jest żadną zasługą, a zadaniem lekarza jest czasem ułatwić odejście, miast przyczyniać się do zwycięstw zawilej biurokracji śmierci. Jednak taka decyzja nie może zależeć tylko od lekarzy albo od miłosierdzia krewnych. Prawo powinno określić kryteria postępowania.

Wywód Blauma sprowokował burzliwe protesty kleru, prawników i lekarzy. Wkrótce sprawa wyszła poza krąg specjalistów i przedostała się na szersze forum publiczne, wywołując ogólnospołeczną debatę. Po raz pierwszy ktoś poruszył tę kwestię, do tej chwili na temat śmierci milczano, mamiono się obietnicą nieśmiertelności, każdy miał w skrytości ducha nadzieję, że będzie żył wiecznie. Dopóki dyskusja toczyła się na poziomie filozoficznym, Robert Blaum stawał przed różnymi gremiami, by bronić swojej tezy. Gdy jednak cała sprawa stała się modnym tematem, wycofał się do swej codziennej pracy, poruszony bezwstydnym wykorzystywaniem jego teorii w prasie, radiu i telewizji. Śmierć była wszechobecna, tyle że nierzeczywista i zmieniona w pogodny, dziennikarski temat.

Część prasy oskarżyła Blauma o propagowanie eutanazji i porównała jego poglądy do teorii nazistowskich, podczas gdy inne dzienniki wielbiły go niczym świętego. On zaś przeszedł nad tym wszystkim do porządku dziennego i po prostu oddał się swojej pracy w szpitalu. Książka została przetłumaczona na wiele języków i zawędrowała do wielu krajów, gdzie również wzbudziła namiętne polemiki. Zdjęcie autora często ukazywało się w czasopiśmie naukowych. Tego roku zaproponowano mu objęcie katedry na wydziale medycyny i wkrótce stał się najbardziej obleganym przez studentów profesorem. W Robertcie Blaumie nie było ani cienia arogancji, ani triumfalnego fanatyzmu zarządcy boskich



objawień. Cechowała go spokojna pewność właściwa uczonym. Im bardziej rosła sława Roberta, tym bardziej kameralne stawało się ich życie. Tak przeraził ich ten nagły rozgłos, że w końcu bardzo ograniczyli krąg bliskich przyjaciół.

Teoria Blauma została zapomniana równie szybko, jak stała się modna. Nie przeprowadzono zmian w ustawodawstwie, nie dyskutowano nawet tej kwestii w Kongresie, ale w środowisku uniwersyteckim i naukowym wzrósł autorytet lekarza. W ciągu następnych trzydziestu lat Blaum wychował kilka pokoleń chirurgów, odkrył nowe leki i techniki operacyjne i zorganizował system przychodni objazdowych, wozów konnych, łodzi i awionetek wyposażonych w sprzęt konieczny do niesienia pomocy lekarskiej, poczynawszy od odbierania porodów aż do leczenia najrozmaitszych epidemii. Przychodnie te przemierzały cały kraj, niosąc ratunek do najbardziej odległych zakątków, gdzie wcześniej zapuszczali się tylko misjonarze. Otrzymał bardzo wiele nagród, przez dziesięć lat był rektorem uniwersytetu i zaledwie jeden tydzień piastował godność ministra zdrowia, gdyż tyle właśnie potrzebował czasu, żeby zebrać dowody korupcji i marnotrawienia pieniędzy przez urzędników oraz przedstawić te dowody prezydentowi, który nie miał innego wyjścia, jak go odwołać, bo nie chodziło o to, by naruszyć fundamenty władzy dla satysfakcji jednego idealisty. W ciągu tych wszystkich lat Blaum nadal prowadził badania dotyczące nieuleczalnie chorych. Opublikował kilka artykułów o obowiązku mówienia prawdy ciężko chorym pacjentom, żeby nie odchodzili zaskoczeni przez śmierć, ale mieli czas się do niej przygotować. Pisał także o szacunku należnym samobójcom i o tym, jak kłaść kres własnemu życiu dyskretnie i unikając bólu.

Nazwisko Blauma znowu wróciło na usta wszystkich, gdy wyszła jego ostatnia książka. Była szokiem dla akademickiej nauki, lecz zarazem rozbudziła ogromne nadzieje w całym kraju. Podczas swej długoletniej pracy w szpitalach Blaum leczył niezliczonych pacjentów cierpiących na raka i zauważył, że przy zastosowaniu takiego samego leczenia jedni przegrywali swe zmagania ze śmiercią, inni natomiast zwalczali chorobę. Robert starał się w swej książce wykazać związek między nowotworem i samopoczuciem i zapewniał, że smutek i osamotnienie ułatwiają mnożenie się złowrogich komórek, bo kiedy chory jest przygnębiony, obniża się odporność jego organizmu, gdy natomiast ma chęć do życia, organizm zawzięcie zwalcza chorobę. Tłumaczył w związku z tym, że leczenie nie może ograniczać się do interwencji chirurgicznych, chemii czy lekarstw, bo zwalczają one jedynie objawy fizyczne, lecz nade wszystko powinno uwzględniać stan ducha chorego. W ostatnim rozdziale stawiał tezę, że ludzie najbardziej podatni na leczenie to ci, którzy mogą liczyć na wypróbowanego towarzysza życia albo w ogóle czyjąś czułość i troskę, bo miłość wywiera dobroczynny skutek i nie mogą z nią konkurować najsilniejsze nawet lekarstwa.

Prasa natychmiast wychwyciła smakowite wątki, jakie dawały się wysnuć z teorii Blauma i włożyła w usta doktora słowa, których nigdy nie wypowiedział. Podobnie jak niegdyś śmierć, tak i tym razem coś równie odwiecznego wywołało niewiarygodną wrzawę i zostało potraktowane jako wielka nowość. Miłości przypisano wszystkie cechy kamienia filozoficznego i orzeciono, że potrafi wyleczyć wszelkie choroby. Wszyscy rozmawiali o książce, ale bardzo niewielu ją przeczytało. Każdy dodawał coś od siebie i proste założenie, że uczucie może sprzyjać dobremu zdrowiu, przybierało formy coraz bardziej skomplikowanych teorii, aż wreszcie pierwotna idea Blauma zatraciła się w potoku nedorzeczności, wywołując olbrzymie pomieszanie wśród ogółu. Nie zabrakło też cwaniaków, którzy usiłowali zbić kapitał na całej sprawie, zawłaszczając miłość, jakby to oni sami ją wynaleźli. Rozmnożyły się nowe sekty tajemne, szkoły psychologiczne, kursy dla początkujących, kluby dla samotnych, niezawodne proszki gwarantujące atrakcyjność, siejące spustoszenie perfumy i niezliczona liczba domorosłych wróżbitów, którzy używali kart i szklanych kul, żeby sprzedawać uczucia po cztery centawy. Gdy tylko wyszło na jaw, że Anna i Robert Blaumowie są wzruszającą parą starszków, żyją razem od wielu lat, są ciągle

sprawni fizycznie, mają jasne umysły i gorące uczucia, okrzyknięto ich żywymi dowodami słuszności teorii. Jedynymi, którzy czytali książkę Roberta bez sentymentalnej egzaltacji, jeśli nie liczyć naukowców dokonujących zacieklej egzegezy, byli chorzy na raka. Jednak ich nadzieja na udaną kurację została okrutnie wydrwiona, bo nikt przecież nie potrafił im powiedzieć, jak znaleźć miłość, ani tym bardziej, jak ją zachować. Okazało się więc, że choć pomysł Blauma nie był pozbawiony logiki, nie nadawał się do zastosowania w praktyce.

Ogrom zamieszania wprawił Roberta w konsternację, Anna przypomniała mu jednak podobne wydarzenia z przeszłości i przekonała, że należy całą sprawę spokojnie przeczekać, a wrzawa wkrótce ucichnie. I tak też się stało. Ale wtedy Blaumów nie było już w mieście. Robert wycofał się z pracy w szpitalu i na uniwersytecie, tłumacząc, że jest już zmęczony i jego wiek wymaga spokojniejszego trybu życia. Pozostał jednak ofiarą własnej sławy, jego dom szturmowali bezustannie błagający o pomoc chorzy, dziennikarze, studenci, profesorowie i zwykli ciekawscy. Powiedział mi, że potrzebuje ciszy, bo zamierza napisać nową książkę, a ja pomogłam mu znaleźć ustronne schronienie. Znaleźliśmy mieszkanie w La Colonia, dziwnej osadzie wciśniętej w tropikalne wzgórze, niemal kopii bawarskiego miasteczka z dziewiętnastego wieku, architektonicznej osobliwości pełnej domów z malowanego drewna, z zegarami z kukułką, donicami geranium i napisami z gotyckich liter. Zamieszkiwali je jasnowłosi i jasnoocy ludzie o rumianych policzkach, ubrani w takie same tyrolskie stroje, jakie ich pradziadowie zabrali ze sobą, emigrując ze Szwarzwaldu. Chociaż La Colonia była już wtedy taką samą atrakcją turystyczną jak dziś, Robertowi udało się wynająć posiadłość na uboczu, gdzie nie docierał dający się we znaki w soboty i niedziele ruch turystyczny. Poprosili mnie, żebym zajęła się ich sprawami w stolicy. Odbierałam więc ich emerytury i korespondencję oraz płaciłam rachunki. Początkowo często ich odwiedzałam, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że w mojej obecności silą się na serdeczność, która bardzo różni się od gorących powitań, z jakimi wcześniej się spotykałam. Wiedziałam, że nie mają nic przeciwko mnie, bo zawsze cieszyłam się ich zaufaniem i szacunkiem, doszłam jedynie do wniosku, że chcą być sami i zaczęłam porozumiewać się z nimi telefonicznie lub listownie.

Kiedy Robert Blaum zadzwonił do mnie po raz ostatni, nie widzieliśmy się już od roku. Mało z nim rozmawiałam, natomiast prowadziłam długie pogawędki z Anną. Mówiłam jej, co słyhać na świecie, a ona opowiadała mi swoją przeszłość, która stawała się dla niej coraz bardziej żywa, jakby pośród otaczającej ją teraz ciszy wszystkie wspomnienia z dawnych czasów stały się częścią teraźniejszości. Czasami różnymi sposobami podsyłała mi owsiane herbatniki i woreczki z lawendą dla utrzymania świeżego zapachu w szafach. Przez ostatnie miesiące przysyłała mi także dyskretne upominki: chusteczkę, którą przed wieloma laty dostała od męża, zdjęcia z młodości, starą broszkę. Myślę, że te prezenty, brak entuzjazmu dla moich wizyt i przesadna powściągliwość, z jaką Robert mówił o pisanej książce, powinny były dać mi do myślenia. Ja jednak naprawdę nie wyobrażałam sobie, co rzeczywiście dzieje się w ich górskim domu. Kiedy później czytałam dziennik Anny, dowiedziałam się, że Robert nie napisał ani jednej linijki. Cały ten czas poświęcał z miłością swojej żonie, nie zdołał jednak odwrócić biegu wydarzeń.

Podróż do La Colonii pod koniec tygodnia przebiegła w powolnej pielgrzymce samochodów z rozgrzanymi silnikami, toczących się przed siebie w długim szeregu. Jednak w pozostałe dni, a zwłaszcza w porze deszczowej, pędzi się samotnie po krętej drodze, która ścina wierzchołki wzgórz, wśród niespodziewanych stromizn, bambusowych lasów i palm. Tamtego popołudnia chmury wisały nisko między pagórkami, a krajobraz zdawał się zamglony niczym biały, bawełniany puch. Deszcz uciszył wszystkie ptaki i słyhać było tylko krople uderzające o szyby. Gdy droga wspięła się wyżej, powietrze stało się chłodniejsze i wyczułam wiszącą we mgle burzę. Pogoda

przypominała właściwą innym szerokościom geograficznym. Nagle w zakolu szosy ukazała się ta miejscina o niemieckim wyglądzie, chaty ze spadzistymi dachami, żeby łatwiej ześlizgiwał się śnieg, który nigdy tu nie pada. Musiałam przejechać przez całą, opustoszałą o tej porze osadę, żeby dojechać do Blaumów. Ich dom przypominał wszystkie pozostałe, był z ciemnego drewna, z rzeźbionym okapem i haftowanymi zasłonkami w oknach, na froncie rozkwitał starannie wypielęgnowany ogród, a z tyłu ciągnęło się kilka grządek truskawek. Wiał zimny wiatr, ale nie dostrzegłam, żeby z komina unosił się dym. Na ganku leżał pies, którego mieli od wielu lat, ale nie wstał, kiedy go zawołałam, uniósł tylko łeb i przyjrzał mi się, nie poruszając ogonem, jakby mnie nie poznawał. Ruszył jednak za mną, gdy otworzyłam niezamknięte na klucz drzwi i weszłam za próg. Było ciemno. Namacałam ręką kontakt i zapaliłam światło. Wyglądało, że wszystko jest w porządku, w dzbankach stały świeże gałązki eukaliptusa, wypełniając powietrze zapachem czystości. Przeszłam przez salon tego wynajętego mieszkania, w którym nic nie zdradzało obecności Blaumów, prócz stert książek i pary skrzypiec. Zdziwiło mnie, że przez półtora roku moi przyjaciele nie odcisnęli swego własnego piętna na miejscu, w którym mieszkali.

Weszłam schodami na poddasze, gdzie znajdowała się sypialnia, przestronny pokój, z wysokim sufitem zdobionym wiejskim belkowaniem, wyblakłą papierową tapetą na ścianach i prostymi meblami w stylu zbliżonym do prowansalskiego. Lampka nocna oświetlała łóżko, na którym leżała Anna ubrana w niebieską, jedwabną sukienkę, na szyi miała korale, które tak często u niej widywałam. Zachowała po śmierci wyraz takiej samej niewinności na twarzy, jaki widać na zdjęciu, zrobionym wiele lat wcześniej, kiedy kapitan statku udzielił jej ślubu z Robertem, siedemdziesiąt mil od brzegu, tamtego cudownego wieczoru, gdy latające ryby wyskakiwały z morza, by obwieścić uchoźcom, że ziemia obiecana jest już blisko. Idący za mną pies skulił się w kącie pokoju i cicho zaskomlał.

Na nocnym stoliku, obok niedokończonego haftu i dziennika Anny, znalazłam kartkę napisaną do mnie przez Roberta, w której prosił, żebym zaopiekowała się psem, a ich pochowała w tej samej trumnie na cmentarzu bajkowej osady. Postanowili umrzeć razem, ona była w ostatniej fazie raka, więc woleli odbyć tę podróż, trzymając się za ręce, jak to mieli w zwyczaju, żeby w chwili, gdy dusza odrywa się od ciała, nie ryzykować, że się pogubią w przepastnym, niezmiernym wszechświecie.

Przebiegłam dom w poszukiwaniu Roberta. Znalazłam go w maleńkim pokoiku za kuchnią, gdzie miał swój gabinet. Siedział za biurkiem z jasnego drewna, z głową między rękami i szlochał. Na stole leżała strzykawka, którą wstrzyknął truciznę swej żonie. Wypełniała ją druga dawka, przeznaczona dla niego. Pogładziłam go po karku, a on podniósł oczy i długo na mnie spoglądał. Przypuszczam, że chciał zaoszczędzić Annie końcowych cierpień i przygotował odejście ich obojga w taki sposób, by nic nie zakłóciło spokoju tej chwili. Sprzątnął dom, naciął gałązek eukaliptusa do wazonów, ubrał i uczesał żonę, a kiedy wszystko już było gotowe, zrobił jej zastrzyk. Pociuszając ją obietnicą, że za kilka chwil znowu będą razem, położył się u jej boku i przytulał, dopóki nie nabrał pewności, że nie żyje. Ponownie napełnił strzykawkę, podwinął rękaw koszuli i odszukał żyłę, ale sprawy nie potoczyły się tak, jak zaplanował. I wtedy do mnie zadzwonił.

- Nie umiem tego zrobić, Ewo. Tylko ciebie mogę prosić ... Proszę, pomóż mi umrzeć.

## Dyskretny cud

Boultonowie wywodzili się od angielskiego kupca z Liverpoolu, który ze swej ojczyzny wyemigrował w połowie dziewiętnastego wieku, za cały majątek mając ogromną ambicję, a skończył jako właściciel flotylii statków handlowych, dorabiając się

ogromnej fortuny w najbardziej wysuniętym na południe, najodleglejszym kraju świata. Wodzili rej pośród tutejszej kolonii brytyjskiej i tak samo jak inni żyjący poza swą wyspą Anglicy pielęgnowali z niedorzecznym uporem angielskie tradycje i język, aż wreszcie domieszka krwi kreolskiej położyła kres ich wyniosłości i ich niegdyś anglosaskie imiona zmieniły się na inne, bardziej swojskie.

Gilberto, Filomena i Miguel urodzili się, gdy finansowa świetność rodziny sięgnęła apogeum, ale za swego życia byli świadkami załamania się transportu morskigo i poważnego uszczuplenia rodzinnych dochodów. Chociaż przestali zaliczać się do najbogatszych, mogli zachować swój styl życia. Trudno było spotkać trzy osoby bardziej różniące się wyglądem i charakterem niż ta trójka rodzeństwa. Na starość charakter każdego z nich jeszcze się uwyraźnił, jednak mimo odmienności, w najważniejszych sprawach łączyło ich duchowe porozumienie.

Gilberto był siedemdziesięcilkuletnim poetą o delikatnych rysach twarzy i figurze tancerza. Życie mu upłynęło wśród książek i antyków, wolne od kłopotów materialnych. Tylko on z całej trójki kształcił się w Anglii, co odcisnęło na nim głębokie piętno. Nabral na zawsze upodobania do herbaty. Nigdy się nie ożenił, po części dlatego, że nie spotkał nigdzie tej jasnowłosej dziewczyny, jaka tyle razy pojawiała się w jego wierszach, a kiedy wreszcie przestał na nią czekać, było za późno, bo już górę w nim wzięły starokawalerskie nawyki. Naśmiewał się ze swoich niebieskich oczu, jasnych włosów i swego pochodzenia, mówiąc, że niemal wszyscy Boultonowie byli zwykłymi groszrobami, ale tak długo udawali arystokratów, że wreszcie sami uwierzyli w swoją błękitną krew. Ubierał się jednak w tweedowe marynarki, które miały na rękawach naszyte skórzane łąty, grał w brydża, czytał "Timesa" z trzytygodniowym opóźnieniem, miał ironiczny i flegmatyczny stosunek do życia, właściwy ponoć brytyjskim intelektualistom.

Okrągła i dobroduszna Filomena była już wdową i miała kilkoro wnuków. Tolerancyjna i zgodna potrafiła zaakceptować zarówno anglofilskie kaprysy Gilbreta, jak i Miguela w jego dziurawych butach i koszulach z postrzępionymi kołnierzykami. Cierpliwie znosiła wariactwa Gilberta i słuchała z niezmiennym entuzjazmem, jak recytuje swoje dziwaczne wiersze, zawsze też była gotowa pomagać Miguelowi w jego niezliczonych przedsięwzięciach. Ciągłe robiła na drutach kamizelki dla młodszego brata, a ten wkładał je kilka razy i natychmiast oddawał komuś bardziej potrzebującemu. Druty były przedłużeniem jej dłoni, poruszały się figlarnie, a ich bezustanne klikanie obwieszczało obecność Filomeny, podobnie jak zapach jaśminowej wody kolońskiej.

Miguel Boulton był księdzem. Obdarzony, w odróżnieniu od brata i siostry, śniadą cerą i ciemnymi włosami, był niskiego wzrostu i całe niemal ciało miał pokryte ciemnym i gęstym owłosieniem, co nadawało mu nieco zwierzęcy wygląd, z którym kontrastował dobrotliwy wyraz twarzy. W wieku siedemnastu lat porzucił wygody rodzinnej posiadłości i zjawiał się w domu tylko przy okazji niedzielnych obiadów rodzinnych albo gdy był ciężko chory i potrzebował opieki Filomeny, co zresztą zdarzało się bardzo rzadko. Wcale nie tęsknił za swym wygodnym, młodzieńczym życiem i mimo napadów złego humoru, uważał się za szczęśliwego człowieka i był zadowolony ze swego losu. Mieszkał obok miejskiego wysypiska śmieci, w nędznym osiedlu na obrzeżach miasta, gdzie ulice nie były brukowane i brakowało chodników i drzew. Miał chałupę zbudowaną z desek i cynkowych blach. Latem z ziemi wydobywały się czasem cuchnące wyziewy gazów, pochodzące z zakopanych w głębi odpadków. Za całe umeblowanie służyło mu stare łóżko, stół, dwa krzesła i półki na książki, na ścianach wisiały rewolucyjne plakaty, mosiężne krzyże wyrabiane przez więźniów politycznych, skromniutkie kilimy tkane przez matki zaginionych oraz chorągiewki jego

ulubionej drużyny piłkarskiej. Obok krucyfiks, przed którym każdego ranka przyjmował samotnie komunię świętą, a każdego wieczora dziękował Bogu za ciągle utrzymywanie go przy życiu, wisiał czerwony sztandar. Ojciec Miguel, dręczony namiętną potrzebą sprawiedliwości, w czasie swego długiego życia widział tyle ludzkiego cierpienia, że nie potrafił myśleć o własnym bólu, co w połączeniu z niezachwianym przekonaniem, że działa w imieniu Boga, czyniło go nieobliczalnym. Żołnierze, którzy po rewizji zabierali go ze sobą, oskarżając o działalność wywrotową, musieli mu kneblować usta, bo nawet pod ciosami pałek miotał przeciw nim wyzwiska obficie okraszone cytatami z Ewangelistów. Był już tylekroć zatrzymywany, prowadził już tyle strajków głodowych, udzielił schronienia tylu ściganym, że zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, powinien był już umrzeć kilka razy. Zdjęcie, na którym widać go, jak siedzi przed gmachem miejscowej policji politycznej z transparentem, który głosi, że w tym miejscu torturują ludzi, obiegało cały świat. Nie było takiej kary, której by się obawiał, a władzom nie starczało odwagi, żeby doprowadzić do jego "zaginięcia", jak uczyniły to w wielu innych przypadkach. Znadto był już znany. Wieczorami, gdy zasiadał przed domowym ołtarzykiem, by prowadzić rozmowy z Bogiem, nachodziły go wątpliwości co do prawdziwych motywów własnych działań. Na dobrą sprawę nie wiedział, czy kieruje nim miłość bliźniego i gorące pragnienie sprawiedliwości, czy też do wszystkiego popycha go diabelska pycha. Potrafił nie spać całe noce, opiekując się chorym, albo kołysać do snu dziecko, nucąc mu bolera, a równocześnie nie wierzył we własną szlachetność. Całe życie zmagał się z siedzącą w nim złością, od której gęstniała mu krew, i która objawiała się niepohamowanymi wybuchami. W skrytości ducha zastanawiał się, jak radziłby sobie z tą złością, gdyby okoliczności nie stwarzały mu dobrych pretekstów do rozładowania wewnętrznego napięcia. Filomena ciągle się o niego martwiła, ale Gilberto uważał, że jeśli przez niemal siedemdziesiąt lat balansowania na linie nie przydarzyło mu się nic poważnego, to nie ma żadnego powodu do niepokoju, bo anioł stróż jego brata wykazuje dużą skuteczność.

- Aniołów nie ma. To błędy semantyczne - odpowiadał Miguel.

- Nie bądź heretykiem, chłopie.

- Chodziło o zwykłych posłańców, dopóki święty Tomasz z Akwinu nie wymyślił całej tej bujdy.

- Chcesz mi powiedzieć, że przechowywane w Watykanie pióro świętego Archaniola Gabriela pochodzi z ogona sępa? - śmiał się Gilberto.

- Skoro nie wierzysz w anioły, to w nic nie wierzysz. Dlaczego dalej jesteś księdzem? Powinieneś zmienić zawód - wtrącała się Filomena.

- Kilka wieków już zmarnowano na dyskusje nad tym, ile aniołów zmieści się na łebku szpilki. A czy to ważne? Nie traćcie energii na anioły, można ją lepiej wykorzystać, pomagając ludziom!

Miguel stopniowo tracił wzrok i był już niemal ślepy. Na prawe oko nic nie widział, a na lewe niewiele, nie mógł czytać i trudno mu było wychodzić dalej niż poza najbliższe sąsiedztwo, bo gubił drogę. Coraz bardziej potrzebował pomocy Filomeny. Siostra towarzyszyła mu wszędzie albo posyłała samochód z szoferem, Sebastianem Canuto, którego Miguel wyciągnął kiedyś z więzienia i wyprowadził na dobrą drogę. Canuto, alias Nożyk, pracował dla rodziny od kilkunastu lat, a ostatnio, w tych niespokojnych czasach, stał się dyskretnym ochroniarzem księdza. Gdy rozchodziła się pogłoska, że szykuje się jakiś marsz protestacyjny, Filomena dawała mu dzień wolny, a on ruszał do osiedla Miguela, zaopatrzonego w pałkę i dwa schowane w kieszeniach kastety. Przyczajał się na ulicy i czekał, kiedy ksiądz wyjdzie z domu, a potem śledził go z odpowiedniej odległości, gotów bić się w jego obronie albo odciągnąć w bezpieczne miejsce, gdyby wymagała tego sytuacja. Słaby wzrok Miguela nie pozwalał mu się połapać w tych rodzinnych manewrach. W przeciwnym razie z pewnością wpadłby w furję, uważałby za niesprawiedliwe, że on dysponuje ochroną, gdy

tyczasem pozostali manifestanci muszą znosić bicie, strumienie wody i gaz łzawiący.

Tuż przed siedemdziesiątymi urodzinami Miguela w jego lewym oku nastąpił wylew i w ciągu kilku minut ksiądz pogrążył się w całkowitej ciemności. Znajdował się właśnie w kościele, na nocnym spotkaniu z mieszkańcami i mówił o konieczności zorganizowania się, żeby skutecznie walczyć z miejskim wysypiskiem śmieci, bo nie da się dalej żyć wśród much i takiego smrodu. Wielu ludzi z okolicy nie miało nic zgoła wspólnego z religią katolicką, twierdzili, że nie ma żadnych przekonujących dowodów na istnienie Boga, wprost przeciwnie, cierpienia, jakich doznawali, świadczyły niezbicie o tym, że życie jest ciągłą walką, ale nawet oni uważali salę parafialną za centrum życia tego przedmieścia. Krzyż, jaki Miguel nosił na piersi, traktowali jak pewien rodzaj starczej manii, więc nie robili z tego problemu. Kapłan, jak to miał w zwyczaju, chodził po sali, wygłaszając swoje przemówienie. Nagle poczuł gwałtowne uderzenie krwi w skroniach i w sercu i cały pokrył się lepkiem potem. Przypisał to gorącej atmosferze dyskusji, przetarł czoło rękawem i na chwilę zamknął powieki. Gdy je otworzył, zdało mu się, że jakiś wir powietrzny rzucił go na dno morza, odczuwał bowiem jakieś wewnętrzne pulsowanie i widział plamy czarne na czarnym tle. Wyciągnął przed siebie rękę, szukając pomocy.

- Wyłączyli nam światło - powiedział.

Przestraszeni przyjaciele otoczyli go kołem. Ojciec Boulton był wspaniałym towarzyszem, mieszkał wśród nich, odkąd mogli spać. Aż do tej chwili sądzili, że jest niezwyciężony. Był silnym, mocno zbudowanym mężczyzną, z głosem donośnym jak u kaprala i krzepkimi rękami murarza. Składał te ręce do modlitwy, ale tak naprawdę były stworzone do bitki. Nagle zrozumieli, jak bardzo się zestarzał, spostrzegli, że jest zgarbiony i mały, po prostu pomarszczone dziecko. Grupa kobiet zajęła się pierwszą pomocą, zmusiły go, żeby położył się na ziemi, położyły mu na głowie zmoczony ręcznik, dały do wypicia podgrzane wino, zrobiły mu nawet masaż stóp. Nic jednak nie przynosiło poprawy, wprost przeciwnie, chory tracił oddech od nadmiernego tarpmoszenia. Zdołał wreszcie uwolnić się od ludzi i stanąć na nogi, gotów zmierzyć się z tym nowym nieszczęściem twarzą w twarz.

- No, to jestem załatwiony - powiedział nie tracąc spokoju. - Zadzwońcie, proszę, do mojej siostry i powiedzcie jej, że mam kłopoty, tylko bez szczegółów, żeby się nie martwiła.

Godzinę później zjawił się Sebastian Canuto, ponury i milczący jak zwykle, oznajmiając, że pani Filomena ogląda właśnie kolejny odcinek telenoweli, ale przysłała trochę pieniędzy i kosz z jedzeniem dla ludzi.

- Tym razem nie o to chodzi, Nożyku. Chyba oślepiłem.

Mężczyzna pomógł mu wsiąść do samochodu i o nic nie pytając, zawiózł przez całe miasto do wytwornej rezydencji Boultonów, która wznosiła się pośród trochę zaniedbanego, lecz ciągle jeszcze wspaniałego parku. Dźwiękiem klaksonu przywołał wszystkich mieszkańców domu, pomógł choremu wsiąść i przeniósł go niemal na rękach, poruszony faktem, że jest taki lekki i uległy. Gdy mówił Filomenie i Gilbertowi, co się stało, po jego naznaczonej bliznami twarzy spływały łzy.

- Psiakrew, cholera, don Miguelito stracił oczy. Tylko nam tego brakowało - kierowca nie mógł powstrzymać płaczu.

- Nie wyrażaj się w obecności poety! - skarcił go kapłan.

- Połóż go do łóżka, Nożyku - zarządziła Filomena. - To nic poważnego, pewnie jakieś przeziębienie. Tak właśnie się dzieje, jak się nie nosi kamizelki!

- Czas stanął w miejscu, za dnia i nocą wciąż panuje zima, wokół sama cisza, jak

cisza anten tropiących ciemności\* - zaczął Gilberto.

- Powiedz kucharce, żeby ugotowała rosół z kury - przerwała mu siostra.

Rodzinny lekarz orzekł, że przeziębienie nie wchodzi tu w rachubę i zalecił, żeby Miguela obejrzał okulista. Nazajutrz, po pełnej pasji przemowie na temat zdrowia, które jest darem od Boga i naturalnym prawem ludu, a z którego nikczemny system polityczny zrobił przywilej jednej kasty, chory zgodził się pójść do specjalisty. Sebastian Canuto ruszył z trójką rodzeństwa do Szpitala Południowego, który był jedynym miejscem, na jakie zgodził się Miguel, bo leczono tam najbiedniejszych z biednych. Nagła ślepotą wprawiła księdza w ponury nastrój, nie mógł zrozumieć bożego zamysłu, który zmieniał go w inwalidę właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowano jego posługi. Nawet mu nie przyszło do głowy, by po chrześcijańsku poddać się woli bożej. Nie chciał się zgodzić, żeby go prowadzono lub podtrzymywano, wołał potykać się o przeszkody, nawet jeśli ryzykował złamaniem sobie ręki albo nogi, przy czym nie chodziło tu o żadną dumę, lecz o to, że chciał jak najszybciej dostosować się do nowej sytuacji. Filomena dała kierowcy dyskretne polecenie, żeby zmienił kierunek jazdy i zawiózł ich do kliniki niemieckiej. Jej brat jednak zbyt dobrze znał zapach biedy i nabrał podejrzeń, jak tylko przekroczyli próg budynku, a całkowicie się w nich upewnił, gdy w windzie usłyszał muzykę. Musieli zabrać go stamtąd bardzo szybko, żeby nie zdążył wywołać awantury. W Szpitalu Południowym czekali w kolejce do lekarza cztery godziny. Miguel przepytywał przez ten czas innych oczekujących z ich dolegliwościami, Filomena robiła na drutach, a Gilberto układał wiersz o antenach tropiących ciemności, którego pomysł zrodził mu się w głowie poprzedniego dnia.

- Prawego oka nie da się wyleczyć, a żeby przywrócić choć niewielką sprawność lewemu, należałoby je ponownie operować - powiedział lekarz, który wreszcie się nimi zajął.

- Było już trzykrotnie operowane i tkanki są bardzo osłabione. Operacja wymaga specjalnej techniki i specjalnej aparatury. Myślę, że jedyne miejsce, gdzie mogą się o to pokusić, to szpital wojskowy ...

- Nigdy! - przerwał mu Miguel. - Moja noga nigdy nie postanie w tej jaskini oprawców!

Przestraszony lekarz mrugnął do pielęgniarki, która odpowiedziała mu tym samym z porozumiewawczym uśmiechem.

- Nie przesadzaj, Miguel. Byłbyś tam wszystkiego dwa dni, nie sadzę, żebyś zdradził w ten sposób swoje zasady. Nie idzie się za to do piekła! - zauważyła Filomena, ale jej brat odpowiedział, że woli być ślepy przez resztę swoich dni niż sprawić wojskowym tę satysfakcję, że to oni przywrócą mu wzrok. Gdy wychodził, lekarz zatrzymał go na chwilę w drzwiach, chwytając za ramię.

- Niech ojciec posłucha ... Słyszał ojciec o klinice Opus Dei? Tam też dysponują bardzo nowoczesnym sprzętem.

- Opus Dei? - wykrzyknął ksiądz. - Powiedział pan Opus Dei?

Filomena usiłowała wyprowadzić go z gabinetu, ale zaparł się na progu, bo chciał poinformować doktora, że takich ludzi także nie zamierza prosić o pomoc.

- Ale dlaczego...? Przecież to katolicy.

- To faryzeusze, reakjoniści.

- Proszę wybaczyć - bąknął lekarz.

Gdy wreszcie znaleźli się w samochodzie, Miguel wyłuszczył rodzeństwu oraz kierowcy, że Opus Dei to złowieszczą organizacją, która bardziej zajmuje się uspokajaniem sumienia wyższych klas niż karmieniem tych, co umierają z głodu, i że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne niż jakiś bogacz dostanie się do Królestwa Niebieskiego, czy coś w tym stylu. Dodał jeszcze, że to, co się właśnie zdarzyło, jest kolejnym dowodem potwier-

---

\* Wiersz *Aunque es de noche* chilijskiego poety Carlosa Boltona.

dzającym opinię, że sprawy w tym kraju mają się źle, bo tylko uprzywilejowani mogą być leczeni godziwie, a pozostali muszą zadowolić się ziólkami miłosierdzia i okładami na odczepnego. Zażądał wreszcie, żeby odwieźli go prosto do domu, bo musi podlać geranium i przygotować niedzielne kazanie.

- Zgoda - odezwał się Gilberto, przygnębiony godzinami oczekiwania, widokiem nieszczęścia i brzydoty w szpitalu. Nie był do tego przyzwyczajony.

- Zgoda, że co? - spytała Filomena.

- Że nie możemy jechać do szpitala wojskowego, to byłaby nikczemność. Można by jednak dać szansę Opus Dei. Nie uważacie?

- Co ty wygadujesz?! - rzucił się na niego brat. - Już wam powiedziałem, co o nich sądzę.

- Ktoś mógłby pomyśleć, że nie mamy czym zapłacić! - wtrąciła Filomena, siląc się na cierpliwość.

- Zapytać zawsze można - zasugerował Gilberto, przecierając sobie szyję perfumowaną chusteczką.

- Ci z Opus Dei są tak zajęci pomnażaniem majątku ulokowanego w banku i haftowaniem złotymi nitkami księżych ornatów, że nie mają już sił, by dostrzec potrzeby innych. Nikt nie zasłuży na niebo bijąc pokłony, tylko ...

- Ale pan przecież nie jest biedny, don Miguelito - przerwał mu zza kierownicy Sebastian Canuto.

- Ty mnie, Nożyk, nie obrażaj! Jestem tak samo biedny, jak ty. Zawracaj i wieź nas do tej kliniki. Niech się poeta przekona, że jak zwykle buja w obłokach.

Zostali przyjęci przez uprzejmą recepcjonistkę, która poprosiła ich o wypełnienie formularza i zaproponowała kawę. Piętnaście minut później cała trójka wchodziła już do gabinetu.

- Zanim zaczniemy, doktorze, chcę wiedzieć, czy pan też jest z Opus Dei, czy tylko pan tutaj pracuje - odezwał się kapłan.

- Należę do Dzieła - uśmiechnął się łagodnie lekarz.

- Ile kosztuje wizyta? - W tonie księdza słychać było wyraźny sarkazm.

- Czy ma ojciec kłopoty finansowe?

- Proszę mi powiedzieć, ile.

- Nic, jeśli nie może ojciec zapłacić. Darowizny są dobrowolne.

Na krótką chwilę ojciec Boulton stracił rezon, ale jego zmieszanie nie trwało długo.

- To nie sprawia wrażenia instytucji charytatywnej.

- To prywatna klinika.

- Aha, przychodzą tu tylko tacy, co mogą dokonać darowizny.

- Proszę posłuchać, jeśli się ojcu nie podoba, proponuję, żeby ojciec wyszedł - odparł lekarz. - Najpierw jednak zrobimy badanie. Jeśli ojciec sobie życzy, może przyprowadzić wszystkich swoich podopiecznych, zajmiemy się tu nimi najlepiej jak można, bo na to właśnie płacą ci, którzy mają pieniądze. A teraz proszę się nie ruszać i otworzyć szeroko oczy.

Przeprowadziwszy drobiazgowo badanie, lekarz potwierdził poprzednią diagnozę, ale nie wykazał optymizmu.

- Mamy tu znakomity sprzęt, chodzi jednak o bardzo delikatną operację. Muszę być z ojcem szczerzy: tylko cud może ojcu przywrócić wzrok - zawyrokował.

Miguel był tak zamyślony, że ledwie go słuchał, ale Filomena uchwyciła się tej nadziei.

- Powiedział pan cud?

- No, tak trzeba by powiedzieć, proszę pani. Faktem jest, że nikt nie może zagwarantować, że znowu zacznie widzieć.



- Jeśli trzeba do tego cudu, to już ja wiem, gdzie się o to postarać - powiedziała Filomena, chowając do torby robótkę ręczną. - Bardzo dziękuję, doktorze. Proszę zacząć przygotowania do operacji, niedługo będziemy z powrotem.

Gdy znowu znaleźli się w samochodzie, Miguel milczał po raz pierwszy od dłuższego czasu, a Gilberto siedział wyczerpany następującymi jedno po drugim wydarzeniami. Filomena kazała Sebastianowi Canuto kierować się w stronę gór. Mężczyzna zerknął na nią z ukosa i uśmiechnął się zachwycony. Nieraz już woził swoją chlebobawczynię w te okolice i nigdy nie robił tego z ochotą, bo droga przypominała wijącego się węża. Tym razem jednak uskrzydlała go nadzieja, że mogą pomóc człowiekowi, którego szanował najbardziej na świecie.

- Dokąd znowu jedziemy? - mruknął Gilberto, przyzywając na pomoc całe swe brytyjskie wychowanie, żeby nie zemdleć ze zmęczenia.

- Lepiej się zdrzemnij, droga jest długa. Jedziemy do grotty Juany od Irysów - wyjaśniła mu siostra.

- Chyba zwariowałaś! - wykrzyknął zdumiony ksiądz.

- To święta.

- To kompletne brednie. Kościół nie wypowiedział się o niej.

- Watykan zwleka i sto lat, zanim uzna jakiegoś świętego. Nie możemy tyle czekać - orzekła Filomena.

- Skoro Miguel nie wierzy w anioły, tym bardziej nie uwierzy w błogosławione Kreolki, a już na pewno, jeśli ta Juana pochodzi z rodziny właścicieli ziemskich - westchnął Gilberto.

- To nie ma nic do rzeczy, ona żyła w ubóstwie. Nie poddawaj Miguelowi nowych pomysłów - powiedziała Filomena.

- Gdyby jej rodzina nie była gotowa wydać fortuny, żeby sobie zafundować własną świętą, nikt by nie wiedział o jej istnieniu - wtrącił się ksiądz.

- Czyni więcej cudów niż wszyscy twoi zagraniczni święci.

- Uważam w każdym razie, że to duża bezczelność prosić o specjalne traktowanie. Trudno i darmo, nie jestem nikim ważnym i nie mam prawa mobilizować nieba z powodu osobistych kłopotów - gderał ślepiec.

Juana zaczęła cieszyć się sławą po swej przedwczesnej śmierci. Okoliczni wieśniacy, będąc pod wrażeniem jej nabożnego życia i miłosiernych uczynków, prosili ją w modlitwach o różne przysługi. Wkrótce rozeszła się plotka, że zmarła potrafi czynić cuda i pogłoska ta przybierała coraz bardziej na sile, aż osiągnęła swój punkt kulminacyjny z powodu tak zwanego Cudu z Podróżnikiem. Człowiek ten błąkał się dwa tygodnie po górach i w chwili, gdy ekipy ratunkowe zaniechały dalszych poszukiwań i zamierzały uznać go za zaginionego, odnalazł się głodny i spragniony, ale cały i zdrowy. W wypowiedziach dla prasy opowiedział sen, w którym ukazała mu się dziewczyna ubrana w długą szatę i z bukietem kwiatów w ręce. Gdy się zbudził, poczuł silny zapach irysów i nabrał pewności, że to znak z nieba. Idąc za mocnym zapachem kwiatów, zdołał wyjść bezpiecznie z labiryntu wąwozów i przepaści i dotrzeć w końcu w pobliże jakiejś drogi. Porównawszy swoje marzenie senne z portretem Juany, zaświadczył, że chodzi o tę samą osobę. Rodzina dziewczyny zajęła się rozpowszechnieniem tej historii, wybudowała grotę w miejscu, w którym odnalazł się podróżnik i użyła wszystkich swych możliwości, by cała sprawa dotarła do Watykanu. Jednak orzeczenie sądu kardynalskiego ciągle jeszcze nie nadchodziło. Stolica Apostolska nie jest zwolenniczką pochopnych decyzji, od wielu stuleci sprawuje swą władzę z umiarem i niespiesznie i ma nadzieję, że będzie ją sprawować przez nadchodzące wieki, tak więc nie spieszy się z niczym, a już najmniej z beatyfikacjami. Otrzymuje wiele świadectw od wiernych z kontynentu południowoamerykańskiego, informacji o czczonych przez ludność prorokach, świętych,

kaznodziejach, słupnikach, męczennikach, pustelnikach i innych równie oryginalnych postaciach, ale nie widzi powodu, żeby od razu przed każdym padać na kolana. Takie sprawy wymagają wielkiej ostrożności, każde potknięcie grozi narażeniem się na śmieszność, szczególnie w naszych pragmatycznych czasach, w których łatwiej o niewiarę niż o wiarę. Zwolennicy Juany nie czekali jednak na watykański werdykt i sami zaczęli się do niej modlić jak do świętej. Sprzedawano obrazki i medaliki z jej podobizną, w dziennikach ukazywały się codzienne anonsy, w których ktoś dziękował za jakąś przysługę. W grocie posadzono tyle irysów, że ich zapach odurzał pielgrzymów, a okoliczne zwierzęta domowe stawały się bezpłodne. Od lampek oliwnych, gromnic i pochodni w powietrzu wisiała tak gęsta chmura dymu, a echo niesło po górach tyle nabożnych śpiewów i modlitw, że przelatujące kondory traciły orientację. W krótkim czasie miejsce zapełniło się tablicami pamiątkowymi, rozmaitego rodzaju aparatami ortopedycznymi oraz imitacjami ludzkich organów w miniaturze. Wierni przynosili je do grotty na dowód cudownego uzdrowienia. Dzięki publicznej zbiórce pieniędzy udało się zgromadzić fundusze na wybrukowanie drogi i w dwa lata powstała kręta, lecz przejezdna szosa łącząca kaplicę ze stolicą.

Rodzeństwo Boultonów dotarło do celu o zmierzchu. Sebastian Canuto pomógł trójce starszków pokonać ścieżkę prowadzącą aż do grotty. Mimo późnej pory, było tam pełno ludzi, jedni posuwali się na klęczkach po kamieniach, podtrzymywani przez krewnych, inni modlili się głośno lub zapalali świece przed gipsową figurą błogosławionej. Filomena i Nożyk przyklękli, żeby przekazać swoją prośbę. Gilberto usiadł na ławce i zagłębił się w rozmyślaniach nad zmiennymi kolejami życia, a Miguel stał, mruczając pod nosem, że jeśli już trzeba prosić o cuda, to dlaczego nie poproszą, żeby upadł tyran i raz na zawsze nastąpiła demokracja.

Kilka dni później lekarze z kliniki Opus Dei zrobili mu operację lewego oka, nie pobierając za to żadnej opłaty. Uprzedzili tylko rodzeństwo, że nie należy czynić sobie nadmiernych nadziei. Kapłan poprosił Filomenę i Gilberta, żeby ani słowem nie wspomiano o Juanie od Irysów, bo czuje się już dostatecznie upokorzony, przyjmując ratunek od swych ideologicznych rywali. Gdy tylko został wypisany ze szpitala, Filomena zabrała go do swego domu, nie zwracając uwagi na jego sprzeciw. Miguel miał opatrunek wielki na pół twarzy i czuł się osłabiony operacją, choć w niczym to nie zmieniało jego przywiązania do skromnego życia. Oświadczył, że nie potrzebuje opieki wynajętych ludzi, więc trzeba było odprawić zatrudnioną do pomocy pielęgniarkę. Opiekowanie się chorym wzięli na siebie Filomena i wierny Sebastian Canuto, a nie było to wcale lekkie zadanie, bo chory był w paskudnym nastroju, nie mógł wytrzymać w łóżku i nie chciał nic jeść.

Obecność księdza zmieniła całkowicie domowe obyczaje. Bez przerwy ryczały nadające na krótkich falach radiostacje opozycyjne albo Głos Moskwy, do drzwi pukali bezustannie przygnębieni mieszkańcy dzielnicy Miguela, zaniepokojeni stanem zdrowia chorego. Jego pokój zapełnił się skromnymi podarunkami. Były tam rysunki dzieci ze szkoły, herbatniki, plecione z traw maty, kwiatki hodowane w puszkach po konserwach, kura na zupe, a nawet dwumiesięczne szczenię, które sikało na perskie dywany i obgryzało nogi od mebli, a zostało przyprowadzone przez kogoś w nadziei, że uda się je wytresować na psa przewodnika. Chory szybko wracał do zdrowia i w pięćdziesiąt godzin po operacji Filomena zadzwoniła do lekarza, by powiadomić, że brat już całkiem nieźle widzi.

- Przecież mówiłem, żeby nie zdejmować opatrunku! - wykrzyknął lekarz.
- Opatrunek jest na swoim miejscu. Teraz widzi na drugie oko - wyjaśniła starsza pani.
- Jakie drugie oko?
- Na to, doktorze, które nie nadawało się do leczenia.
- Niemożliwe. Zaraz tam będę. Proszę go pod żadnym pozorem nie ruszać! - polecił

chirurg.

W domu Boultonów zobaczył, że pacjent w świetnym nastroju chrupie chipsy i ogląda telenowelę, trzymając na kolanach psa. Mimo pełnej niedowierzania miny przekonał się po chwili, że ksiądz widzi bez trudności na to oko, które było ślepe od ośmiu lat, a gdy zdjął mu opatrunek, okazało się, że widzi także na oko poddane operacji.

Ojciec Miguel obchodził siedemdziesiąte urodziny u siebie w parafii. Jego siostra Filomena wraz z przyjaciółkami przysłały całą karawanę samochodów, załadowanych po dachy tortami, ciastami, kanapkami, koszami owoców i dzbankami z czekoladą. Na czele karawany jechał Nożyk, wioząc litry wina i wódki rozlane dla niepoznaki do butelek po orszadzie. Ksiądz naszkicował na wielkich płachtach papieru historię swego burzliwego życia i zawiesił rysunki na ścianach kościoła. Przedstawił na nich z domieszką ironii zmienne koleje swego kapłańskiego powołania, od chwili gdy w wieku piętnastu lat poczuł silne, niczym uderzenie w kark, wezwanie od Boga, poprzez trudną walkę z grzechami głównymi - najpierw pychą i lubieżnością, potem ze złością - aż do całkiem nie dawnych przygód w koszarach policji, w które to przygody pakował się, będąc już w wieku, w jakim inni staruszkowie siedzą sobie w bujanych fotelach i kontemplują gwiazdy. Obok niezbędnych czerwonych sztandarów zawiesił portret Juany, ozdobiony kwietną girlandą. Spotkanie urodzinowe rozpoczęło się od mszy z udziałem czterech gitarzystów, na którą przyszli wszyscy sąsiedzi. Wcześniej zainstalowano głośniki, żeby tłum zgromadzony na ulicy przed kościołem mógł także uczestniczyć w liturgii. Po końcowym błogosławieństwie kilka osób wysunęło się do przodu, by dać świadectwo nowych nadużyć, jakich dopuściły się władze. Wtedy jednak energicznie wystąpiła także Filomena ogłaszając, że tym razem dość już narzekań, bo nastał czas na zabawę. Wszyscy wyszli więc na patio, ktoś nastawił muzykę i od razu rozpoczęły się tańce i obżarstwo. Panie z eleganckiej dzielnicy podały jedzenie, Nożyk puszczał sztuczne ognie, a ksiądz tańczył charlestona w otoczeniu wiernych i przyjaciół, żeby udowodnić, że nie tylko ma sokoli wzrok, lecz w dodatku nie ma sobie równych w harcach na parkiecie.

- Takie zabawy ludowe są pozbawione wszelkiej poezji - zauważył Gilberto, wypiwszy trzecią szklankę orszady, a choć po lordowsku sarkastyczny, nie potrafił ukryć dobrego nastroju.

- A teraz, ojcze, opowiedz nam o cudzie! - krzyknął jakiś głos, a reszta zgromadzonych dołączyła do tej prośby.

Kapłan kazał wyłączyć muzykę, poprawił rozchełstaną koszulę, jednym ruchem ręki przygładził niewielką ilość włosów, które okalały mu wianuszką głowę, i drżącym z wdzięczności głosem opowiedział o Juanie od Irysów, bo bez jej wstawiennictwa na nic by się zdały wszystkie osiągnięcia nauki i techniki.

- Łatwiej by jej było zaufać, gdyby to była proletariacka święta! - wyrwał się jakiś śmiałek, a jego uwaga wywołała ogólny wybuch śmiechu.

- Przestańcie się przypieprzać do cudu, bo święta mi się rozgniewa i znowu zostanie ślepy jak kret! - zaryczał oburzony ojciec Miguel. - Ustawiać się teraz w szeregu, bo musicie mi podpisać list do papieża!

I w ten sposób, śmiejąc się i popijając wino, wszyscy mieszkańcy podpisali wniosek o beatyfikację Juany od Irysów.

## Zemsta

Gdy w słoneczne południe koronowano Słodką Różę Orellano wiankiem z jaśminu jako królową karnawału, matki innych kandydatek szeptały, że to werdykt niesprawiedliwy i tytuł zdobyła tylko dlatego, że jest córką senatora Anzelma Orellano, najpotężniejszego

człowieka w całej prowincji. Owszem, przyznawały, że dziewczyna ma dużo wdzięku, umie grać na pianinie, a i w tańcu trudno jej dorównać, ale za to inne kandydatki wyraźnie górują nad nią urodą. Patrzyły, jak w sukience z organdy i w kwietnym wianku stoi na estradzie, pozdrawiając zgromadzony tłum, i złorzeczyły przez zaciśnięte zęby. I dlatego niejedna się ucieszyła, gdy kilka miesięcy później do domu rodziny Orellano zawitał zły los, siejąc wokół tyle nieszczęścia, że trzeba było aż dwudziestu pięciu lat, żeby uporać się z tym zatrutym plonem.

Wieczorem po wyborach królowej w ratuszu w Santa Teresa odbył się bal, na który zjechali młodzi z najodleglejszych wiosek, żeby poznać Słodką Różę. Była bardzo rozbawiona i lekko posuwała się w tańcu, więc wielu nie zauważyło, że rzeczywiście nie jest wcale najpiękniejsza. Gdy wrócili do swych domów, opowiadali, że nigdy nie widzieli równie urodziwej buzi. W taki oto sposób zdobyła sobie niezasłużoną sławę piękności i później trudno już było tak ugruntowaną opinię zmienić. Z ust do ust przekazywano sobie przesadnie wspaniały opis jej delikatnej skóry i jasnych oczu, a każda następna osoba dodawała do tego opisu coś jeszcze, co podsuwała jej własna wyobraźnia. Poeci z oddalonych miast układali sonety na cześć dziewczyny o imieniu Słodka Róża.

Wiść o piękności rozkwitającej w domu senatora Orellano dotarła także do uszu Tadeo Cespedesa. Nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek mógłby ją poznać, bo nie miał w życiu czasu uczyć się wierszy na pamięć ani przyglądać się kobietom. Jego żywiołem była wojna domowa. Odkąd pod nosem pojawił mu się wąs, nie rozstawał się z bronią i od wielu już lat pędził życie wśród huku wystrzałów. Zapomniał o czułości matczynych pocałunków, zapomniał nawet pieśni śpiewanych podczas mszy. Nie zawsze miał wystarczające powody, żeby prowadzić bitwy, bo zdarzały się okresy zawieszenia broni i na obszarach kontrolowanych przez jego ludzi nie pojawiali się żadni przeciwnicy. Nawet w okresach takiego wymuszonego pokoju żył jednak jak bandyta, bo przywykł do życia pełnego przemocy. Przemierzał kraj we wszystkich kierunkach, walcząc przeciw widomym wrogom, gdy takowi się pojawiali, albo przeciw urojonym, kiedy sam sobie wrogów wymyślał. Prowadziłby dalej taki tryb życia, gdyby jego partia nie wygrała wyborów prezydenckich. Z dnia na dzień z bandyty stał się człowiekiem sprawującym władzę i stracił wcześniejszą ochotę do buntu.

Ostatnim zadaniem Tadeo Cespedesa była ekspedycja karna do Santa Teresa. Na czele stu dwudziestu ludzi wpadł nocą do miasteczka, żeby dać nauczkę opozycji i wyeliminować jej przywódców. Ostrzelali okna budynków użyteczności publicznej, rozwalili bramę kościoła i wjechali na koniach aż pod główny ołtarz, tratując zagradzającego im drogę ojca Klemensa, zawrócili i z wojennym wrzaskiem pogalopowali dalej, wprost do wznoszącej się dumnie na wzgórzu willi senatora Orellano.

Senator czekał na Tadeo Cespedesa w otoczeniu dwunastu wiernych służących. Wcześniej zamknął córkę w pokoju położonym na samym końcu patia i spuścił psy. Jak przy wielu wcześniejszych okazjach i tym razem żałował, że nie ma męskich potomków, bo synowie mogliby walczyć i bronić honoru domu. Poczul, jak bardzo ciąży mu starość, nie miał jednak czasu długo się nad tym zastanawiać, bo na zboczach wzgórza ujrzał ognie stu dwudziestu pochodni, które zbliżały się z każdą chwilą i napełniały noc grozą. W milczeniu rozdzielił ostatnie porcje amunicji. Wszelkie słowa były zbędne, bo i bez nich każdy wiedział, że nim nastanie świt, przyjdzie im zginąć w walce.

- Ostatni weźmie klucz do pokoju, w którym zamknąłem córkę i spełni swoją powinność - powiedział senator, słysząc pierwsze wystrzały.

Wszyscy ludzie senatora znali Słodką Różę od dnia jej narodzin, zanim nauczyła się chodzić, sadzali ją sobie na kolana, w zimowe wieczory opowiadali jej bajki o duchach, słuchali, gdy uczyła się grać na pianinie i wzruszeni bili brawo, gdy koronowano ją na królową karnawału. Ojciec mógł umierać spokojny, że Tadeo Cespedes nigdy nie dostanie

jego córki żywej. Senator Orellano nie pomyślał tylko o tym, że mimo odwagi, z jaką stawał w walce, to właśnie on pozostanie przy życiu jako ostatni. Widział, jak jeden po drugim padają jego przyjaciele i w końcu zrozumiał, że dalszy opór nie ma sensu. Z raną postrzałową brzucha i oczami przysłoniętymi mgłą wspinał się na wysoki taras swej posiadłości, ledwie rozróżniając ciemne zarysy postaci. Zachował jednak tyle jasności umysłu, że dowłókł się aż na trzecie patio. Mimo zapachu potu, krwi i nieszczęścia, psy rozpoznały pana i przepuściły dalej. Włożył klucz do zamka, otworzył ciężkie drzwi i zobaczył jak przez mgłę czekającą na niego Słodką Różę. Dziewczyna miała na sobie tę samą sukienkę z organdy, co podczas święta karnawału, a we włosy wpięła kwiaty z karnawałowego wianka.

- Już czas, córko - powiedział, brocząc krwią i odbezpieczył broń.

- Niech mnie ojciec nie zabija - odpowiedziała mocnym głosem. - Powinnam żyć, żeby pomścić ojca i samą siebie.

Senator Anzelm Orellano przyjrzał się twarzy piętnastoletniej córki i wyobraził sobie, co zrobi z dziewczyną Tadeo Cespedes. Ale widząc stanowczość wyzierającą z jasnych oczu Słodkiej Róży, uwierzył, że córka przeżyje, by zemścić się na oprawcy. Dziewczyna usiadła na łóżku, a on opadł ciężko obok niej i wycelował w drzwi.

Kiedy ucichł śmiertelny skowyt psów, ustąpiła zasuwa, odskoczyła klamka i pierwsi ludzie wdarli się do pokoju. Senator wystrzelił sześć razy, nim stracił przytomność. Tadeo Cespedes miał wrażenie, że widzi anioła w koronie z jaśminów i w zakrwawionej, białej szacie trzymającego w objęciach konającego starca. Nie starczyło mu jednak litości, żeby spojrzeć po raz drugi, bo był w bitewnym amoku.

- Kobieta jest moja - warknął, nim jego ludzie zdołali jej dopaść.

Nazajutrz, w piątek, wstał dzień w kolorze ołowianym, zabarwionym czerwoną poświatą pożaru. Umilkły już ostatnie jęki i wzgórze tonęło w głębokiej ciszy. Słodka Róża zebrała siły, by stanąć na nogi i podejść do fontanny w ogrodzie, którą jeszcze poprzedniego dnia otaczały magnolie. Teraz na jej miejscu była tylko sadzawka pośród ruin. Powoli ściągnęła z siebie podartą sukienkę i naga zanurzyła się w zimnej wodzie. Słońce przedarło się przez gałęzie brzoź i dziewczyna dostrzegła w tym świetle, że woda przybiera różową barwę od jej własnej krwi spływającej między nogami i od krwi ojca, która zaschła jej we włosach. Gdy się umyła, cały czas spokojna i bez jednej łzy, wróciła do zrujnowanego domu, poszukała czegoś, czym mogłaby się przykryć, wzięła prześcieradło i wyszła na drogę, by zabrać zwłoki senatora. Napastnicy przywiązali go za nogi do konia i wlekli za galopującym zwierzęciem po zboczu wzgórze, aż został z niego żalony strzęp człowieka. Wiedziona miłością córka rozpoznała go jednak nieomylnie. Owinęła ciało płótnem i usiadła obok, czekając, aż brzask zmieni się w dzień. Tam znaleźli ją sąsiedzi z miasteczka Santa Teresa, gdy odważyli się wreszcie wejść na wzgórze, na którym znajdowała się willa rodziny Orellano. Pomogli Słodkiej Róży pogrzebać zabitych i dogasić resztki pożaru, a potem prosili ją, by zamieszkała u swej matki chrzestnej w innym miasteczku, gdzie nikt nie będzie znał jej historii. Dziewczyna jednak odmówiła. Wtedy pomogli jej odbudować dom. Podarowali jej także sześć dzielnych psów do obrony.

Od chwili, gdy napastnicy zabrali ze sobą jej jeszcze żywego ojca, a Tadeo Cespedes zamknął drzwi pokoju i rozpiął skórzany pas przy spodniach, Słodka Róża żyła po to, żeby się zemścić. Przez następne lata myśl o zemście nie pozwalała jej spać nocami i nie opuszczała jej w ciągu dnia. Dziewczyna nie straciła jednak ochoty do żartów ani chęci do życia. Fama o jej urodzie rozchodziła się coraz dalej, aż wreszcie Słodka Róża stała się żywą legendą. Codziennie wstawała o czwartej rano, żeby nadzorować prace w polu i w domu, objeżdżała wierzchem swoją posiadłość, targowała się niestrudzenie przy kupnie i sprzedaży, hodowała zwierzęta, a także magnolie i jaśminy w ogrodzie. Po południu odkładała broń, a spodnie i buty do konnej jazdy zamieniała na wytworne suknie, przywiezione w wyperfumowanych

kufrach aż ze stolicy. O zmierzchu zaczynali schodzić się goście i zastawali ją grającą na pianinie, gdy tymczasem służące przygotowywały tace z ciasteczkami i dzbanki z orszadą. Z początku ludzie zastanawiali się, jak to możliwe, że dziewczyna nie skończyła w domu wariatów albo w klasztorze sióstr karmelitanek, z biegiem czasu jednak przestali mówić o tragedii i wymazali z pamięci wspomnienie o zamordowanym senatorze. Kilku ogólnie znanych i majątnych kawalerów zdołało odsunąć od siebie myśl o gwałcie popełnionym na dziewczynie i, urzeczeni urodą i elokwencją Słodkiej Róży, zaproponowali jej małżeństwo. Wszystkich odprawiła z kwitkiem, bo celem jej życia stała się zemsta.

Tadeo Cespedes także nie mógł zapomnieć o zdarzeniach tamtej nocy. Gdy po kilku godzinach jechał do stolicy, żeby zdać sprawę z wykonanego zadania, otrząsnął się już z morderczego szału i wywołanej gwałtem euforii. Stała mu wtedy przed oczyma ubrana w balową suknię i jaśminowy wianek dziewczyna, która w tamtym ciemnym, przesiąkniętym zapachem prochu pokoju zniosła w milczeniu wszystko, co z nią robił. Pamięć podsunęła mu następny obraz, gdy leżała już na podłodze, ledwie osłonięta poplamionymi na czerwono łachmanami, nieprzytomna i pogrążona w litościwym śnie. Ten obraz wracał do niego każdej nocy przed zaśnięciem, do końca życia. Czasy pokoju, udział w rządzeniu i sprawowanie władzy uczyniły z Tadeo Cespedesa pracowitego i spokojnego człowieka. W miarę upływu czasu zapomniano o wojnie domowej i ludzie zaczęli nazywać go po prostu don Tadeo. Kupił sobie hacjendę po drugiej stronie gór, zaczął pracować jako sędzia i wreszcie wybrano go na burmistrza. Gdyby nie prześladowające go niestrudzone wspomnienie Słodkiej Róży Orellano, może stałby się nawet na swój sposób szczęśliwy, jednak patrząc na kobiety, które pojawiały się na jego drodze, które brał w ramiona szukając ukojenia lub które przez te wszystkie lata kochał, widział zawsze twarz królowej karnawału. Nie mógł wymazać z pamięci jej imienia, bo na domiar złego, pojawiała się bez przerwy w twórczości ludowych wierszokletów. Wspomnienie dziewczyny przygniatało go coraz bardziej, wypełniało każdy zakamarek pamięci i wreszcie nadszedł dzień, kiedy nie mógł już tego znieść. Obchodził właśnie pięćdziesiąte siódme urodziny i siedział na honorowym miejscu przy długim stole, za którym zgromadzili się liczni przyjaciele i współpracownicy. Nagle zdało mu się, że widzi na obrusie nagą postać wśród jaśminowych pączków. Zrozumiał wówczas, że nie uwolni się od tego koszmaru nawet po śmierci. Grzmotnął pięścią w stół, aż zatrzęsła się zastawa, i kazał podać sobie kapelusz i laskę.

- A dokąd pan się wybiera, don Tadeo? - spytał prefekt.

- Naprawić pewną starą krzywdę - odpowiedział i wyszedł bez słowa pożegnania.

Nie musiał jej długo szukać, bo wiedział, że mieszka nadal w tym samym domu, gdzie spotkało ją nieszczęście, i tam właśnie skierował swój samochód. W owych czasach drogi były dobre i odległości wydawały się krótsze. W ciągu dziesięcioleci zmienił się krajobraz, ale za ostatnim zakrętem na wzgórzu oczom mężczyzny ukazała się dokładnie ta willa, którą pamiętał z dawnych czasów, nim jeszcze jego ludzie dokonali na nią najścia. Oto solidne, kamienne mury, które rozwalił kiedyś ładunkami dynamitu, oto stare kasetonowe stropy z drewna, które wtedy zajęły się ogniem, oto drzewa, na których kazał powiesić trupy, oto patio, gdzie powyrzelał wszystkie psy. Zatrzymał pojazd sto metrów od wejścia i nie odważył się jechać dalej, bo czuł, że serce łomocze mu w piersi jak szalone. Zamierzał zawrócić i odjechać tam, skąd przyjechał, gdy wśród różanych krzewów pojawiła się spowita w obszerne spódnice postać. Zmrużył oczy i całym sercem zapragnął, żeby go nie rozpoznała. W łagodnym, popołudniowym świetle Słodka Róża Orellano zbliżała się, jakby płynęła po

ścieżkach ogrodu. Widział jej włosy, jasną twarz, pełne harmonii ruchy, falowanie sukni i pomyślał, że oto znalazł się w samym środku snu, który trwa nieustannie od dwudziestu pięciu lat.

- Nareszcie przyjechałeś, Tadeo Cespedesie - powiedziała na jego widok. Nie dała się zwieść czarnemu strojowi burmistrza ani siwym włosom mężczyzny w średnim wieku, bo nadal miał te same dłonie bandyty.

- Prześladowałaś mnie bez przerwy. Nikogo nie potrafiłem w życiu kochać. Tylko ciebie - wyszeptał łamiącym się ze wstydu głosem.

Słodka Róża Orellano westchnęła zadowolona. Przez cały ten czas wzywała go w myślach dniem i nocą i wreszcie przed nią stał. Nadeszła jej godzina, ale gdy spojrzała mu w oczy, nie odnalazła tam dawnego oprawcy, tylko świeże łyzy. Szukała w sercu pielęgnowanej przez całe życie nienawiści i również nie potrafiła jej znaleźć. Przywołała tamtą chwilę, w której poprosiła ojca o łaskę zostawienia jej przy życiu, aby mogła wypełnić obowiązek, odżyło w niej wspomnienie mocnego uścisku mężczyzny, którego tyle razy przeklinała, i tamtego ponurego brzasku, gdy owijała w prześcieradło szczątki ojca. Powtórzyła w pamięci plan zemsty, ale zamiast spodziewanej radości, czuła głęboką melancholię. Tadeo Cespedes ujął delikatnie jej rękę i pocałował wierzch dłoni, na który kapnęły łyzy. Zrozumiała wówczas z przerażeniem, że tak długo o nim myślała i na wyrost rozkoszowała się karą, że jej uczucia całkiem się odmieniły i że teraz go kocha.

W ciągu następnych dni oboje dali ujście skrywanej długo miłości i po raz pierwszy w swym szorstkim i surowym życiu rozkoszowali się bliskością innego człowieka. Spacerowali po ogrodach, opowiadając o sobie nawzajem i nie pomijając w tych rozmowach owej fatalnej nocy, która zmieniła ich los. Wieczorami ona grała na pianinie, a on palił słuchając muzyki, i opanowywała go wielka czułość i otulał się szczęściem niczym płaszczem, odganiając precz wszystkie dawne koszmary. Po kolacji Tadeo Cespedes odjeżdżał do Santa Teresa, gdzie nikt już nie pamiętał o tamtych przerażających zdarzeniach. Mieszkał w najlepszym hotelu i stamtąd kierował przygotowaniem do swego ślubu. Pragnął wesela z rozmachem, szerokim gestem, pełnego wrzawy, w którym wzięłoby udział całe miasteczko. Odkrył miłość w wieku, w którym inni mężczyźni porzucili już złudzenia, i dzięki temu odzyskał siłę młodości. Pragnął otoczyć Słodką Różę uczuciem i pięknem, dać jej wszystko, co można kupić za pieniądze, i spróbować wynagrodzić w swych starych latach krzywdę, jaką wyrządził jej w młodości. Niekiedy wpadał w popłoch. Wpatrywał się uważnie w jej twarz, szukając jakichś znaków urazy, odnajdywał jednak tylko promienny blask odwzajemnionej miłości i to przywracało mu ufność. Tak upłynął miesiąc pełen szczęścia.

Na dwa dni przed ślubem, gdy ustawiano już stoły na przyjęcie w ogrodzie, bito świnię, zabijano ptactwo na ucztę weselną i ścinano kwiaty, by ozdobić nimi dom, Słodka Róża Orellano przymierzyła suknię ślubną. Odbicie w lustrze przypomniało jej z taką mocą dzień, w którym wybrano ją na królową karnawału, że nie mogła dalej oszukiwać własnego serca. Wiedziała, że nigdy nie dokona zaplanowanej zemsty, bo kocha mordercę, a to znaczyło, że nie wypełni także obietnicy danej ojcu. Odprawiła krawcową, wzięła nożyczki i poszła do pokoju przy trzecim patio, który przez cały czas pozostawał niezamieszkały.

Tadeo Cespedes szukał jej wszędzie i nawoływał rozpaczliwie. Szczekanie psów zaprowadziło go na drugi kraniec domu. Przy pomocy ogrodników wyważył podparte drzwi i wszedł do pokoju, w którym ujrzał niegdyś anioła w jaśminowej koronie. Znalazł Słodką Różę Orellano. Taką widywał ją w koszmarach sennych każdej nocy, w tej samej pokrzwawionej sukience z organdy. Zrozumiał, że będzie żył aż do dziewięćdziesięciu lat po to tylko, żeby spłacić swą winę, wspominając bez końca tę jedyną kobietę, jaką kochał.

## Fałszywe listy miłosne

Matka Analii Torres umarła w gorączce popołogowej, a dwa tygodnie później ojciec z rozpaczem strzelił sobie z rewolweru prosto w serce. Konał kilka dni z imieniem zmarłej żony na ustach. Zarządzanie rodzinnymi dobrami przejął jego brat Eugeniusz, on też, wedle własnego uznania, zdecydował o losie sieroty. Do szóstego roku życia Analia mieszkała w pokojach dla służby w domu swego opiekuna, uczeptiona spódnicy indiańskiej niani, a gdy osiągnęła wiek szkolny, wysłano ją do szkoły z internatem w stolicy, prowadzonej przez siostry od Najświętszego Serca, gdzie pozostała następne dwanaście lat. Była dobrą i zdyscyplinowaną uczennicą, lubiła surowy charakter kamiennego budynku, kaplicę z figurami świętych, przesiąkniętą wonią wosku i irysów, nagie korytarze, cieniste patia. Najmniej pociągała ją paplanina i piski uczennic oraz cierpki zapach klasowych pomieszczeń. Gdy tylko udawało jej się zmylić czujność zakonnic, biegła na poddasze, żeby, ukrywając się pośród pozbawionych głów posągów i połamanych mebli, opowiadać sobie w samotności różne historie. Zanurzała się wtedy w panującej na strychu ciszy z poczuciem popełniania grzesznego występku.

Co sześć miesięcy dostawała krótki list od swego stryja Eugeniusza, zalecał jej dobre sprawowanie i dbałość o pamięć rodziców, którzy byli dobrymi chrześcijanami i czuliby się dumni, gdyby ich jedynaczka poświęciła życie na wypełnianie boskich przykazań cnoty, czyli wstąpiła jako nowicjuszka do zakonu. Po pierwszej takiej wzmiance Analia powiadomiła stryja, że nie zamierza iść do zakonu, i trwała uparcie w swym postanowieniu, choć głównie dlatego, żeby sprzeciwić się opiekunowi, bo w gruncie rzeczy podobało jej się życie zakonne. Myślała, że gdyby skryła się pod habitem, może potrafiłaby znaleźć prawdziwy spokój. Instynkt popychał ją jednak do działań wbrew radom opiekuna, podejrzewała, że jego namowy wynikają bardziej z zakusów na jej ziemię niż z życzliwości. Nic, co pochodziło od niego, nie wzbudzało jej zaufania, gdzieś musiała kryć się pułapka.

Kiedy Analia skończyła szesnaście lat, stryj po raz pierwszy odwiedził ją w szkole. Matka przełożona wezwała dziewczynę do swego gabinetu i musiała ich sobie przedstawić, bo od czasów indiańskiej niańki oboje na tyle się zmienili, że nie poznaliby się nawzajem.

- Widzę, że siostrzyczki dobrze o ciebie dbają, Analio - odezwał się stryj, mieszając czekoladę w filiżance. - Wyglądasz na zdrową, a nawet jesteś ładna. W ostatnim liście powiadomiłem cię, że poczynając od tych urodzin będziesz otrzymywać co miesiąc pewną sumę na własne wydatki, tak jak zapisał to w testamencie mój świętej pamięci brat.

- Ile?

- Sto pesos.

- Rodzice zostawili mi tylko tyle?

- Nie, oczywiście, że nie. Dobrze wiesz, że należy do ciebie hacjenda, choć rolnictwo to nie jest zajęcie dla kobiet, tym bardziej teraz, w czasach zamętu. Na razie będę ci przekazywał miesięczną pensję, którą co roku będzie się zwiększać, aż staniesz się pełnoletnia. Potem zobaczymy.

- Co zobaczymy, stryjku?

- Zobaczymy, co będzie dla ciebie najlepsze.

- Jaki mam wybór?

- Będzie ci potrzebny mężczyzna, który zarządzałby majątkiem, dziecko. Robiłem to przez te wszystkie lata i nie jest to łatwe zadanie, ale wziąłem na siebie ten obowiązek, obiecałem to memu bratu w jego ostatniej godzinie i jestem gotów dalej robić to dla ciebie.

- Nie będzie już stryj musiał długo się trudzić. Jak wyjdę za mąż, sama zajmę się swoją ziemią.



- Powiedziała: jak wyjdę za mąż? Co to znaczy, matko przełożona? Ktoś się o nią stara?

- Co też panu przyszło go głowy, panie Torres! Bardzo dbamy o dziewczynki. To tylko taki sposób mówienia. Co ta mała wygaduje!

Analia Torres wstała, poprawiła mundurek, skłoniła się raczej łobuzersko i wyszła. Matka przełożona naląła gościowi więcej czekolady, mówiąc, że takie nieuprzejme zachowanie można tłumaczyć jedynie tym, że dziewczyna prawie nie ma kontaktu z rodziną.

- To jedyna uczennica, która nigdy nie wyjeżdża na wakacje i której nikt nie przysyła prezentu na Boże Narodzenie - zakończyła suchym tonem.

- Takie ceregiele to nie ja, ale zapewniam matkę, że bardzo szanuję bratanicę i dbam o jej interesy jak ojciec. Ale ma matka rację, Analia potrzebuje serdeczności, kobiety są sentymentalne.

Przed upływem miesiąca stryj znowu zjawił się w szkole, tym razem jednak nie prosił o spotkanie z bratanicą, powiadomił tylko matkę przełożoną, że jego syn pragnie korespondować z Analią i prosił, by przekazywała jej jego listy, bo może koleżeńskie kontakty z krewniakiem wzmocnią więzy rodzinne.

Listy zaczęły nadchodzić regularnie. Zwykły biały papier i czarny atrament, duże i wyraźne pismo. Niektóre opowiadały o życiu na wsi, o porach roku i zwierzętach, inne o zmarłych już poetach i myślach zawartych w ich wierszach. Czasami koperta zawierała jakąś książkę albo rysunek zrobiony tą samą, pewną ręką kaligrafa. Analia usiłowała tych listów nie czytać, wierna swemu przekonaniu, że wszystko, co pochodzi od stryja, skrywa w sobie jakieś niebezpieczeństwo, ale w nudnym, szkolnym życiu listy stwarzały jej jedyną możliwość, by puścić wodze fantazji. Chowala się na strychu już nie po to, by wymyślać nieprawdopodobne historie, lecz żeby czytać po wielokroć linijki nakreślone ręką kuzyna. Zawsze rozpoznałaby ten charakter pisma i odróżniła palcami fakturę papieru. Początkowo mu nie odpowiadała, ale po jakimś czasie nie mogła się już powstrzymać. Listy były pisane coraz bardziej przemyślnie, żeby przechytryć cenzurę matki przełożonej, która otwierała całą korespondencję. Młodzi ludzie stawali się sobie coraz bliżsi i wkrótce wypracowali na własny użytek sekretny język, w którym zaczęli pisać do siebie o miłości.

Analia Torres nie pamiętała, by swego kuzyna, podpisującego się jako Ludwik, kiedykolwiek widziała, bo kiedy sama mieszkała w domu stryja, jego syn przebywał w szkole z internatem w stolicy. Była pewna, że musi być brzydki, może chory albo kaleka, bo wydawało jej się niemożliwe, żeby tak głęboka wrażliwość i tak żywa inteligencja szły w parze z pociągającym wyglądem. Usiłowała naszkicować w wyobraźni portret kuzyna: niski i gruby jak ojciec, z twarzą zeszpeconą bliznami po ospie, kulawy i prawie łysy. Jednak im więcej przydawała mu wad, tym bardziej była gotowa go kochać. Ważne jest bogactwo ducha, bo tylko ono nie niszczy, a nawet rozkwita w miarę upływu lat, uroda nierealnych bohaterów bajek nie jest nic warta, może nawet skłaniać do głupich zachowań, powtarzała sobie dziewczyna, choć na tych rozważaniach kładł się cień niepewności. Zadawała sobie pytanie, czy będzie umiała znieść prawdziwie wielką brzydotę.

Korespondencja między Analią i Ludwikiem Torresem trwała dwa lata. Pod koniec tego okresu dziewczyna miała już pudło na kapelusze wypełnione listami i serce całkowicie zajęte. Jeśli nawet czasami błyskała jej w głowie myśl, że ten związek może stanowić część planu stryja, by Ludwik przejął w swoje ręce dobra, jakie odziedziczyła po rodzicach, odrzucała natychmiast takie podejrzenie, zawstydzona własną małostkowością. W dniu osiemnastych urodzin Analii matka przełożona wezwała ją do siebie, zawiadamiając, że ktoś przyszedł do niej w odwiedziny. Analia Torres domyśliła się o kogo chodzi, i o mało nie pobiegnęła schować się na poddaszu pełnym zapomnianych świętych, przerażona perspektywą spotkania z mężczyzną, który tak długo żył tylko w jej wyobraźni. Kiedy weszła do refektarza i stanęła naprzeciw gościowi, trudno jej było ukryć rozczarowanie.

Ludwik Torres nie był koślawym karłem, jakiego wymyśliła w swoich marzeniach i nauczyła się kochać. Był postawnym mężczyzną, z sympatyczną twarzą o regularnych rysach, dziecinnymi jeszcze ustami, ciemną i zadbaną brodą, jasnymi oczyma o długich rzęsach, ale pozbawionymi wyrazu. Przypominał trochę świętych z kaplicy, nazbyt ładny i jakby trochę matołkowaty. Analia otrząsnęła się z pierwszego wrażenia i pomyślała, że skoro pokochała całym sercem garbusa, tym bardziej może kochać tego eleganckiego młodzieńca, który całuje ją w policzek, rozsiewając wokół delikatny zapach lawendy.

Od pierwszego dnia po ślubie Analia poczuła odrazę do Ludwika. Kiedy w haftowanej pościeli na zbyt miękkim łóżku przygniótł ją sobą, wiedziała już, że wcześniej zakochała się w jakimś urojeniu i nigdy nie uda jej się przenieść tej wymaginowanej namiętności w ich małżeńską rzeczywistość. Początkowo ganiła się za te uczucia, a potem kiedy już nie mogła ich w sobie stłamsić, starała się wyrwać je z serca z korzeniami. Ludwik był miły, a czasami nawet zabawny, nie zamęczał jej przesadnymi wymaganiami, nie starał się także zmieniać na siłę jej upodobania do samotności i ciszy. Przyznawała sama przed sobą, że przy odrobinie dobrej woli mogłaby znaleźć w tym związku nieco szczęścia, przynajmniej tyle samo, ile by uzyskała, przywdziewając habit zakonny. Ten dziwny wstręt do mężczyzny, którego kochała dwa lata, nawet nie znając, nie wynikał z żadnych wyraźnych powodów. Nie potrafiła także wyrazić słowami swoich emocji, a nawet gdyby to umiała zrobić, to i tak nie było obok niej osoby, z którą mogłaby o tym porozmawiać. Czowała się oszukana, bo obraz korespondencyjnego narzeczonego nie pasował nijak do męża z krwi i kości. Ludwik nigdy nie wspominał o listach, a gdy ona napomykała o nich, od razu zamykał jej usta szybkim pocałunkiem i powiadał, że taki romantyzm nie przystoi w życiu małżeńskim, że w małżeństwie ważniejsze od młodzieńczych listów są zaufanie, szacunek, wspólne interesy i przyszłość rodziny. Nie istniała między nimi prawdziwa zażyłość. Za dnia każde zajmowało się własnymi sprawami, a spotykali się nocą. Pośród puchowych poduszek Analia - przyzwyczajona do twardej szkolnej pryczy - miała wrażenie, że się dusi. Czasami obejmowali się pospiesznie, ona nieruchoma i napięta, a on jak ktoś, kto musi zaspokoić wymagania własnej fizjologii, bo nie potrafi sobie z nią poradzić. Ludwik zasypiał natychmiast, a ona leżała jeszcze długo z otwartymi oczyma i ściśniętym gardłem. Chcąc przezwyciężyć niechęć, jaką w niej budził, Analia chwyciła się różnych sposobów. Czasami wbijała sobie do głowy szczegóły jego wyglądu, żeby nauczyć się go kochać, czasami przedstawiała myśleć o czymkolwiek i przenosiła się w inną rzeczywistość, gdzie nie mógłby jej dosięgnąć. Modliła się, żeby była to tylko przejściowa odraza, ale mijały miesiące, a zamiast oczekiwanej ulgi niechęć rosła w niej coraz bardziej, aż zmieniła się w nienawiść. Ku jej zdziwieniu pewnej nocy przyśnił jej się okropny mężczyzna, który ją pieścił palcami poplamionymi czarnym atramentem.

Małżonkowie Torres mieszkali w posiadłości kupionej przez ojca Analii, gdy były to jeszcze dzikie tereny, ziemia żołnierzy i bandytów. Teraz dom znajdował się obok szosy i w niewielkiej odległości od kwitnącego miasteczka, gdzie co roku odbywały się jarmarki rolne. Oficjalnie to Ludwik zarządzał majątkiem, ale w rzeczywistości spełniał tę funkcję stryj Eugeniusz, bo Ludwika nudziły wiejskie sprawy. Kiedy ojciec i syn zasiadali po obiedzie w bibliotece, żeby napić się koniaku i rozegrać partyjkę domina, Analia słyszała, jak stryj opowiadał o swych decyzjach w sprawach inwestycji, bydła, zasiewów i zbiorów. Podczas rzadkich okazji, gdy odważała się wtrącać i wyrazić własne zdanie, mężczyźni wysłuchiwali jej z udawaną uwagą, zapewniając, że będą mieli na względzie jej sugestie, potem jednak postępowali po swojemu. Analia dosiadała czasem konia, żeby pędzić galopem po pastwiskach aż do podnóża gór, i bardzo pragnęła być mężczyzną.

Narodziny syna nie zmieniły uczuć Analii do męża. W czasie ciąży jeszcze bardziej uwydatnił się jej milkliwy charakter, choć Ludwika to nie zaniepokoiło, bo wiązał wszystko z

jej odmiennym stanem. Poza tym głowę zaprzętały mu inne sprawy. Po porodzie Analia przeniosła się do oddzielnego pokoju, z jednym wąskim i twardym łóżkiem. Kiedy syn skończył rok, a ona nadal zamykała drzwi do swego pokoju na klucz i unikała okazji, by przebywać z mężem sam na sam, Ludwik uznał, że nadszedł już czas, żeby domagać się większego poważania i ostrzegł żonę, że jeśli nie zmieni swego nastawienia, będzie musiał wejść siłą. Nigdy wcześniej nie widziała go tak wzburzonego. Ustąpiła bez słowa. W ciągu następnych siedmiu lat narosło między nimi takie napięcie, że stali się w istocie wrogami, choć przy osobach trzecich traktowali się z przesadną uprzejmością, jak ludzie dobrze wychowani. Tylko synek domyślał się wrogości, jaka istniała między rodzicami, budził się z płaczem i nocami moczył łóżko. Analia zamknęła się w skorupie milczenia i sprawiała wrażenie kogoś, kto usycha powoli od środka. Natomiast Ludwik stał się bardzo towarzyski i beztroski, oddawał się uciechom, nie stronił od kieliszka i coraz częściej przepadał na kilka dni, wdając się w różne przygody, o których ze sobą nie rozmawiali. Kiedy wreszcie zaniechał ukrywania przed żoną swoich hulanek, Analia znalazła kilka dobrych powodów, żeby jeszcze bardziej się od niego odsunąć. Ludwik przestał się zupełnie interesować sprawami gospodarstwa, a zadowolona z takiego obrotu spraw żona chętnie go zastąpiła. W niedziele po obiedzie stryj Eugeniusz omawiał z nią wszystkie decyzje w jadalni, gdy tymczasem Ludwik kładł się spać i wstawał dopiero pod wieczór cały spocony i z bolącym brzuchem, zawsze jednak chętny do dalszego szwendania się po knajpach z koleżkami.

Analia nauczyła syna pisać i liczyć i starała się wpoić mu zamiłowanie do książek. Kiedy mały skończył siedem lat, Ludwik postanowił, że należy zadbać o lepsze wykształcenie syna, z dala od matczynych pieczyt, i chciał posłać go do szkoły z internatem w stolicy, ale Analia rzuciła się na niego z taką wściekłością, że musiał zgodzić się na mniej drastyczne rozwiązanie. Posłał go do szkoły w miasteczku, gdzie pozostawał w internacie tylko od poniedziałku do piątku, a w sobotnie poranki samochód przywoził go do domu na dwa dni. Po pierwszym tygodniu Analia przyglądała się synowi pełna niepokoju, szukając powodów, dla których mogłaby zatrzymać go w domu na stałe, nie mogła jednak ich znaleźć. Chłopiec wydawał się zadowolony, z prawdziwym entuzjazmem opowiadał o nauczycielu i kolegach, jakby przebywał z nimi od urodzenia. Przestał moczyć się nocami. Po trzech miesiącach przyniósł oceny i pełen pochwał list od nauczyciela. Analia przeczytała list z drżeniem serca i uśmiechnęła się po raz pierwszy od bardzo dawna. Wzruszona wzięła syna w objęcia, wypytując o każdy szczegół: jak wyglądają sypialnie, co dają do jedzenia, czy nocami nie jest zimno, ilu ma kolegów, jaki jest nauczyciel. Uspokoila się wyraźnie i przestała mówić o zabranii dziecka ze szkoły. W następnych miesiącach chłopiec przynosił same dobre stopnie, a Analia zbierała je niczym skarby i nagradzała słoczkami konfitur i koszykami najrozmaitszych owoców. Usiłowała nie myśleć o tym, że jest to jedynie szkoła podstawowa i za kilka lat trzeba będzie posłać małego na dalszą naukę do miasta, a ona będzie go widywać tylko w czasie wakacji.

Któregoś wieczoru, podczas hulanki w miasteczku, Ludwik Torres wypił trochę za dużo i chcąc popisać się przed kompanami z gospody swymi jeździeckimi umiejętnościami, wziął się do ujeżdżania cudzego konia. Wierzchowiec zrzucił go na ziemię i jednym wierzgnięciem kopyta rozgniół mu jądra. Torres zmarł wyjąc z bólu dziewięć dni później w stołecznej klinice, dokąd zawieziono go w nadziei, że lekarze zapobiegną zakażeniu. Gdy umierał, była przy nim żona, która szlochała w poczuciu winy, że nigdy nie potrafiła go pokochać, a równocześnie z głęboką ulgą, że nie będzie już musiała modlić się o jego śmierć. Zanim Analia wróciła na wieś ze zwłokami męża w trumnie, kupiła sobie białą suknię i zapakowała ją głęboko do walizki. Wjechała do miasteczka ubrana na czarno, z twarzą zasłoniętą żałobną woalką, żeby nikt nie mógł dostrzec wyrazu jej oczu. Tak samo wyglądała na pogrzebie, stała wyprostowana i trzymała za rękę ubranego również na czarno syna. Stryj Eugeniusz, który mimo siedemdziesiątki nadal świetnie się trzymał, zaproponował synowej

po pogrzebie, żeby zostawiła pod jego opieką majątek, a sama przeniosła się do miasta, chłopiec mógłby tam ukończyć nauki, a ona łatwiej zapomni o minionych cierpieniach.

- Przecież dobrze wiem, Analio, że mój biedny Ludwik i ty nigdy nie byliście szczęśliwi - powiedział.

- Ma stryj rację. Ludwik od początku mnie oszukiwał.

- Na Boga, co ty mówisz, zawsze traktował cię mądrze i z szacunkiem. Ludwik był dobrym mężem. Wszyscy mężczyźni miewają drobne przygody, ale to nie ma żadnego znaczenia.

- Nie chodzi mi o to, lecz o pewne oszustwo, którego nie dało się naprawić.

- Nie chcę o niczym wiedzieć. Uważam w każdym razie, że tobie i dziecku byłoby dużo lepiej w mieście. Niczego wam nie braknie. Ja zajmę się gospodarstwem, bo co prawda jestem stary, ale całkiem rzeźki i potrafię jeszcze powalić byka, jeśli tylko zechcę.

- Zostanę tutaj. Mój syn też zostanie, bo musi mi pomóc w gospodarstwie. Przez ostatnie lata więcej czasu spędziłam na polu, niż zajmowałam się domem. Jedyna różnica polega na tym, że teraz sama będę podejmować decyzje, nie pytając nikogo o zdanie. Nareszcie ta ziemia jest tylko moja. Żegnaj, stryju Eugeniuszu.

Pierwsze tygodnie zajęło Analii zorganizowanie swego życia na nowo. Najpierw spaliła pościel, w której sypiała wspólnie z mężem i kazała przenieść swoje wąskie łóżko do stołowego pokoju. Potem przestudiowała dogłębnie wszystkie księgi rachunkowe i gdy tylko zdobyła jaką taką wiedzę o swoich dobrach, znalazła rządcę, który zajął się wykonywaniem poleceń bez zbędnych pytań. Kiedy uznała, że panuje już nad sytuacją, wyjęła z walizki białą suknię, wyprasowała ją starannie, włożyła, i tak wystrojona pojechała samochodem do szkoły w miasteczku, trzymając pod pachą stare pudło na kapelusze.

Analia Torres zaczekała na podwórzu, aż dzwon bijący o piątej ogłosi koniec ostatniej lekcji i gromada dzieci wybiegnie na patio. Wśród dzieci dostrzegła pędzącego radośnie syna, który stanął jak wryty na jej widok, bo ... matka zjawiała się w szkole po raz pierwszy.

- Zaprowadź mnie do swojej klasy, chcę poznać twego nauczyciela - powiedziała.

Przy drzwiach Analia kazała chłopcu odejść, bo chciała omówić pewną prywatną sprawę, i weszła do środka sama. Była to duża i wysoka sala, na ścianach wisiały mapy i rysunki do lekcji biologii. Panował w niej taki sam zaduch i unosił się ten sam zapach dziecięcego potu, jaki pamiętała z dzieciństwa, tym razem jednak jej to nie przeszkadzało, wprost przeciwnie, z radością wciągnęła nosem powietrze. Po całym dniu nauki ławki stały nieporządnie, na podłodze leżały jakieś papiery, kałamarze były pootwierane. Tablica była zapisana jakimiś obliczeniami. Za biurkiem, na lekkim podwyższeniu w głębi klasy, siedział nauczyciel. Zdumiony uniósł głowę, ale nie podnosił się, jego kule inwalidzkie stały odstawione do kąta, zbyt daleko, by po nie sięgnąć, nie przesuwając krzesła. Analia przeszła między dwoma rzędami ławek i zatrzymała się przed mężczyzną.

- Jestem matką Torresa - powiedziała pierwsze zdanie, jakie jej przyszło do głowy.

- Dobry wieczór pani. Korzystam z okazji i dziękuję za przysyłane nam słodczyce i owoce.

- Dajmy temu spokój, nie przyszłam bawić się w uprzejmości. Przyszłam się z panem rozliczyć - powiedziała Analia, stawiając na stole pudło na kapelusze.

- Co to jest?

Otworzyła pudło i wyjęła z niego stare listy miłosne, jakie trzymała tam cały czas. Rzucił jedno szybkie spojrzenie na stos kopert.

- Jest mi pan winien jedenaście lat życia - powiedziała Analia.  
- Skąd pani wie, że to ja je pisałem? - wybąkał, kiedy zdołał już wydobyć z siebie głos, który uwiązał mu w gardle.  
- Już w dzień ślubu odkryłam, że nie mógł ich napisać mój mąż, a gdy syn przyniósł do domu pierwszą wystawioną przez pana laurkę, rozpoznałam charakter pisma. Kiedy teraz na pana patrzę, nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, bo widuję pana w snach, odkąd skończyłam szesnaście lat. Dlaczego pan to zrobił?  
- Ludwik Torres był moim przyjacielem i gdy poprosił mnie o napisanie za niego listu do kuzynki, nie dostrzegłem w tym niczego złego. Tak samo było z drugim i trzecim. Potem, gdy pani odpisała, nie mogłem się już wycofać. Tamte dwa lata były najlepszymi latami w moim życiu, jedynymi, kiedy na coś czekałem. Czekałem na pocztę.  
- Ach, tak.  
- Czy może mi pani wybaczyć?  
- To zależy od pana - odpowiedziała Analia, podając mu kule.  
Nauczyciel włożył marynarkę i wstał. Oboje wyszli na pełne wrzawy podwórko, rozświetlone promieniami zachodzącego słońca.

## Urojony pałac

Przed pięcioma wiekami, gdy dzielni zabijacy z Hiszpanii, na swych wycieńczonych wierzchowcach i w zbrojach rozżarzonych od amerykańskiego słońca, stanęli na ziemiach Quinara, Indianie już od kilku tysięcy lat przychodzili na świat i umierali w tym miejscu. Konkwistadorzy zatykając swoje flagi ogłosili przez heroldów odkrycie nowego terytorium, oświadczając, że staje się ono własnością jakiegoś dalekiego władcy, postawili pierwszy krzyż i ochrztili miejsce jako San Jeronimo, która to nazwa w języku tubylców była niemożliwa do wymówienia. Indianie przyglądali się tej pełnej buty ceremonii nieco zdziwieni, ale już wcześniej dotarły do nich wiadomości o brodatych wojownikach, którzy przemierzali świat z chrzestem żelaza i hukiem wystrzałów, zdążyli też usłyszeć, że sieją po drodze płacz i jęki i żaden ze znanych ludów nie umie stawić im czoła: wszystkie wojska ulegały tej garstce centaurów. Indianie byli starożytnym, lecz tak ubogim plemieniem, że nawet przybrany w strojne pióropusze monarcha nie zadawał sobie trudu ściągania z nich danin, a przy tym wyróżniali się tak łagodnym usposobieniem, że nikt ich nie brał na wojnę. Żyli w pokoju od zarania dziejów i nie zamierzali zmienić swoich obyczajów z powodu jakichś grubiańskich przybyszów. Zdali sobie jednak szybko sprawę z potęgi wrogów i zrozumieli, że nie sposób ich lekceważyć, bo ich obecność zaczęła ciążyć, jak wielki kamień przytroczony do pleców. W następnych latach ci Indianie, którzy nie zmarli od niewolniczej pracy, rozmaitych tortur towarzyszących intronizacji nowych bogów albo od nieznanych wcześniej chorób, uciekli w głąb puszczy i z biegiem czasu zatracili nawet nazwę swego plemienia. Ukrywając się wciąż niczym cienie wśród listowia, przez całe stulecia mówili do siebie szeptem i wyruszali ze swych siedzib tylko po zmierzchu. W sztuce ukrywania się doszli do takiego mistrzostwa, że historia ich nie zauważyła i nie ma dzisiaj żadnego śladu, by kiedykolwiek istnieli. Książki o nich nie wspominają, ale okoliczni wieśniacy twierdzą, że można ich usłyszeć w lesie, i ilekroć jakiejś młodej pannie zaczyna rosnać brzuch, a nie można znaleźć tego, kto ją uwiódł, przypisują dziecko jakiemuś chutliwemu Indianinowi. Miejscowa ludność szczyci się tym, że ma domieszkę krwi tych niewidzialnych istot, która połączyła się w jej żyłach w jeden strumień z krwią angielskich piratów, hiszpańskich żołnierzy, afrykańskich niewolników, awanturników poszukujących Eldorado i wszystkich imigrantów, jacy trafiali w te strony z pustą sakwą i głową pełną marzeń.

Europa spożywała coraz więcej kawy, kakao i bananów, niż mogliśmy

wyprodukować, ale ten wielki popyt nie przyniósł nam bogactwa i nadal jesteśmy tak samo biedni jak zawsze. Sytuacja się odmieniła, gdy pewien Murzyn z wybrzeża wbił ostrze szpadla w ziemię, żeby wykopać studnię i strumień ropy trysnął mu prosto w twarz. Pod koniec pierwszej wojny światowej rozpowszechniło się przekonanie, że jest to zamożny kraj, choć prawie wszyscy jego mieszkańcy dalej brodzili po kostki w błocie. W rzeczywistości złoto zapełniało jedynie sejfy Dobroczyńcy oraz jego świty, ale można było mieć nadzieję, że pewnego dnia narodowi też się trochę dostanie. Mijało właśnie dwadzieścia lat demokracji totalitarnej, jak zwykł określać swoje rządy Dożywotni Prezydent, podczas których duszono w zarodku każdy przejaw buntu, a to dla większej chwały wodza. W stolicy dawały się zauważyć oznaki postępu, pojawiły się pojazdy mechaniczne, kinematograf, lodziarnie, tor wyścigów konnych i jeden teatr, gdzie pokazywano sprowadzone z Nowego Jorku lub z Paryża przedstawienia. W porcie codziennie cumowały dziesiątki statków transportujących ropę oraz inne, przywożące rozmaite nowinki, jednak cała reszta kraju była nadal pogrążona w trwającym od wieków letargu.

Pewnego dnia ludzi z San Jeronimo wyrwały z popołudniowej drzemki potężne uderzenia młotów, które zapowiadały rychłe pojawienie się w tych stronach kolei. Stolica miała zostać połączona linią kolejową z tą prowincjonalną dziurą, bo Dobroczyńca wybrał ją jako miejsce budowy swego Letniego Pałacu. Posiadanie Letniego Pałacu upodabniało go do europejskich monarchów, choć w tym kraju nikt nie potrafił rozróżnić zimy od lata, przyroda dyszała wilgocią i żarem przez cały rok. Jedynym powodem, dla którego postanowił wznieść monumentalną budowlę właśnie w tym miejscu, była opinia wygłoszona przez pewnego belgijskiego przyrodnika. Człowiek ów powiedział, że jeśli w mieście o raj na ziemi jest jakieś ziarnko prawdy, to raj ten musiał znajdować się właśnie tutaj, wśród krajobrazu o tak niezwyklej urodzie. Wedle jego obserwacji las dawał schronienie ponad tysiącowi gatunków różnokolorowych ptaków, rosły w nim także najrozmaitsze odmiany dzikiej orchidei, poczynając od wielkiej niczym kapelusze *Brasias* aż po małą *Pleurothallis*, którą można dostrzec tylko przez lupę.

Pomysł wzniesienia pałacu wyszedł od włoskich budowniczych, jacy stawili się przed Jego Ekscelencją z planami upstrzonej ozdobami marmurowej willi, prawdziwego labiryntu szerokich korytarzy i niezliczonych kolumn o bogatych zwieńczeniach. Willa obfitowała w kręcone schody, łukowate sklepienia, przestronne salony, kuchnie, sypialnie, miała też ponad trzydzieści łazienek ozdobionych złotymi i srebrnymi kurkami. Budowa kolei była pierwszym i niezbędnym etapem przedsięwzięcia, należało jakoś dostarczyć do tej zapadłej dziury tony materiałów i setki robotników, a ponadto majstrów oraz rzemieślników sprowadzonych aż z Włoch. Zabawa we wznoszenie tej architektonicznej łamigłówki trwała cztery lata, odmieniła życie flory i fauny, a jej koszt okazał się równy cenie budowy wszystkich okrętów krajowej marynarki wojennej. Wszystko opłacano jednak punktualnie ciemną, oleistą cieczą tryskającą z ziemi, a w dniu rocznicy Chwalebnege Przejęcia Władzy została przecięta wstęga i Letni Pałac otworzył podwoje. Z tej okazji przybrano lokomotywę kolorami flagi państwowej, wagony towarowe zastąpiono osobowymi, a na siedzeniach obitych pluszem i angielską skórą podróżowali odświętnie ubrani goście, wśród nich kilku przedstawicieli najstarszej arystokracji. Chociaż gardzili okrutnym uzurpatorem, nie mieli odwagi odrzucić jego zaproszenia.

Dobroczyńca był zwykłym chamem, o nawykach wiejskiego parobka, kąpał się w zimnej wodzie, sypiał na rozłożonej na ziemi macie z pistoletem pod ręką i nie zdejmując butów, odżywiał się pieczonym mięsem i kukurydzą, pijał wyłącznie wodę i kawę. Cygara z czarnego tytoniu były jedynym luksusem, na jaki sobie pozwalał, wszystko inne, łącznie z picciem alkoholu, którego prawie nigdy nie podawano do stołu, bo patrzył na to krzywym okiem, traktował jako dobre dla degeneratów albo pedałów. Z biegiem czasu musiał jednak przystać na odrobinę subtelności w swoim otoczeniu, bo zdawał sobie sprawę, że musi

wywierać dobre wrażenie na dyplomatach i znakomitych gościach zza granicy, żeby w świecie nie przylgnęła do niego opinia barbarzyńcy. Nie miał żony, która wpłynęłaby na prowadzony przez niego tryb życia. Uważał, że miłość to niebezpieczna słabość, był przekonany, że prócz jego własnej matki wszystkie inne kobiety są utajonymi dziwkami i najrozsądniej jest trzymać się od nich z daleka. Mawiał, że mężczyzna śpiący w miłosnym uścisku jest równie bezbronny jak siedmiomiesięczne niemowlę, dlatego też wymagał, żeby jego generałowie mieszkali w koszarach i ograniczali życie rodzinne do sporadycznych odwiedzin. Żadna kobieta nie spędziła w jego łóżku całej nocy ani nie mogła się pochwalić niczym prócz chwili pospiesznego seksu, żadna nie zapadła mu w serce aż do chwili, gdy na jego drodze stanęła Marcia Lieberman.

Bal na otwarcie Letniego Pałacu zapisał się w annałach rządów Dobroczyńcy. Przez dwa dni i dwie noce zmieniające się orkiestry grały wytrwale najmodniejsze melodie, a kucharze nie strudzenie szykowali dania bankietowe. Najpiękniejsze Mulatki Karaibów, wystrojone w specjalnie uszyte na tę okazję suknie, tańczyły w salonach z wojskowymi, którzy mieli piersi obwieszane orderami, choć nigdy nie brali udziału w żadnej bitwie. Na gości czekały rozmaite atrakcje: śpiewacy sprowadzeni z Hawany i z Nowego Orleanu, tancerki flamenco, sztukmistrze, żonglerzy i akrobaci. Można było zagrać w karty albo rozegrać partyjkę domina, zorganizowano nawet polowanie na króliki, które służba specjalnie wypuściła z klatek, aby rasowe charty gości mogły je ścigać. Polowanie zakończyło się, gdy jakiś wesolek powystrzelał czarne łabędzie pływające po stawie. Niektórzy goście opadli z wyczerpania na fotele i kanapy, oszołomieni tańcem i alkoholem, inni skakali w ubraniach do basenu albo parami zamykali się w pokojach. Dobroczyńcy to nie interesowało. Powitawszy gości krótkim żołnierskim przemówieniem, ruszył do pierwszego tańca w parze z najwyższą postawioną w hierarchii damą, a potem wrócił do stolicy, z nikim się nie żegnając. Zabawy wprawiały go w zły humor. Trzeciego dnia pociąg zabrał w powrotną podróż wyczerpanych biesiadników. Letni Pałac przedstawiał sobą oplakany widok, łazienki wyglądały jak gnojowiska, na zasłonach widniały żółte zacieki z moczu, meble miały podartą tapicerkę, a rośliny dogorywały w doniczkach. Trzeba było całego tygodnia, żeby obsługa pałacu posprzątała po tym trzęsieniu ziemi.

Nigdy więcej pałac nie stał się widownią orgii i pijatyk. Co jakiś czas Dobroczyńca kazał się tam po południu zawozić, żeby uwolnić się od napięcia związanego ze sprawowaniem urzędu, nigdy jednak nie pozwalał sobie na dłuższy niż trzy- lub czterodniowy odpoczynek z obawy, że podczas jego nieobecności konspiratorzy mogą się rozzuchwalić. Musiał ciągle sprawować nadzór, żeby władza nie wymknęła mu się z rąk. W wielkim budynku pozostawała tylko obsługa pałacu. Kiedy ucichł hałas maszyn budowlanych i huk pędzącego pociągu i gdy przebrzmiało echo balu inauguracyjnego, w okolicę powrócił spokój, ponownie zakwitły orchidee i zagnieździły się ptaki. Mieszkańcy San Jeronimo wrócili do zwykłych zajęć i prawie udało im się zapomnieć o istnieniu Letniego Pałacu. Wówczas powoli zaczęli wracać niewidzialni Indianie i objęli pałac w posiadanie.

Pierwsze oznaki ich obecności były tak delikatne, że nikt nie zwrócił na nie uwagi: kroki i szmery, sylwetki znikające wśród kolumn, ślad ręki na jasnej powierzchni stołu. Powoli zaczęło znikać z kuchni jedzenie, a z piwniczek butelki wina, rankami widać było, że w łóżkach ktoś spał. Pracownicy obwiniali jedni drugich, ale nie odważyli się mówić o tym głośno, bo wtajemniczenie w całą sprawę oficera dyżurnego nie leżało w niczyim interesie. Nie sposób było pilnować całego domu, kiedy sprawdzali jeden pokój, z pokoju obok dobiegały westchnienia, ale kiedy tam wchodziłi, zastawali tylko poruszające się jeszcze zasłony, jakby ktoś dopiero co przeszedł między nimi. Zaczęła krążyć plotka, że pałac jest nawiedzony, i wkrótce strach udzielił się także żołnierzom, którzy zaprzestali nocnych obchodów i tkwili na swych posterunkach, rozglądając się wokół i kurczowo ściskając broń. Przestraszona służba nie schodziła już do piwnic i na wszelki wypadek zamknięto na klucz

niektóre pomieszczenia. Zajęcia w ciągu dnia ograniczały się do kuchni, a nocą wszyscy spali w jednym skrzydle budynku. Resztę pałacu pozostawiono bez dozoru, we władzy owych bezcielesnych Indian, którzy podzielili pokoje niewidzialnymi liniami i zamieszkali w nich niczym psotne duchy. Nie miał się ich mijający czas, umieli dostosować się do nieuniknionych zmian, a kiedy była taka potrzeba, ukryć się w sobie znanym wymiarze. Znaleźli schronienie w pokojach pałacu, kochali się tam bez najmniejszego szmeru, rodzili się bez fanfar i umierali bez lamentów. Poznali tak dobrze wszystkie zakamarki marmurowego labiryntu, że potrafili bez przeszkód dzielić jego przestrzeń ze strażnikami i służbą i nigdy na nich nie wpadali, jakby żyli w innym wymiarze.

Ambasador Lieberman wysiadł w porcie wraz z żoną i z okazałym bagażem. Zabrał w podróż psy, wszystkie meble, bibliotekę i zbiór płyt z muzyką operową oraz rozmaity sprzęt sportowy, włącznie z żaglówką. Odkąd poznał nazwę kraju, do którego miał być wysłany, szczerze go nie cierpiał. Opuszczał stanowisko pierwszego radcy w Wiedniu motywowany ambicją, by awansować na ambasadora, choćby na tak zacofanym kontynencie jak Ameryka Południowa, która skądinąd nie budziła w nim najmniejszej sympatii. Natomiast jego żona, Marcia, przyjęła tę wiadomość jak najlepiej. Była gotowa podążać za mężem wszędzie w jego dyplomatycznej pielgrzymce i choć czuła, że coraz bardziej się od niego oddala, a życie światowe wcale jej nie obchodzi, to wiedziała, że u jego boku dysponuje ogromną swobodą. Wystarczyło wypełnić niewielkie wymagania stawiane żonie dyplomaty, a całą resztę czasu miała dla siebie. Prawdę mówiąc jej zajęty pracą i uprawianiem sportu mąż niemal nie dostrzegał istnienia żony, zauważał jedynie, kiedy jej nie było. Żona była dla Liebermana nieodzownym dopełnieniem kariery, przydawała mu blasku w życiu towarzyskim i skutecznie zajmowała się wszystkimi domowymi sprawami. Uważał ją za lojalną współpracowniczkę, ale nie podjął jeszcze trudu, żeby poznać jej wrażliwość. Marcia spojrzała na mapy i do encyklopedii, żeby dowiedzieć się szczegółów o dalekim kraju, zaczęła także uczyć się hiszpańskiego. Podczas dwutygodniowego rejsu przez Atlantyk przeczytała książki belgijskiego przyrodnika i przed zejściem na ląd już była zakochana w spalonej słońcem ziemi. Marcia miała samotnicze usposobienie, więcej radości sprawiało jej uprawianie ogródka niż towarzyszenie mężowi na salonach. Doszła do wniosku, że w tym nowym kraju nie będzie miała tylu zobowiązań towarzyskich i poświęci się czytaniu książek, malowaniu i podziwianiu piękna przyrody.

Na początku Lieberman polecił, żeby zainstalowano wentylatory w każdym pokoju jego rezydencji. Zaraz potem złożył listy uwierzytelniające. Kiedy Dobroczyńca przyjął go w swym gabinecie, ambasadorostwo mieli za sobą zaledwie kilka dni spędzonych w mieście, ale plotka o urodzie żony nowego ambasadora już zdążyła dotrzeć do uszu przywódcy. Zgodnie z nakazami protokołu zaprosił ich na kolację, znosząc cierpliwie arogancję i gadatliwość dyplomaty. Wyznaczonego wieczoru Marcia Lieberman weszła do sali przyjęć pod rękę ze swoim mężem, a Dobroczyńca oniemiał na widok kobiety. Widywał przedtem piękniejsze twarze i smuklejszą kibić, nigdy jednak nie widział tyle wdzięku. Powróciły do niego wspomnienia dawnych podbojów, a krew zaczęła krążyć szybciej w jego żyłach. Podczas spotkania trzymał się z daleka, przyglądając się ukradkiem ambasadorowej. Urzekła go jej długa, smukła szyja, powłóczyście spojrzenie, wytworna gestykulacja i dystynkcja. Być może przyszło mu do głowy, że jest od niej czterdzieści kilka lat starszy, a jego natarczywość może zakończyć się skandalem dyplomatycznym. Myśl tajemniczo nie podziałała na niego otrzewiająco, wprost przeciwnie, sprawiła, że budzące się pożądanie okazało się namiętnością nie do przezwyciężenia.

Marcia Lieberman odczuwała niczym niewinną pieszczotę natrętne spojrzenie mężczyzny. Zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lecz nie znajdowała w sobie siły, by mu zaradzić. W pewnej chwili chciała poprosić męża, żeby już wyszli, lecz zamiast tego



siedziała nadal, pragnąc w głębi ducha, by starzec do niej podszedł, choć gdyby rzeczywiście to zrobił, zerwałaby się do ucieczki. Nie wiedziała, dlaczego drży. Nie czyniła sobie złudzeń, oznaki starości widoczne były z daleka: skóra naznaczona zmarszczkami i plamami, wysuszone ciało, chwiejny krok. Mogła sobie wyobrazić jego stęchły zapach i domyślała się, że pod białymi rękawiczkami z kozłej skóry jego dłonie przypominają szpony. Jednak w oczach dyktatora, choć zamglonych przez wiek i pamięć popełnionych okrucieństw, była nadal siła, która unieruchomiła ją w krześle.

Dobroczyńca nie potrafił zalecać się do kobiet, nigdy przedtem nie było takiej konieczności. To podziało na jego korzyść, bo gdyby próbował uwodzicielskich sztuczek, wydałby się jej odrażający i sama by się z pogardą wycofała. Nie potrafiła natomiast odmówić, gdy po kilku dniach stanął przed jej drzwiami ubrany całkiem po cywilnemu i bez przybocznej ochrony, jak smutny dziadek, i powiedział, że od dziesięciu lat nie dotknął kobiety, jest już na takie pokusy za stary, prosi ją jednak z całym szacunkiem, by zechciała się z nim udać w pewne ciche miejsce, gdzie będzie mógł złożyć głowę na jej królewskich kolanach i opowiedzieć, jak wyglądał świat, gdy jej jeszcze na nim nie było, a on był już postawnym mężczyzną.

- A mój mąż? - zdołała zapytać Marcia ledwie słyszalnym głosem.

- Pani mąż, dziecko, nie istnieje. Teraz jesteśmy tylko pani i ja - odpowiedział Dożywotni Prezydent i poprowadził ją pod ramię do swego czarnego packarda.

Marcia nie wróciła do domu i nim upłynął miesiąc, ambasador Lieberman wyjechał z powrotem do swego kraju. Poruszył niebo i ziemię, by żonę odzyskać. Początkowo odmawiał przyjęcia do wiadomości tego, co nie było dla nikogo tajemnicą, a gdy zdobył niepodważalne dowody, że Marcia została uprowadzona, poprosił szefa państwa o audiencję i zażądał powrotu żony. Tłumacz starał się łagodzić słowa ambasadora, ale prezydent uchwycił ich ton i wykorzystał to jako pretekst, żeby pozbyć się raz na zawsze nierozsądnego męża. Oświadczył, że Lieberman wysuwając bezpodstawne i absurdałne oskarżenia, obraża jego naród i nakazał mu w ciągu trzech dni opuścić kraj. Zaproponował tylko, że powinien zrobić to dyskretnie, żeby nie narażać na szwank godności kraju ambasadora, bo nikt przecież nie ma zamiaru zrywać stosunków dyplomatycznych ani utrudniać swobodnego kursowania tankowców. Na koniec dodał tonem obrażonego ojca, że nie rozumie jego zaślepienia i żeby odjeżdżał spokojny, bo pod jego nieobecność poszukiwania żony nadal będą trwały. Aby wykazać swą dobrą wolę, wezwał szefa policji i wydał mu instrukcje w obecności ambasadora. Nawet jeśli Lieberman był w pewnej chwili zdecydowany odmówić wyjazdu bez Marcii, szybko zrozumiał, że naraziłby się tym samym na śmierć w skrytobójczym zamachu, więc spakował dobytek i opuścił kraj przed końcem wyznaczonego terminu.

Miłość zawładnęła Dobroczyńcą niespodziewanie w wieku, w jakim na ogół pozostaje się już nieczułym na uniesienia serca. Kataklizm ten tak bardzo wzburzył mu zmysły, że przeniósł na powrót w wiek młodzieńczy, choć nie zdołał uśpić lisiej przebiegłości. Rozumiał, że zapadł na starczą namiętność i że nie sposób oczekiwać, by Marcia odwzajemniła jego uczucia. Nie wiedział, dlaczego poszła z nim owego popołudnia, ale rozsądek mu podpowiadał, że nie zrobiła tego z miłości. Nie wiedział nic o kobietach, więc uznał, że dała się skusić w nadziei na przeżycie jakiejś przygody albo powodowana żądzą władzy. W rzeczywistości poszła z nim z litości. Kiedy starzec objął ją niespokojny, z oczyma pełnymi łez, płacząc z upokorzenia, bo nie panował już nad własną męskością jak dawniej, ona z cierpliwą łagodnością pomogła mu odzyskać dumę. Dzięki temu udało się biedakowi przekroczyć próg i przez kilka chwil przechadzał się po darowanych mu ciepłych ogrodach, by zaraz potem runąć w przepaść z morderczo galopującym sercem.

- Zostań ze mną - poprosił Dobroczyńca, gdy już opanował swój męski lęk.

I Marcia została: wzruszyła ją samotność starego dyktatora, a próba sforsowania muru, za którym człowiek ten przeżył osiemdziesiąt lat, pociągała ją bardziej niż perspektywa

powrotu do małżeńskiej rutyny.

Dobroczyńca trzymał Marcję w ukryciu w jednej ze swych posiadłości i codziennie ją tam odwiedzał. Nigdy nie zostawał na noc. Czas im upływał na niespiesznych pieszczotach i na rozmowie. Ona opowiadała mu w łamanym hiszpańskim o swoich podróżach i przeczytanych książkach, a on, niewiele rozumiejąc z tych opowieści, słuchał z rozkoszą kadencji jej głosu. Kiedy indziej to on wracał wspomnieniami do dzieciństwa na pustynnych andyjskich płaskowyżach albo do czasów służby wojskowej, ale gdy zadawała mu jakieś pytanie, natychmiast zamykał się w sobie i spoglądał na nią spod oka jak na wroga. Marcia zauważyła tę zapiekłą nieufność i zrozumiała, że nawyk podejrzliwości jest w nim dużo silniejszy niż potrzeba czułości i po dwóch tygodniach przestała z tym walczyć. Gdy wygasła w niej nadzieja, że przekona go do miłości, straciła dla niego zainteresowanie i zapragnęła wydostać się z miejsca, w którym ją przetrzymywał. Było już jednak za późno. Dobroczyńca potrzebował jej u swego boku, nigdy w życiu nie miał równie bliskiej towarzyszkii, jej mąż wrócił do Europy i Marcia nie miała już własnego miejsca na ziemi, nawet jej imię zaczęło się zacierać w ludzkiej pamięci. Dyktator zauważył zmianę, jaka w niej nastąpiła, i jego podejrzliwość się wzmogła, ale nie przestał jej kochać na swój sposób. Chcąc wynagrodzić Marcii życie w odosobnieniu, na jakie ją skazał na zawsze - bo jej pojawienie się w miejscu publicznym potwierdziłoby tylko oskarżenia Liebermana i skandal dyplomatyczny byłby nieunikniony - starał się ją otaczać tym, co lubi: muzyką, książkami, zwierzętami. Marcia spędzała czas we własnym świecie, coraz bardziej oddalając się od rzeczywistości. Nie potrafił kochać się z nią, kiedy przestała mu w tym pomagać, więc ich spotkania zmieniły się w spokojne wieczorne pogawędki przy czekoladzie i biszkoptach. Tak bardzo pragnął, by była zadowolona, że pewnego dnia zawiózł ją do Letniego Pałacu, żeby na własne oczy zobaczyła ten raj, o którym wcześniej tyle czytała w książkach belgijskiego przyrodnika.

Nikt nie korzystał z pociągu od czasów balu na otwarcie pałacu, przed dziesięcioma laty, więc tory były zrujnowane i musieli odbyć podróż samochodem, poprzedzeni karawaną strażników i służby, która wyjechała tydzień wcześniej, zabierając ze sobą wszystko co niezbędne, żeby życie w pałacu uczynić na powrót luksusowym. Droga zmieniła się w ścieżkę, której grupy dowożonych więźniów musiały ciągle bronić przed naporem zachłannej roślinności. Na niektórych odcinkach podróży musieli czekać, aż maczetami utorują im przejazd przez wielkie paprocie albo wołami wyciągną samochód z błota, ale trudności nie umniejszały entuzjazmu Marcii. Była olśniona krajobrazem. Znosiła bez skargi parną spiekotę i roje komarów, zafascynowana przyrodą, która brała ją w swoje objęcia. Miała wrażenie, że była tu już wcześniej, może we śnie albo w jakimś poprzednim wcieleniu, że przynależy do tego miejsca i do tej chwili była w świecie cudzoziemką, a wszystko, co w jej życiu zdarzyło się dotąd, włącznie z opuszczeniem domu i męża i pójściem za trzęsącym się starcem, stało się po to, by mogła znaleźć się w końcu właśnie tutaj. Nim jeszcze ujrzała Letni Pałac, wiedziała już, że będzie jej ostatnim miejscem pobytu. Gdy wreszcie budynek wyłonił się z gęstwiny, obrośnięty palmami i połyskujący w słońcu, Marcia odetchnęła z ulgą jak rozbitek, który dotarł w końcu do macierzystego portu.

Mimo gorączkowych przygotowań przed ich przyjazdem posiadłość sprawiała wrażenie nierzeczywiste. Romańska bryła, umieszczona niegdyś w centrum geometrycznie rozplanowanego parku i na skrzyżowaniu szerokich alei, tonęła w gmatwaninie żarłocznej roślinności. Gorący, podzwrotnikowy klimat zmienił kolor tynków, pokrywając je przedwczesną patyną. Basenu i ogrodów w ogóle nie było widać. Rasowe charty dawno już zerwały się z uwięzi, wałęsały się wokół domu i zmieniły się w zgłodniałą i dziczącą sforę, która przywitała przyjezdnych wściekłym ujadaniem. Ptaki gnieździły się w kapitelach i zabrudziły odchodami płaskorzeźby. Zewsząd wyzierał nieporządek. Letni Pałac przemienił się w żywą istotę, otwartą na zieloną inwazję puszczy, która przeniknęła go na wylot. Marcia

wyskoczyła z samochodu i podbiegła do wielkich drzwi wejściowych, przy których stała udręczona upałem straż. Przeszła jeden za drugim wszystkie pokoje, wielkie salony ozdobione kryształowymi żyrandolami zwisającymi z sufitów niczym gwiazdy, i francuskimi meblami, w których gnieździły się małe jaszczurki, zwiedziła sypialnie z łóżami przykrytymi wyblakłymi od słońca baldachimami, łazienki, gdzie mech zakradł się między marmury. Szła roześmiana jak osoba, która odzyskuje coś, czego została pozbawiona.

Przez następne dni Dobroczyńca widział tak wielką radość Marcii, że w jego wystyglę ciało wrócił dawny wigor i mógł się z nią kochać jak podczas pierwszych spotkań, na co ona zgodziła się z roztargnieniem. Tydzień, jaki mieli tu spędzić, wydłużył się do dwóch; staruch był w świetnym nastroju. Zniknęło nagromadzone w latach dyktatorskiej władzy zmęczenie i ustąpiły objawy różnych starczych dolegliwości. Spacerował z Marcją po okolicy, pokazując jej różne odmiany orchidei, które wspinały się po pniach drzew albo zwisały jak winogrona z najwyższych konarów, obłoki białych motyli przykrywające niebo i ptaki o tęczowych skrzydłach, które napełniały powietrze swoim wrzaskiem. Bawił się z nią jak młody kochanek, wkładał jej wprost do ust owoce mango, kąpał ją własnoręcznie w naparach z ziół i rozbawił śpiewając serenadę pod jej oknem. Od lat nie wyjeżdżał ze stolicy, jeśli nie liczyć krótkich lotów awionetką do prowincji, gdzie jego obecność była pożądana, aby zdławić kiełkujący bunt i upewnić ludność, że jego władza jest niepodważalna. Te nieoczekiwane wakacje wprawiły go w dobry humor, nagle życie wydało mu się bardzo przyjemne i wyobraził sobie, że mógłby rządzić wiecznie mając u boku tę piękną kobietę. Którejś nocy zasnął niespodziewanie w jej objęciach. Zbudził się przerażony o świcie, z wrażeniem, że zdradził samego siebie. Zerwał się spocony, z sercem bijącym w piersi jak oszalałe i przyjrzał się leżącej na łóżku kobiecie, białej, pogrążonej we śnie odalisce, z twarzą przykrytą potokiem miedzianych włosów. Wyszedł z sypialni i rozkazał ochronie przygotować wszystko do powrotu do stolicy. Nie zdziwił się, gdy Marcia nie wykazała ochoty, by wracać razem z nim. Może nawet w głębi duszy wołał takie rozwiązanie, miał świadomość, że ta kobieta jest jego największą słabością, przez którą może zapomnieć o władzy.

Dobroczyńca wyjechał do stolicy bez Marcii. Zostawił przy niej pół tuzina żołnierzy, by pilnowali posiadłości, oraz kilka osób służby. Przyrzekł, że droga będzie przejezdna, żeby mogły do niej docierać prezenty, zaopatrzenie, listy i niektóre gazety. Zapewnił, że będzie odwiedzał ją tak często, jak tylko pozwolą mu na to obowiązki głowy państwa, ale żegnając się oboje wiedzieli, że nigdy już się nie spotkają. Orszak samochodów Dobroczyńcy zniknął wśród paproci i na chwilę w całym Letnim Pałacu zapadła głęboka cisza. Po raz pierwszy w życiu Marcia poczuła się naprawdę wolna. Wyjęła z włosów szpilki podtrzymujące kok i potrząsnęła głową. Strażnicy rozpięli mundury i odłożyli broń, a służący zaczęli rozwieszać hamaki w najbardziej zacienionych miejscach.

Indianie obserwowali gości przez te dwa tygodnie z mrocznych zakątków domu. Nie dali się zwieść jasnej skórze i wspaniałym lokom Marcii Lieberman i rozpoznali w niej pokrewną sobie istotę, nie odważyli się jednak zmaterializować w jej obecności, bo przecież od stuleci żyli w ukryciu. Po wyjeździe starca i jego świty znowu zajęli dyskretnie przestrzeń, w której żyli od pokoleń. Marcia wyczuła, że nie jest sama, gdziekolwiek szła, śledziło ją tysiące oczu, wokół niej rozbrzmiewały bezustanne szmery, docierał do niej ciepły oddech, rytmiczne pulsowanie. Nie bała się jednak, przeciwnie, czuła, że chronią ją przyjazne duchy. Przyzwyczała się do panującego tutaj rozgardiaszu: jedna z sukienek zniknęła na kilka dni, a nagle odnajdywała się w koszyku przy łóżku, ktoś pożerał jej kolację, nim zdążyła wejść do jadalni, przepadały jej akwarele i książki, na stole pojawiały się świeżo zerwane orchidee, czasami wieczorem wanna czekała już na nią pełna wody, w której pływały listki mięty, z pustych salonów dobiegały dźwięki pianina, w szafach słychać było głośne oddechy kochanków, a na poddaszu dziecinne głosy. Służba nie potrafiła wyjaśnić tych dziwnych zdarzeń, więc Marcia szybko przestała o to pytać, bo wyobraziła sobie, że służący należą

także do tej przyjaznej konspiracji. Pewnej nocy zaczęła się z latarką za zasłoną, a gdy usłyszała kroki na marmurowej posadzce, włączyła światło. Zdało jej się, że widzi dwie nagie postaci, które przez chwilę spojrzały na nią przyjaźnie i natychmiast rozplynęły się w powietrzu. Zawołała je po hiszpańsku, ale nikt nie odpowiedział. Zrozumiała, że trzeba wielkiej cierpliwości, żeby przejrzeć tę tajemnicę, ale wcale się nie zmartwiła, bo miała na to całą resztę życia.

Kilka lat później krajem wstrząsnęła wiadomość, że dyktator przestał sprawować władzę z zaskakującego doprawdy powodu: umarł. Choć ze starucha zostały ostatnio tylko skóra i kości i przez ostatnie miesiące życia gnął żywcem w swoim mundurze, w rzeczywistości mało kto wyobrażał sobie, że jest śmiertelny. Nikt nie pamiętał czasów sprzed dyktatury, tak długo sprawował władzę, że ludzie przyzwyczaili się do niego i uważali za nieuniknione zło, podobnie jak klimat. Wiadomość o pogrzebie dotarła do Letniego Pałacu z lekkim opóźnieniem. W owym czasie odeszli już niemal wszyscy żołnierze i służący, nie mogąc doczekać się zmienników. Marcia Lieberman wysłuchała nowin bez cienia niepokoju. W gruncie rzeczy ledwo przypominała sobie własną przeszłość, życie, jakim kiedyś żyła, i tego starca o wielkich, jastrzębich oczach, który odmienił jej los. Zdała sobie sprawę, że wraz z jego śmiercią przestały istnieć powody, dla których pozostawała w ukryciu, mogła teraz wrócić do cywilizacji, bo z pewnością nikt już nie pamięta o sprawie jej uprowadzenia. Szybko jednak porzuciła ten pomysł, gdyż poza tym pokrytym gęstwiną skrawkiem świata nic właściwie nie budziło jej ciekawości. Jej życie płynęło spokojnie wśród Indian, w głębi zielonego gąszczy. Chodziła ubrana tylko w lekką tunikę, ścięła włosy na krótko, zdobiły ją tatuaże i pióra. Była całkowicie szczęśliwa.

Kilkanaście lat później, gdy w kraju nastała już demokracja i po dyktaturach został jedynie ślad w podręcznikach szkolnych, ktoś przypomniał sobie o marmurowym pałacu i postanowił go przeznaczyć na siedzibę Akademii Sztuki. Kongres Republiki wysłał komisję, żeby przygotowała raport, ale samochody złądziły po drodze i kiedy wreszcie dotarły do San Jeronimo, nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie znajduje się Letni Pałac. Usiłowali jechać wzdłuż szyn kolejowych, ale te dawno zostały powyrywane z podkładów i bujna roślinność zatarła po nich wszelki ślad. Kongres wysłał wówczas oddział zwiadowców i dwóch inżynierów wojskowych. Odbyli nad okolicą kilka lotów helikopterem, lecz korony drzew były tak gęste, że i oni nie natrafili na właściwe miejsce. Pamięć o pałacu zatarła się i pozostała jedynie w miejskich archiwach, opowieści o nim stały się babskim gadaniem, wszelkie raporty utonęły w morzu biurokracji, a ponieważ ojczyzna miała pilniejsze problemy do rozwiązania, projekt powołania Akademii Sztuki odłożono na później.

Niedawno została zbudowana szosa łącząca San Jeronimo z resztą kraju. Podróżni twierdzą, że czasami, po burzy, kiedy powietrze jest wilgotne i naładowane elektrycznością, nagle pojawia się przy drodze biały pałac z marmuru, który na kilka chwil zawisa jak zjawą, tuż nad ziemią, a potem znika bezgłośnie.

## **Z błota powstaliśmy**

Z błota wystawała głowa dziewczynki z otwartymi oczyma, bezgłośnie wzywającymi pomocy. Dziewczynka miała imię przywodzące na myśl Pierwszą Komunię - Lilia. Na tym bezkresnym cmentarzu, nad który zlatywały się z oddali sępy zwabione odorem zwłok i gdzie powietrze wypełniały zawrodozenia matek ijęki rannych, to uparcie trzymające się życia dziecko stało się uosobieniem tragedii. Kamery telewizyjne tyle razy przekazały trudny do zniesienia obraz wyrastającej wprost z błota głowy, że wszyscy nauczyli się imienia Lilii. Ilekroć pokazywano ją na ekranie, w tle zawsze widać było Rolfa Carle, który przyjechał tu na wieść o tym, co się stało, nie podejrzewając, że odnajdzie kawałek swojej zagubionej

trzydzieści lat wcześniej przeszłości.

Najpierw dało się słyszeć podziemny jęk, który zatrzęsł polami bawełny, wzburzając je niczym spienione falą. Geolodzy ustawili swoje aparaty pomiarowe już wiele tygodni wcześniej i wiedzieli, że góra ponownie się przebudziła. Od dawna przewidywali, że temperatura wybuchu może rozpuścić wieczne lody znajdujące się na zboczach wulkanu, ale nikt nie przywiązał wagi do tych ostrzeżeń, bo brzmiały jak jakieś bajki. Miasteczka położone w dolinie prowadziły normalne życie, za nic mając postękiwania ziemi, aż nadeszła tamta fatalna środowa noc w listopadzie, gdy przeciągły huk obwieścił koniec świata, ściany śniegu oderwały się od podłoża i zamieniły w lawinę błota, kamieni i wody, która runęła na ludzkie osady, grzebiąc je pod zbełtaną breją. Gdy ci, którym udało się przeżyć, otrząsnęli się z paraliżu wywołanego pierwszym strachem, zobaczyli, że zniknęły domy, place, kościoły, białe plantacje bawełny, cieniste lasy kawowe i pastwiska, na których pasły się rozplodowe byki. Kiedy wiele godzin później przybyli ochotnicy i żołnierze, żeby ratować żywych i ocenić rozmiary kataklizmu, obliczyli, że ponad dwadzieścia tysięcy ludzi i trudna do oszacowania liczba zwierząt gnije w kleistej, błotnej zupie. Zniszczeniu uległy także lasy i rzeki, jak okiem sięgnąć nie było widać nic prócz ogromnej, bagnistej pustyni.

Kiedy zadzwonili o świcie z telewizji, Rolf Carle i ja byliśmy razem. Wstałam zasnana z łóżka i poszłam zaparzyć kawę, gdy tymczasem Rolf ubierał się w pośpiechu. Do zielonej brezentowej torby włożył wszystkie potrzebne mu do pracy rzeczy i pożegnaliśmy się jak tyle razy przedtem. Nie miałam żadnych przeczuć. Zostałam w kuchni, popijając kawę i planując godziny bez niego, przekonana, że wróci następnego dnia.

Dojechał jako jeden z pierwszych, bo gdy inni dziennikarze docierali na skraj trzęsawiska jeepami, rowerami albo na piechotę, torując sobie drogę, jak kto umiał, Rolf dostał do dyspozycji telewizyjny helikopter i mógł przelecieć nad terenem przykrytym lawiną. Na ekranach pojawiły się sceny uchwycone kamerą jego asystenta, na których widać było zanurzonego do kolan w błocie Rolfa z mikrofonem w ręku wśród płaczących, zagubionych dzieci, okaleczonych dorosłych, pośród zwłok i ruin. Nadawał swoją relację spokojnym głosem. Przez wiele lat widywałam go w wiadomościach, przekazującego z zuchwałą wytrwałością informacje z pól bitew i miejsc katastrof i nikt nigdy nie potrafił go zatrzymać. Zawsze wprawiał mnie w podziw jego spokój w obliczu niebezpieczeństwa i cierpienia, jakby nic nie potrafiło zachwiać jego siłą charakteru ani zwiść czujności. Wydawało się, że strach nie ma do niego dostępu, choć on sam mi kiedyś wyznał, że wcale nie jest odważnym człowiekiem. Myślę, że obiektyw kamery oddziaływał na niego w pewien szczególny sposób, jakby przenosił go w inny wymiar czasu, skąd mógł przyglądać się wydarzeniom, nie uczestnicząc w nich naprawdę. Kiedy go lepiej poznałam, zrozumiałam, że ten fikcyjny dystans wobec relacjonowanych zdarzeń chroni go przed jego własnymi emocjami.

Od samego początku Rolf Carle był obok Lili. Filmował ochotników, którzy do niej dotarli i pierwszych ratowników, jacy usiłowali się do niej zbliżyć. Kamera ciągle przekazywała zbliżenia dziewczynki, jej śniadą twarz, wielkie, przerażone oczy, zmierzwiłone włosy. W tym miejscu było grząsko i chodzenie groziło zapadnięciem się. Rzucili do niej linę, a ona nawet nie starała się jej złapać. Krzyknęli, żeby wyciągnęła rękę, a gdy to zrobiła i postarała się ruszyć, zapadła się tylko jeszcze głębiej. Rolf odrzucił na bok torbę i całą resztę sprzętu i zaczął posuwać się po bagnisku, mówiąc do mikrofonu swego pomocnika, że jest zimno i czuć już lekki odór rozkładających się ciał.

- Jak ci na imię? - spytał dziewczynkę, a ona podała mu nazwę kwiatu. - Nie ruszaj się, Lilio - rozkazał Rolf i rozmawiał z nią nadal, nie zastanawiając się nawet, co mówi, brnąc dalej w błocie już po pas. Powietrze wokół niego zdawało się tak samo mętne jak muł.

Nie można było zbliżyć się od tej strony, więc się wycofał i zatoczył koło aż do miejsca, gdzie teren wydawał się twardszy. Kiedy wreszcie dotarł blisko, wziął linę i

zawiązał dziewczynce pod ramionami, żeby ją wyciągnąć. Uśmiechnął się do niej tym uśmiechem, w którym mruży oczy i nabiera chłopięcego wyglądu, powiedział, że wszystko idzie dobrze i że zaraz ją wydobędą. Dał znak innym, żeby ciągnęli, ale gdy tylko lina się naprężyła, dziewczynka krzyknęła. Spróbowali jeszcze raz i z błota wyłoniły się barki i ramiona, ale dalej nie mogli jej ruszyć, była uwięziona. Ktoś podsunął myśl, że może stopy ma przygniecione ruinami swego domu, a ona powiedziała, że to nie tylko gruz, że przytrzymują ją jeszcze ciała uczonego jej nóg rodzeństwa.

- Nic się nie martw, wyciągniemy cię - obiecał Rolf.

Mimo zakłóceń w przekazie zauważyłam, że łamie mu się głos i poczułam wtedy, że jest mi jeszcze bliższy. Ona spojrzała bez słowa.

W tych pierwszych godzinach Rolf Carle włożył całą swą pomysłowość w wymyślanie sposobów uratowania dziewczynki. Walczył za pomocą kijów i lin, ale każde pociągnięcie sprawiało uwięzionej nieopisany ból. Wpadł na pomysł zrobienia dźwigni z drewnianych bali, lecz nie przyniosło to spodziewanych rezultatów. Zdołał sprowadzić dwóch żołnierzy, którzy pomagali mu przez jakiś czas, ale w końcu zostawili go samego, bo zewsząd słychać było wołania o pomoc. Dziewczynka nie mogła się poruszyć i z trudnością oddychała, nie sprawiała jednak wrażenia zrozpaczonej, jakby odziedziczyła po przodkach łatwość godzenia się z przeznaczeniem. Tymczasem on był zdecydowany wyrwać ją z objęć śmierci. Przynieśli mu oponę samochodową, którą włożył jej pod ramiona jak kamizelkę ratunkową, a potem przyciągnął deskę tuż obok małej, żeby oprzeć się na tej powierzchni i łatwiej zbliżyć się do dziewczynki. Ponieważ trudno było rozgarniać gruz na oślep, zanurzył się dwa razy, chcąc zbadać to piekło na dole, ale wynurzał się wściekły, cały oblepiony błotem, wypływając z ust kamienie. Doszedł do wniosku, że potrzebna jest pompa, żeby usunąć to błoto i poprosił o nią przez radio, ale odpowiedziano, że z powodu braku środka transportu pompa zostanie wysłana dopiero następnego ranka.

- Nie możemy tyle czekać! - krzyknął Rolf Carle, ale w ogólnym zamieszaniu nikt nie potrafił się tym przejąć. Musiało minąć jeszcze wiele godzin, nim Rolf zrozumiał, że czas stanął w miejscu, a rzeczywistość uległa nieodwracalnemu zniekształceniu.

Podszedł do nich jakiś wojskowy lekarz, który badał dzieci i powiedział, że serce dziewczynki bije miarowo i jeśli tylko jej organizm zanadto się nie wyziębi, powinna przetrwać tę noc.

- Bądź cierpliwa, Lilijko, jutro przywiozą pompę - starał się ją pocieszyć Rolf.

- Nie zostawiaj mnie samej - poprosiła.

- Oczywiście że nie.

Przynieśli im kawę, więc dał się dziewczynce napić, powoli, łyk po łyku. Ciepły płyn ją ożywił i zaczęła opowiadać o sobie, o rodzinie i o szkole, o tym, jak wyglądał jej świat, nim wybuchł wulkan. Miała trzynaście lat i nigdy nie wyjechała poza granice swojej wioski. Uczepiwszy się pochopnie nadziei, Rolf nabrał przekonania, że wszystko się dobrze skończy, przyślą pompę, będzie można usunąć błoto i zwały gruzu i Lilia zostanie przewieziona helikopterem do szpitala, gdzie szybko wróci do zdrowia, a on będzie mógł ją odwiedzać i przynosić prezenty. Pomyślał, że jest już chyba za duża na lalki i zastanawiał się, co mogłoby jej sprawić radość, może jakaś sukienka. Nie znam się specjalnie na duszy kobiety, pomyślał w końcu rozbawiony. Miał w życiu dużo kobiet, ale żadna nie wtajemniczała go w takie szczegóły. Dla zabicia czasu zaczął opowiadać małej o swoich podróżach i przygodach łowcy informacji, a gdy wyczerpały mu się wspomnienia, przywołał na pomoc wyobraźnię, żeby zabawić ją wymyślonymi historiami. Od czasu do czasu dziewczynka przysypiała, ale on nie przestawał mówić do niej w ciemności. Chciał ją upewnić, że wcale sobie nie poszedł, i chciał też odegnać własną niepewność.

To była długa noc.

Z odległości wielu mil przyglądałam się na ekranie Rolfowi Carle i dziewczynce. Nie wytrzymałam siedzenia w domu i pojechałam do siedziby telewizji, gdzie spędziłam już wiele nocy w czasach, gdy on był wydawcą dzienników. Tym sposobem byłam bliżej niego i mogłam przyglądać się temu, co przeżywał podczas tych trzech dni, które zadecydowały o wszystkim, co dla Rolfa było najważniejsze. Dzwoniłam do wpływowych ludzi w mieście, do senatorów, generałów, do amerykańskiego ambasadora, do prezesa Kompanii Naftowej, prosząc ich o pompę do usunięcia błota, ale uzyskałam tylko mało konkretne obietnice. Zwróciłam się z pilną prośbą o pomoc przez radio i telewizję. Między kolejnymi telefonami pędziłam do studia, żeby nie przegapić przesyłanych drogą satelitarną obrazów, jakie nadchodziły bez ustanku z coraz to nowymi szczegółami katastrofy. Dziennikarze wybierali najmocniejsze sceny do kolejnych wydań wiadomości, a ja szukałam obrazów, na których pojawiała się Lilia. Ekran telewizora zmniejszał obszar klęski do jednego ujęcia i podkreślał ogromną odległość, jaka dzieliła mnie od Rolfa Carle. Mimo to byłam z nim razem, odczuwałam tak samo dotkliwie jak on cierpienia dziewczynki, czułam to samo rozczarowanie i tę samą bezsilność. Przyszedł mi do głowy absurdalny pomysł, żeby skupić się bardzo, dotrzeć do niego siłą myśli i w ten sposób dodać mu otuchy. Co jakiś czas oddawałam się gorączkowej i bezsensownej krzątaninie, czasami przygniatało mnie współczucie i zaczynałam szlochać, kiedy indziej zasypiałam ze zmęczenia i zdawało mi się, że widzę przez teleskop światło gwiazdy, która zgasła przed milionem lat.

W pierwszym wydaniu porannych wiadomości znowu ujrzałam to piekło, zwłoki ludzi i zwierząt, unoszone przez rzeki powstałe w ciągu jednej nocy ze stopionego śniegu. Gdzieś tam ponad błoto wystawały korony drzew. Dostrzegłam też dzwonnice kościoła, na której schroniło się kilka osób i czekało teraz cierpliwie na przybycie ekip ratunkowych. Setki żołnierzy i ochotników z obrony cywilnej usiłowało rozbijać ruiny w poszukiwaniu żyjących jeszcze ofiar kataklizmu, a w długich kolejkach po kubek ciepłego bulionu czekały ludzkie widma w łachmanach. Stacje radiowe powiadomiły, że odbierają setki telefonów od rodzin gotowych przyjąć do siebie osierocone dzieci. Brakowało wody pitnej, benzyny i żywności. Lekarze, zmuszeni do dokonywania amputacji kończyn bez znieczulenia, domagali się przysłania przynajmniej surowicy, środków przeciwbólowych i antybiotyków, ale większość dróg była nieprzejezdna, a poza tym wszystko opóźniała biurokracja. Tymczasem zwłoki rozkładały się w błocie, a to groziło wybuchem epidemii.

Lilia drżała wsparta na oponie, która utrzymywała ją na powierzchni. Bezruch i napięcie bardzo ją osłabiły, cały czas jednak była świadoma i odzywała się dobrze słyszalnym głosem, gdy przysuwali jej mikrofon. Mówiła nieśmiało, jakby przeprasząc, że spowodowała tyle kłopotów. Rolf Carle miał nie ogoloną twarz i ciemne sińce pod oczyma, wyglądał na wyczerpanego. Nawet na tak wielką odległość potrafiłam wyczuć, że przygniata go inne zmęczenie niż to, jakiego tyle razy doświadczał w życiu. Zrzucił całkiem filmowanie, bo nie mógł już spoglądać na dziewczynkę przez obiektyw. Docierające do nas obrazy nie były kręczone przez jego pomocnika, lecz przez innych dziennikarzy, którzy zawłaszczyli sobie Lilię, czyniąc z niej ucieleśnienie horroru, jaki wydarzył się w tym miejscu. Od samego świtu Rolf od nowa starał się usunąć przeszkody, które uwięziły dziewczynkę w bagiennym grobie. Miał jednak do dyspozycji tylko własne ręce, nie odważył się bowiem używać żadnych narzędzi w obawie, że ją zrani. Dał Lili do zjedzenia kubek rozdzielanej przez wojsko kukurydzianej kaszki z bananem, ale wszystko od razu wymiotowała. Przyszedł lekarz i stwierdził, że mała gorączkuje, ale nie mógł wiele pomóc, bo antybiotyki rezerwowano tylko na przypadki gangreny. Zjawił się także kapłan, żeby ją pobłogosławić i powiesić jej na szyi medalik z Matką Boską. Po południu zaczął padać drobny, ciągły deszcz.

- Niebo płacze - szepnęła Lilia i także się rozpląkała.

- Nie bój się - błagał Rolf. - Musisz oszczędzać siły i nie denerwować się. Wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie i znajdę jakiś sposób, żeby cię stąd wyciągnąć.

Znowu wrócili dziennikarze, żeby zrobić jej zdjęcia i zadać te same pytania, na które nawet już nie próbowała odpowiadać. Nadciągały ekipy telewizyjne i filmowe, pojawiały się szpule kabli, taśmy, filmy, kasety wideo, obiektywy szerokokątne, aparaty rejestrujące dźwięk, konsole dźwiękowe, reflektory, ekrany odbijające światło, akumulatory i silniki, skrzynie z częściami zamiennymi, elektrycy, technicy dźwięku, kamerzyści, którzy przesłali twarz Lilii na miliony ekranów na całym świecie. A Rolf Carle nadal błagał o pompę. Zastosowane środki przyniosły wyniki i zaczęliśmy widzieć w telewizji wyraźniejszy obraz i słyszeć lepszy dźwięk, zdawało się, że odległość nagle się zmniejszyła i miałam potworne uczucie, że Lilia i Rolf są tuż obok mnie, oddzieleni nieusuwalną, szklaną szybą. Godzina po godzinie śledziłam rozwój wydarzeń, wiedziałam, ile mój przyjaciel robi, żeby wydostać dziewczynkę z jej więzienia i pomóc jej wytrwać męczarnie, docierały do mnie fragmenty ich rozmów, reszty mogłam się domyślić, byłam z nimi, gdy ona nauczyła Rolfa modlić się i kiedy on opowiadał jej historię, którą sama mu opowiedziałam podczas tysiąca i jednej nocy, pod białą moskitierą naszego łóżka.

Drugiego dnia pod wieczór starał się ją ukołysać do snu nucąc stare austriackie piosenki, jakich nauczyła go matka, ale ona przekroczyła już barierę snu. W nocy długo rozmawiali, oboje wycieńczeni, głodni, trzęsąc się z zimna. I wtedy powoli puściły mocne tamy odgradzające przez wiele lat Rolfa Carle od przeszłości i strumień obrazów skrywanych w najgłębszych zakamarkach pamięci wyostał się na zewnątrz, zmiatając po drodze mury, które wiązyły jego wspomnienia. Nie wszystko mógł opowiedzieć Lilii. Pewnie nie wiedziała, że za morzem istniał jakiś inny świat i inny czas, wcześniejszy od jej czasu. Nie potrafiła sobie wyobrazić Europy w czasach wojny, więc nie opowiedział jej o klęsce ani o tamtym dniu, kiedy Rosjanie zawieźli go do obozu koncentracyjnego, by grzebał zmarłych z głodu więźniów. Po co jej opowiadać, że nagie ciała, piętzące się jedne na drugich niczym stos polan, wyglądały jak zrobione z kruchego fajansu? Po co mówić umierającej dziewczynce o piecach i szubienicach? Nie wspomniał też o nocy, kiedy zobaczył matkę nagą, tylko w czerwonych butach na obcasach jak sztylety i płaczącą z upokorzenia. Wiele spraw przemilczał, ale podczas tych godzin po raz pierwszy przeżył od nowa wszystko, co jego umysł starał się raz na zawsze usunąć z pamięci. Lilia podzieliła się z nim swoim lękiem i w ten sposób, całkiem niechcący, zmusiła Rolfa, by stawił czoło własnemu lękowi. Tam, przy przekłętej bagiennej studni, Rolf nie mógł już dalek uciekać przed sobą samym. Dopadł go niespodziewanie płynący z głębi trzewi strach, który naznaczył całe jego dzieciństwo. Cofnął się do czasu, kiedy był w wieku Lilii, a potem jeszcze dalej. Poczul, że tak jak ona tkwi w jakiejś studni bez wyjścia, pogrzebany za życia, z głową wystającą tuż nad ziemię. Obok swojej twarzy zobaczył buty i nogi ojca. Ojciec wcześniej już zdjął pasek i wymachiwał nim w powietrzu, a w uszach Rolfa zabrzmiał pamiętny świst niczym syknięcia wścieklej zmi. Dopadł go ból, czysty i wyraźny. Wrócił w myślach do tamtej szafy, w której ojciec zamykał go na klucz, karząc za jakieś urojone przewinienia. Przesiedział w niej długie godziny. Oczy miał zamknięte, żeby nie widzieć ciemności, uszy przykryte dłońmi, żeby nie słyszeć łomotania własnego, drżącego serca, przestraszonego jak serce zaszczutego zwierzęcia. Wśród spowitych gęstą mgłą wspomnień odnalazł swą siostrę Katarzynę, opóźnioną w rozwoju, serdeczną istotę, która całe życie chowała się przed ojcem w nadziei, że ten po prostu o niej zapomni. Właził razem z nią pod stół w jadalni i oboje tkwili tam przytuleni do siebie i ukryci pod długim, białym obrusem, nasłuchując czujnie kroków i głosów. Poczul zapach Katarzyny zmieszany z zapachem własnego potu, aromatami kuchennymi, z zapachem czosnku, zupy, świeżo pieczonego chleba i z dziwnym fetorem gnijącego błota. Oto trzyma w dłoni rękę siostry, ona dyszy przestraszona, na policzek opadł jej niesforny kosmyk



włosów, spogląda z ufnością. Katarzyna, Katarzyna ... pojawiła mu się nagle przed oczyma, owinięta w biały obrus jak w całun i mógł wreszcie oplakać jej śmierć i szlochać w poczuciu winy, że kiedyś ją opuścił. Zrozumiał wówczas, że jego dziennikarskie poczynania, które przysporzyły mu tyle uznania i sławy, służyły jedynie utrzymaniu na wodzy zadawnionego strachu, a dzięki wybiegowi, jakim było chowanie się za obiektywem, rzeczywistość zdawała mu się łatwiejsza do zniesienia. Jego brawurowe, ryzykanckie wyczyny to tylko ćwiczenia z odwagi: przygotowywał się za dnia do pokonania potworów, jakie dręczyły go nocą. Nadeszła jednak godzina prawdy i nie mógł już dalej uciekać przed własną przeszłością. To on był Lilią, to on tkwił uwięziony w błocie, jej strach nie był odległym uczuciem ze świata zapomnianego niemal dzieciństwa, lecz trzymał go za gardło. Zanosząc się szlochem, ujrzał nagle matkę ubraną na szaro i z torebką z krokodylej skóry przyciśniętą do piersi. Taką ją widział ostatni raz na molo, kiedy przyszła odprowadzić go na statek, którym miał popłynąć do Ameryki. Nie przychodziła, żeby otrzeć mu łzy, powiedziała tylko, że wojna się skończyła i trzeba teraz pochować zabitych.

- Nie płacz. Już mnie nic nie boli, jest mi dobrze - powiedziała o brzasku Lilia.

- Nie dlatego płaczę. Płaczę, bo mnie samego wszystko boli - uśmiechnął się Rolf Carle.

Trzeciego dnia świt powitał dolinę dotkniętą kataklizmem bladym światłem przebijającym wśród chmur. Prezydent Republiki przybył na miejsce ubrany w polowy mundur. Ogłosił, że wydarzyła się najgorsza katastrofa tego stulecia, cały kraj pogrążył się w żałobie, bratnie narody zaoferowały pomoc, wprowadzono stan wyjątkowy, siły zbrojne będą bezlitośnie i bez zbędnych ceregieli rozstrzeliwać osoby złapane na kradzieży lub popełnianiu innych przestępstw. Dodał, że nie jest możliwe wydobycie zwłok wszystkich ofiar ani obliczenie wszystkich zaginionych, więc cała dolina będzie traktowana jak wielki cmentarz i biskupi odprawią tu uroczystą mszę za dusze zmarłych. Skierował się w stronę wojskowych namiotów, gdzie tłoczyli się uratowani, by dodać im otuchy obietnicami. Potem poszedł do wzniesionego naprędce szpitala, żeby zagrać do pracy lekarzy i pielęgniarki wycieńczonych walką o brakujące leki. Wreszcie kazał się zaprowadzić do miejsca, w którym tkwiła Lilia, bo jej zdjęcie obiegiło całą planetę, więc dziewczynka stała się sławna. Podał jej swą wąż dłoń męża stanu, a potem mikrofony przekazały jego wzruszony, pełen ojcowskiej troski głos, gdy mówił, że odwaga dziewczynki jest wzorem dla całej ojczyzny. Rolf Carle wpadł mu w słowo, prosząc o pompę i prezydent zapewnił, że osobiście zajmie się tą sprawą. Udało mi się zobaczyć Rolfa, jak siedzi w kucki przy bagiennym leju. W popołudniowych wiadomościach ujrzałam, że tkwi tam nadal w tej samej pozycji. Zbliżyłam twarz do ekranu jak wróżka do szklanej kuli i odgadłam, że zaszła w nim jakaś zasadnicza zmiana, że nocą legł w gruzach jego system obronny i dopadł go dotkliwy ból. Dzięki dziewczynce dotarł w takie zakamarki własnej duszy, do których sam nie miał wcześniej dostępu i których nigdy przede mną nie otworzył. Rolf chciał ją pocieszyć, ale to Lilia przyniosła jemu pociechę.

Uchwyciłam moment, w którym Rolf przestał walczyć i pogrążył się w udręce czuwania przy agonii dziewczynki. Byłam z nimi trzy dni i dwie noce, choć pozostawałam daleko, w innym wymiarze. Byłam tam, gdy Lilia powiedziała z żalem, że przez trzynaście lat nie pokochał jej żaden chłopiec i szkoda jej rozstawać się ze światem, nie poznawszy miłości. On powtarzał, że kocha ją bardziej niż kogokolwiek, bardziej niż matkę i siostrę, bardziej niż wszystkie kobiety, jakie zasypiały w jego objęciach, bardziej niż mnie, swoją towarzyszkę życia. Mówił, że oddałby wszystko, by znaleźć się w błotnej studni zamiast niej, że oddałby za jej życie swoje życie. Widziałam, jak nachylił się i pocałował dziewczynkę w czoło, z czułością, której nie umiał nazwać. Poczułam, że w tej właśnie chwili oboje uwolnili się od rozpacz, wydobyli się z błota, wzniesli się ponad sępy i helikoptery, szybując nad tonącym w błocie cmentarzyskiem. I wreszcie pogodzili się ze śmiercią. Rolf Carle modlił się bezgłośnie, by szybko umarła.

Mnie tymczasem udało się już zdobyć pompę i nawiązać kontakt z wojskiem, które obiecało wysłać ją samolotem następnego dnia o świcie. Ale trzeciego dnia o zmierzchu, w nieskazitelnym świetle lamp kwarcowych i przed obiektywami stu kamer, Lilia się poddała. Niewidzące oczy utkwiała w oczach przyjaciela, który był przy niej do końca. Rolf Carle zdjął jej kamizelkę ratunkową, opuścił jej powieki, przycisnął na kilka minut do piersi, a potem puścił. Zanurzała się powoli. Piękny kwiat w brudnym błocie.

Wróciłeś znowu do mnie, ale nie jesteś już tym samym człowiekiem. Często towarzyszę ci do studia i oglądamy kolejny raz taśmy wideo z Lilią, przyglądasz im się uważnie, zastanawiając, czy mogłeś zrobić coś, co by uratowało jej życie, a co wówczas nie przyszło ci do głowy. A może oglądasz te taśmy, żeby przyjrzeć się sobie samemu jak w lustrze. Twoje kamery leżą schowane w szafie, nie piszesz ani nie śpiewasz, godzinami przesiadujesz w oknie i spoglądasz na góry. Czekam u twego boku, aż zakończysz tę podróż do własnego wnętrza i wyleczysz stare rany. Wiem, że kiedy pokonasz koszmary, pójdziemy znowu razem, trzymając się za ręce. Jak przedtem.

I w trakcie swej opowieści Szeherazada spostrzegła, że świta, więc dyskretnie zamilkła.  
(*Baśnie z tysiąca i jednej nocy*)

## Spis treści

Dwa słowa .....	<a href="#">13</a>
Rozpustna dziewczynka .....	<a href="#">24</a>
Klarysa .....	<a href="#">39</a>
Pyszczyk ropuchy .....	<a href="#">54</a>
Złoto Tomasza Vargasa .....	<a href="#">62</a>
Gdybyś wzruszyła moje serce .....	<a href="#">77</a>
Podarunek dla narzeczonej .....	<a href="#">89</a>
Tosca .....	<a href="#">104</a>
Walimai .....	<a href="#">118</a>
Ester Lucero .....	<a href="#">128</a>
Głupia Maria .....	<a href="#">138</a>
Najskrytsza tajemnica .....	<a href="#">151</a>
Mały Heidelberg .....	<a href="#">157</a>
Żona sędziego .....	<a href="#">166</a>
Droga na północ .....	<a href="#">178</a>
Gość nauczycielki .....	<a href="#">193</a>
Z całym należnym szacunkiem .....	<a href="#">202</a>

Życie bez końca .....	<a href="#">211</a>
Dyskretny cud .....	<a href="#">226</a>
Zemsta .....	<a href="#">244</a>
Fałszywe listy miłosne .....	<a href="#">254</a>
Urojony pałac .....	<a href="#">267</a>
Z błota powstaliśmy .....	<a href="#">285</a>